

**PRZYCHODZI CZARNEK
DO FUNDACJI**

**PRAWDZIWA HISTORIA
GRUPY WAGNERA**

**CAŁA POLSKA
SZUKA CENTRUM**

Kraków 19 lutego 2023 nr 8 (3841)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Wiara i seks

**O RELIGII WOLNEJ
OD OBSESJI,
PRZEMOCY I LĘKU
PRZED CIAŁEM**



**DODATEK
70 LAT
WYDAWNICTWA
LITERACKIEGO**



Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.



La Bella Calabria

Tutaj doświadczymy południowych Włoch wszystkimi zmysłami. Fantastyczne krajobrazy, małe miasteczka z bogatą kulturą i historią oraz raj dla smakoszy już czeka.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa - Neapol. Wizyta w Salerno i przejazd do Paestum. Dz. 2 Antyczne Paestum, murale w Diamante i piękne nadmorskie miasteczka. Dz. 3 Wizyta w Cosenza, góry Sila z miasteczkiem Camigliatello i obiadem w gospodarstwie agroturystycznym. Dz. 4 Winnice wokół Cirò Marina i degustacja wina oraz starożytne miasto Crotone. Dz. 5 Catanzaro – wioska rybacka Pizzo Calabro – piknik w Tropea – Scilla i historia Odyszeusza – Reggio Calabria. Dz. 6 Zwiedzanie Reggio di Calabria oraz muzeum z tajemniczymi antycznymi posągami z brązu. Dz. 7 Przejazd z Reggio di Calabria do Neapolu autobusem lub pociągiem i kolacja w Neapolu. Dz. 8 Powrót do domu i przelot z Neapolu do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 15/05 2023 | **6.998,-**



Japonia - królestwo słońca

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przyjazd do Tokio, Japonia. Świątynia shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. Dz. 3 Tokio. Targ rybny Tsukiji, sushi, Ginza, Tokyo International Forum oraz pałac cesarski. Dz. 4 Tokio na własną rękę. Dz. 5 Pociągiem Shinkansen do Kioto. Świątynia shinto Fushimi Inari-taisha, targ Nishiki i czarująca dzielnica gejsz Gion. Dz. 6 Kioto. Złoty Pawilon, zamek Nijo, ogród zen i przejażdżka rowerem po Arashiyamie. Dz. 7 Kioto. Całodniowa wycieczka do Hiroshimy i wyspy-świątyni Miya-jima ze stawną czerwoną bramą torii. Dz. 8 Kioto na własną rękę. Kolacja pożegnalna z wotowiną wagyu w menu. Dz. 9 Przejazd z Kioto na lotnisko w Tokio i wylot do Warszawy. Dz. 10 Przyjazd do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 07/11 2023

13.998,-



Izrael wczoraj i dziś

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Tel Awiwu. Przejazd do hotelu. Dz. 2 Jezioro Galilejskie. Starożytna synagoga w Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Bazylika Zwiastowania Pańskiego w Nazarecie. Dz. 3 Akka, Hajfa – centrum wyznawców bahaizmu, kościół św. Piotra i Białe Miasto w Tel Awiwie. Przyjazd do Betlejem. Dz. 4 Jerozolima. Góra Oliwna. Sciana Płacz. Wzgórze Świątynne. Via Dolorosa. Bazylika Grobu Świętego. Wieczernik. Dz. 5 Jerozolima. Muzeum Holocaustu Yad Vashem. Izraelski parlament Kneset. Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Dz. 6 Jerozolima. Targ Machene Yehuda. Winiarnia Mory. Dz. 7 Góra Kuszenia w Jerychu. Morze Martwe. Twierdza Masada. Kolacja w palestyńskim domu. Dz. 8 Wylot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 16/04, 06/10 2023

od **6.498,-**



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP05

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: Środkiem drogi

KAROLINA WIGURA W ARTYKULE O „CENTRUM życia” w Polsce napisała: „Najważniejszym uczuciem zbiorowym jest dziś niepokój o bezpieczeństwo”. To proste zdanie jest znakomitym narzędziem zarówno w przewidywaniu efektu najbliższych wyborów, jak też – co ważniejsze – do udzielenia rady rozsądnej i realnej, bo uwolnionej od marzeń jednych czy obaw drugich. Niezależnie od szans na przeważenie szali wyborczych wyników, realistyczne pytanie jest takie: „czy w Polsce uda się dziś zbudować przekonującą centrową agendę, omijającą skrajności”? Oczywiście tego nie wiadomo, lecz można do tego dążyć.

Czy istnieje coś, co przynależy do dziedziny polskiej polityki i nie dzieli? „Istnieje spora liczba spraw, w których obie Polski okazują się zastanawiająco zgodne” – pisze Karolina Wigura. Niepodległość Ukrainy nie jest tu wcale wyjątkiem. Są kwestie edukacji seksualnej, są kwestie osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Możemy się tym zająć – tak aby w nowoczesnej Polsce nikt nie musiał żyć za niegodny zasiłek, rezygnując z pracy zawodowej, a jednocześnie wykonując wielką pracę opieki nad osobą z niepełnosprawnością. Klimat, prawdopodobnie w wymiarze ograniczonym, ale jednak jest jedną z tych spraw: w jakiej kondycji jest laszek w moim sąsiedztwie, czy nasze dzieci będą mogły spędzić dzieciństwo w towarzystwie natury tak jak my, ich rodzice? „I wreszcie, edukacja: czy możemy wyjść z zakłętego koła miernoty polskiego systemu szkolnictwa przy jednoczesnej gotowości wielu wspaniałych nauczycieli, aby ten system zmienić? Czy można pomyśleć o reformach, które nie przewracająby znów wszystkiego od nowa?”. O tym wszystkim pisze Karolina Wigura.

Dodam – to pewnie moja deformacja profesjonalna – sferę religijną. Wszyscy podkreślają, że Karolina Wigura



z Tomaszem Terlikowskim w wydanej właśnie bestsellerowej książce „Polka ateistka kontra Polak katolik” pokazali, jak takie rozmowy mogą (powinny) wyglądać. Może więc warto będzie podjąć (właśnie takie) rozmowy o Kościele, który przeżywa bolesny czas konfrontacji z faktami będącymi zaprzeczeniem jego roli. Wśród tematów, przed którymi nie da się uciec, są pieniądze. Bez rozwiązania problemu pieniędzy Kościoła nie ruszymy z miejsca. Jest zresztą sporo niezłych przykładów na uporanie

się z tym problemem.

Czytając codzienną prasę można powątpiewać, czy zaangażowane partie zechcą ustąpić choć na krok ze swojej wojowniczości. To, co pokazali ostatnio rządzący przy okazji programu „Willa plus” ministra Czarńka, było rzeczywiście beznadziejne. Tylko – na co właśnie zwraca uwagę Karolina Wigura – obok wojowniczych i butnych graczy partyjnych są jeszcze całkiem zróżnicowane wewnętrznie ich elektoraty i ponad połowa obywateli, którzy z różnych powodów na wybory nie chodzą. To, że nie chodzą, też jest jakimś wyborem, ale kiepskim. W końcu odejdzie władza, która potrafi grać tylko w monopol, obraz Polski się zmieni. Nie natychmiast i nie bez oporów, ale się zmieni.

Nie łudźmy się, że jedne wybory zmienią wszystko. Nie łudźmy się, że budowany przez dwie kadencje system władzy i korzyści z władzy może być unieważniony jednymi wyborami.

Oczywiście, jest także scenariusz pesymistyczny. Cała rzecz w tym, żeby się pesymizmowi nie poddać. Nawet jednak jeśli rozkład sił w ogólnych zarysach się nie zmieni, należy skupić się na wprowadzaniu zmian możliwych, o których pisze nasza Autorka. Bądźmy realistami. Nawet przy wielkim zwycięstwie wyborczym, wszystkiego i wszystkich się nie zmieni.

© P

TYGODNIK
POWSZECHNYFUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA

z Pawłem Pieniążkiem, autorem książki „OPÓR”

- **Rzeszów – 22 lutego o godz. 12.00**
Aula WSIZ, ul. Sucharskiego 2, prowadzący – Jacek Stawiski,
gość – Wojciech Jagielski (obowiązują zapisy na stronie uczelni)
- **Warszawa – 28 lutego o godz. 19.00**
Faktyczny Dom Kultury, ul. Gałczyńskiego 7 – wstęp wolny



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



20 Centrum życia

KAROLINA WIGURA

Kim jest 53 proc. Polaków obojętnych wobec bieżącej polityki? Nie chodzi o radykałów, tylko tych niezdecydowanych i umiarkowanych, których głosy będą konieczne do wygranej w wyborach.



24 Minister Czarnek i czara dotacji

ROZMOWA Z RÓŻĄ RZEPLIŃSKĄ,
DZIAŁACZKĄ POZARZĄDOWĄ:

W aferze z pieniędzmi od resortu edukacji mamy do czynienia z próbą uwłaszczenia się rządzących na publicznym majątku albo z przygotowaniem do jesiennej kampanii wyborczej.



32 Seks i wiara

od nowa
PIOTR SIKORA

Jak uwolnić religię z obsesji na punkcie seksualności? Gdzie w duchowości miejsce dla erosu?



42 Na zlecenie Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

Wbrew pozorom ponieśli już wiele porażek. Ale gdyby nie Grupa Wagnera, wojna w Ukrainie przebiegałaby inaczej. Oto opowieść o najśłynniejszych najemnikach naszych czasów.

66 Wielki zderzac opowieści

MICHAŁ

SOWIŃSKI

Italo Calvino

uparcie

i z przekonaniem realizował pomysł najambitniejszy z możliwych dla pisarzy, czyli opisanie świata. Udało się? Miłość nie zna granic.



86 Człowiek u siebie

MICHAŁ OKOŃSKI

Harry Kane przekonał już świat, że czasami warto być odrzuconym. Czy przekona jeszcze, że czasami warto nigdzie się nie ruszać?

6 Syria: pomoc ma granice
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

17 Tygodnik czytelników

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Centrum życia
KAROLINA WIGURA

24 Minister Czarnek i czara dotacji
ROZMOWA Z RÓŻĄ RZEPLIŃSKĄ

26 Toniec i bajania
BARTEK DOBROCH
o Józefie Pitoni, podhalańskim gawędziarzu

■ ■ WIARA

32 Seks i wiara od nowa
PIOTR SIKORA

36 Nie istniejemy bez innych
MAREK KITA:
Zmarł prawosławny metropolita Jan Zizioulas

38 Papież dobra rada
EDWARD AUGUSTYN:
W Watykanie nieczęsto słyszała pochwałę psychoterapii

■ ■ ŚWIAT

42 Na zlecenie Putina
ANNA ŁABUSZEWSKA

46 Powitanie z Afryką
AGATA KAŹMIERSKA:
Zamachy stanu, sponsorowanie trolli – tak też działają wagnerowcy

49 Tutaj boli najbardziej
MARCELINA SZUMER-BRYSZ:
Trzęsienie ziemi wydarzyło się w miejscu i tak już mocno doświadczonym przez los

TEMAT TYGODNIKA

12 Dlaczego wszyscy się mylą?
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Instytucje państwa, prawa i normy postrzegamy jako słabe i pasywne. Sądźmy, że ku przyszłości może nas poprowadzić tylko buntownik łamiący zasady. Dlatego arogancja zostaje wyniesiona do rangi cnoty. Ignorancja uznana jest za siłę.



■ DODATEK ■

79 70 LAT WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK **55** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DREND **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE:
VOLODYMYR TVERDOKHLIB / ADOBE STOCK

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

51 Buntowniczką są potrzebne
DARIUSZ KAŁAN Z BELGRADU
o Serbkach, które mają dość dominacji i kontroli mężczyzn

54 Kara za wolne słowo
MAŁGORZATA NOCŃ
o Andrzeju Poczobucie

■ ■ HISTORIA

56 Mamie nie jest zimno
MATEUSZ POJNAR:
Spółecznik z Nowej Soli upamiętnił los żydowskich więźniarek

■ ■ NAUKA

60 Największy z najmniejszych
MARIUSZ GOGÓŁ *o mimiowirusach*

63 Jak było na początku
ROZMOWA
Z PALEOANTROPOLOGIEM
GIORGIM BIDZINASZWILIM
o pochodzących sprzed 1,8 mln lat kościach Homo erectus

■ ■ KULTURA

66 Wielki zderzac opowieści
MICHAŁ SOWIŃSKI

70 Totalny underground
ROZMOWA Z GRZEGORZEM
NAWROCKIM, MUZYKIEM:
To nie jest sexy, żeby o depresji albo o alzheimerze śpiewać piosenki

73 Kim jest ten las
URSZULA PIECZEK, MACIEJ TOPOLSKI
o puszczy jako źródle tożsamości na Białorusi

76 Czarny kwadrat
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Wieloryb” Darrena Aronofsky’ego

77 Żywa obecność
LEKTOR *o książce Jerzego Jedlickiego „Historia a świat wartości”*

■ ■ ZMYŚŁY

86 Człowiek u siebie
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Aleppo, które przetrwało lata syryjskiej wojny domowej, zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
| tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Miesiąc w nauce [Podkast]

Jak głęboko sięgają początki kalendarza Majów? Czy algorytmy mogą oszukać naukowców? – na przegląd naukowy zaprasza **ŁUKASZ ŁAMŻA** | tygodnikpowszechny.pl/podkast

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIĄŻKI W TYGODNIKU

Eseje, recenzje, felietony, podkasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIĄŻKI

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



SYRIA: POMOC MA GRANICE

Efekty stosowanej tu wojennej taktyki „poddaj się lub umrzyj z głodu” będą widoczne wiele miesięcy po wyciągnięciu spod gruzów ostatniej ofiary trzęsienia ziemi.

MARCIN ŻYŁA

TERYTORIUM KONTROLOWANE PRZEZ KILKA frakcji, zniszczona droga do jedyne go przejścia granicznego, pomoc wstrzymywana przez polityków i dowódców, nawet 5 mln ludzi wymagających wsparcia – a wszystko to w regionie zrujnowanym dekadą jednej z najokrutniejszych dla cywilów wojen XXI wieku. Tak w uproszczeniu wygląda sytuacja w północno-zachodniej Syrii tydzień po trzęsieniu ziemi.

Ofiar śmiertelnych jest tu znacznie mniej niż po tureckiej stronie granicy (według szacunków z 12 lutego: ok. 3,5 tys.), ale akcję ratunkową – obecnie coraz częściej wydobywanie spod gruzów ciał – w niektórych miejscach prowadzono dosłownie gołymi rękami. Na terenach pod kontrolą antyrządowej opo-

zycji działają Białe Hełmy – organizacja znana z heroicznych akcji podczas bombardowań – oraz lokalne grupy ochotników. Brakuje jednak paliwa do koparek i dźwigów, a w drugiej kolejności – do generatorów prądu. Gdy nie ma elektryczności, nie pracują m.in. pompy wody na wsi, co podnosi ceny żywności.

Wzrok świata przykuwają głównie symbole – jak Aleppo, zrujnowane podczas trwającej od 2011 r. wojny domowej, dziś kontrolowane przez rząd w Damaszku. Nawet tu funkcjonuje mniej więcej połowa szpitali i przychodni działających przed wojną; według relacji świadków ich przepełnione korytarze wyglądały po trzęsieniu jak w czasie najcięższych walk, a gdy przywożono pierwsze ofiary, medycy odruchowo patrzyli w niebo wypatru-

Mieszkańcy Aleppo ogrzewają się wśród gruzów, 8 lutego 2023 r.

jąc myśliwców – tak silna jest pamięć nalogów. Choć nad ranem temperatura spada poniżej zera, w obawie przed zawaleniem się uszkodzonych domów ludzie śpią w samochodach lub pod gołym niebem. Palenie śmieci, a nawet łupin po pistacjach bywa jedynym sposobem na ogrzanie się – prąd jest dostarczany tylko przez godzinę.

Pomoc blokuje jednak przede wszystkim polityka. W ciągu pierwszego tygodnia po trzęsieniu ziemi na północny zachód Syrii dotarły tylko dwa konwoje, oba przejechały przez jedyne funkcjonujące przejście graniczne z Turcją (w pobliżu miejscowości Ad-Dana). Ciężarówka syryjskiego Czerwonego Półksiężycza, na których wyjazd z Damaszku zgodził się rząd, zatrzymała Tahrir asz-Szam, powiązana wcześniej z Al-Kaidą grupa kontrolująca prowincję Idlib. Od bezpośredniego wsparcia władz Syrii powstrzymuje się wciąż Zachód, obawiając się, że skorzysta z niego głównie reżim prezydenta Baszara al-Asada. Z kolei Rosja i Chiny już na wiele miesięcy przed trzęsieniem blokowały otwarcie kolejnych przejść granicznych z Turcją (co wymaga zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ). Do kataklizmu doszło też w czasie, gdy wobec stabilnych linii frontów niektóre państwa regionu, jak Zjednoczone Emiraty Arabskie czy Arabia Saudyjska, powoli zmieniają sojusze, zbliżając się do reżimu w Damaszku. Mieszkańcy regionu – którego część kontrolują także Kurdowie oraz inne grupy opozycyjne – od dawna są ofiarami konfliktu, którego przebieg bardziej niż na froncie decyduje się w kulisach ministerstw spraw zagranicznych. Efekty stosowanej jeszcze podczas wojny taktyki „poddaj się lub umrzyj z głodu” będą widoczne wiele miesięcy po wyciągnięciu spod gruzów ostatniej ofiary.

W mieście Dżindajris korespondentka „The Washington Post” usłyszała od mieszkańców, że po trzęsieniu ziemi minęły trzy dni, zanim pod gruzami ucichły głosy tych, do których nie dało się dotrzeć. „Synu, nie wiem, co się zdarzy jutro – napisała do jednego z syryjskich pracowników humanitarnych matka. – Przez ostatnie 12 lat miałam nadzieję, że każdy rok jest ostatnim, kiedy tak cierpimy”. ©

Tekst ukończono 13 lutego

Więcej o trzęsieniu ziemi piszą
Marcelina Szumer-Brysz
oraz Wojciech Jagielski
w tym numerze (s. 49) i na
tygodnikpowszechny.pl/trzesienie2023

Ostatnia droga do oblężonego miasta

PAWEŁ PIENIAŻEK Z BACHMUTU (UKRAINA)



PODJEŻDŻAJĄ MIKROBUSEM. PRZYKLEJona do szyby kartka z liczbą „300” oznacza, że przewożą rannych. Zatrzymują się. Dwóch medyków nie opuszcza samochodu. Na ich oblanych potem twarzach malują się strach i zagubienie, w oczach widać pustkę. Po chwili, gdy odśpają, wychodzą na zewnątrz.

– Ledwie przejechaliliśmy – mówi Artur, jeden z medyków. Ma około 30 lat, pochodzi z obwodu charkowskiego. Jeszcze rok temu pracował na budowie.

Wjeżdżali do Bachmutu. To miasto w obwodzie donieckim, gdzie do 24 lutego ubiegłego roku mieszkało 80 tysięcy ludzi. Z powodu ciężkich walk teraz pozostało ok. 6 tysięcy. Dwie trasy wiodące do miasta są nieprzejezdne, bo rosyjskie wojsko albo znajduje się od nich w zasięgu strzału z karabinu, albo – na niektórych odcinkach – już na nie wyszło. Do Bachmutu wiedzie tylko tzw. droga życia. Prowadzi przez wiele miejscowości, a przed samym miastem zjeżdża ze wzgórza. Tu poruszające się nią pojazdy są dla Rosjan widoczne jak na dłoni. Od jakiegoś czasu ta trasa też nie jest bezpieczna.

To właśnie niedaleko od Bachmutu pociski wybuchły obok pojazdu medyków. Zburzyły mały dom, z którego rzeczy wypadły na ulicę, odłamki ścięły drzewo, a trawa wokół zajęła się ogniem. O dziwo, mikrobusem odłamki nawet nie zahaczyły.

W Bachmucie samochody medyków czekają ukryte pod grubymi warstwami

ziemi i betonu. Artyleria niemal nie cichnie, każdy kawałek miasta jest w jej zasięgu, dlatego medycy muszą czekać w bezpiecznym i niewidocznym miejscu, by w jednym kawałku doczekać się na przywożonych z frontu rannych, których zabiorą do polowego szpitala za miastem.

Front jest coraz bliżej ich miejsca stacjonowania. Rosjanie prą od północy, wschodu i południa. Zajmują miejscowości wokół Bachmutu i próbują go otoczyć. Chociaż walki o miasto trwają od lata, w ostatnich tygodniach weszły w krytyczną fazę. Ukraińskie wojsko za wszelką cenę stara się utrzymać Bachmut, by powstrzymać dalszą ofensywę na Donbas, m.in. na kluczowe miasta pod swoją kontrolą: Kostiantyniwkę, Drużkiwkę, a w dalszej kolejności Kramatorsk i Sławińsk.

Czy uda się obronić miasto? To zależy od tego, kto się pierwszy wykrwawi. Nie wiadomo, czy ogłaszana od dawna rosyjska ofensywa nabierze takiego impetu, by przerwać ukraińskie pozycje. Na razie o każdy metr toczą się zacięte walki, a obie strony ponoszą potężne straty.

Gdy medycy po raz kolejny wyjeżdżają z Bachmutu, gnają jak najszybciej, by przejechać między ostrzeliwanymi polami. Nagle rozlega się straszny huk, a idący poboczem żołnierze padają na ziemię. O karoserię mikrobusem coś uderza, zapewne kawałki rozrzucającej przez wybuch ziemi. Znowu udało się im wyjechać. ©

Medycy z Bachmutu, 11 lutego 2023 r.



KRAJ W SKRÓCIE

BRAWO POSEŁ

„Szanowni panowie, wstańmy, pokażmy teraz, jak jesteśmy dumni z naszych ministrów. Brawo! Brawo minister Czarnek! Brawo minister Czarnek!! Wstajemy! Brawo!” – skandował w Sejmie z zapalem stadionowego „gniazdowego” Janusz Kowalski.

BRAWO MINISTER

„Niemiec zawsze uważał Polaka za gorszego. Niemiec zawsze wie lepiej. Niemiecki polityk może wybierać sędziego, polski nie. Niemcy mogą mieć kopalnie węgla. Polacy nie. Hitler wpoił im przekonanie, że są rasą panów. Hitlera nie ma, przekonanie pozostało” – napisał na Twitterze Zbigniew Ziobro.

BRAWO PREZYDENT

Szczęśliwie są funkcjonariusze publiczni poważniejsi od polityków Solidarnej Polski. Na polecenie prezydenta miasta w toaletach 43 rzeszowskich szkół zamontowano skrzynki, w których umieszczono tampony, podpaski, wkładki i chusteczki higieniczne. Rzeszów to kolejny – po m.in. Warszawie, Krakowie i Gdańsku – samorząd, który dotychczas do akcji fundacji „Różowa skrzyneczka” walczącej z wykluczeniem menstruacyjnym. Z raportu Kulczyk Foundation wynika, że 10 proc. uczennic w trakcie menstruacji nie wychodzi z domu.



MATERIAŁ PRASOWY UM RZESZÓW

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

Pojedynek na słabości

MAREK RABIJ: Spodziewał się Pan, że Andrzej Duda odeśle nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym do Trybunału Konstytucyjnego, co znów opóźni wypłatę pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy?

JAROSŁAW FLIS: Decyzja prezydenta jest zaskakująca w tym sensie, że osłabia obóz władzy. Zarazem oddaje skalę konfliktu wewnątrz niegdyś Zjednoczonej Prawicy, który od dawna nie jest tajemnicą, nie można więc mówić o całkowitym zaskoczeniu. Raczej o zdziwieniu, że nawet tak ważna z punktu widzenia władzy sprawa jak miliardy z KPO pada ofiarą frakcyjnych sporów. Z monolitu, jakim PiS i jego koalicjanci byli w pierwszych latach sprawowania władzy, zostało wspomnienie. Do tego pielęgnowane głównie przez część opozycji, której marzy się własna wersja monolitycznej koalicji.

Bez szans?

Zapytałbym raczej o sens. Nie widzę powodów, żeby na siłę wypychać na jedną listę Koalicję Obywatelską, Lewicę, PSL i Polskę 2050. Bezpiecz-

GRAŻYNA MAKARA



niejsze jest skrócenie liczby osobno startujących partii o jeden. Opozycja startująca na dwóch albo trzech listach uzyska podobną liczbę mandatów do tej, na którą może liczyć jedna lista.

A do tego uniknie sporów i szantaży, które w tej chwili pochłaniają energię jej liderów. Do jednej listy dąży głównie Donald Tusk, ale nawet on już chyba rozumie, że próbuje łączyć na siłę byty zbyt od siebie odległe. Małe partie obawiają się tej największej. Zbliżenie Hołowni z PSL to właśnie sygnał w stronę PO: możemy iść do wyborów razem, ale bez was.

Zwolennicy jednej listy boją się symbolicznej wygranej PiS. Wiadomo, że prezydent powierzy misję utworzenia rządu swojemu obozowi – nawet gdy nie będzie on dysponować większością w Sejmie.

Polską polityką rządzi od lat przekonanie o omnipotencji PiS. Proszę zauważyć, że w tej logice opozycja zakłada już przegraną. Tymczasem rządzący są w trudnym położeniu – są skłóceni i spasieni władzą. Inflacja, kryzys energetyczny i problemy w relacjach z UE idą w dużej mierze na ich konto, nie wspominając o skandalach w rodzaju „willa plus”. PiS potyka się wciąż o własne nogi. Opozycja zaplątała się za to w wizję jednej listy i nie umie ruszyć do przodu. ©P

Legalna aborcja:
kogo chroni klauzula sumienia

NIE 14, LECZ 24 LATA to wiek niepełnosprawnej intelektualnie ofiary gwałtu, której lekarze jednego z podlaskich szpitali mieli pod koniec grudnia odmówić aborcji, powołując się na klauzulę sumienia. Z ustaleń Rzecznika Praw Pacjenta wynika także, że legalnego przerwania ciąży dokonano w Warszawie kilka godzin po tym, jak prokuratura wydała zaświadczenie o popełnieniu wobec kobiety czynu zabronionego. Rzecznik, podobnie jak ministerstwo zdrowia, nie znalazł w żadnym podlaskim szpitalu dokumentacji wskazującej na odmowę wykonania zabiegu, co jednak nie świadczy o tym, że do takiej odmowy nie doszło.

Federacja na Rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, która nagłośniła sprawę, przyznaje, że pomyliła wiek zgwałconej, ale nadal twierdzi, że na Podlasiu nie mogła ona znaleźć pomocy; działaczki Federacji mówią, że przekazały Rzecznikowi Praw Pacjenta nazwę szpitala, którego ordynator kazał ciotce ofiary udać się gdzie indziej.

Przypomnijmy, że zgodnie z polskim prawem klauzula sumienia przysługuje lekarzom, ale nie szpitalom: każda znajdująca się w podobnej sytuacji kobieta powinna otrzymać pomoc w placówce, do której się zgłosiła.

©P MO

Butelka nadal
bezzwrotna

W 2019 R. Mateusz Morawiecki złożył w exposé obietnicę: wprowadzimy system kaucyjny na jednorazowe butelki plastikowe i szereg programów redukujących zużycie plastiku. Obietnicy nie dotrzymał, bo choć projekt ustawy o systemie kaucyjnym został ogłoszony ponad rok temu, a w listopadzie zakończyły się jego konsultacje, rząd dalej nie skierował go do Sejmu. Bezczynność władzy po raz kolejny krytykuje koalicja organizacji pozarządowych i przedstawicieli branży, wśród nich Polska Federacja Producentów Żywności. Jej przedstawiciele alarmują, że jeśli ustawa zostanie w zamrażarce aż do wyborów, to nie uda się systemowi wprowadzić zgodnie z planem, czyli w 2025 r. To zaś oznacza kolejne lata, kiedy puszki i jednorazowe szkło (m.in. miliony „małpek” dziennie) lądują na śmietnikach, a próby oddania butelki po piwie rozbijają się o brak paragonu.

©P KRZYSZTOF STORY

Euroszejkowie

PAWEŁ BRAVO



TO WCALE NIE RADOSŁAW SIKORSKI ZARabia najwięcej spośród polskich posłów do Parlamentu Europejskiego. Dlaczego więc akurat on przyciągnął nagle uwagę polskich mediów? A ściślej rzecz biorąc, najpierw holenderskiej gazety, bo bez jej „śledztwa”, które polegało na przeczesaniu ogólnodostępnych źródeł, nikt by się nad Wisłą dalej nie interesował tym, że przychody firmy doradczej byłego ministra pochodzą głównie z pracy dla zleceniodawców znad Zatoki Perskiej. Stało się tak dlatego, że od ujawnionej w grudniu afery z przekupywaniem przez Katar i Maroko prominentnych europosłów pojęcie „pieniądze od szeków” kojarzy się w Brukseli wybuchowo i pozwala – czy to łasym na sensację mediom, czy politycznym wrogom – łatwo postawić kogoś pod przysłowiową lupę.

Sikorski ma pełne prawo walczyć z próbą roztoczenia wokół swojej osoby korupcyjnego smrodku, jednak nie wszystkie argumenty, jakich używa, są równie mocne i uzasadnione. Porównania z tzw. Qatargate są nadużyciem. Sikorski swoje dochody z zasiadania w radzie programowej konferencji, którą finansuje rząd Zjednoczonych Emiratów Arabskich, zgłaszał w odpowiednich rejestrach. Formalnie więc jest czysty i nie popadał w konflikt interesów, zwłaszcza że, jak przypomina, w sprawach dotyczących ZEA głosował zgodnie z wytycznymi swojej grupy w PE. Ale ta odpowiedź to jednak trochę unik – głosowania na obradach plenarnych są wynikiem żmudnych ustaleń podjętych znacznie wcześniej w trakcie negocjacji między grupami oraz delegacjami krajów w ramach grup. W takich targach, po których raczej nie zostają dostępne dla opinii publicznej ślady, autorytet i prestiż poszczególnych posłów znaczą bardzo dużo – o wiele więcej, niż wynikałoby z ich formalnych umocowań. Otwiera się szara strefa nieostrych moralnie sytuacji, generujących podejrzenia czy niesmak.

Radosław Sikorski ma długie doświadczenie, rozległe polityczne kontakty i rozpoznawalność, które, jak widać, umie zmonetyzować. Nie on jeden, wygląda na to, że to jest norma, nie tylko polska. Sikorski nie wydaje się mieć z tym problemu – my możemy, przynajmniej na chwilę, zanim jego rozdmuchaną sprawę przykryją następne.

©©



ALEXANDRE MENEHINI / REUTERS / FORUM

NADZIEJA DLA MIGRANTÓW (NIEKTÓRYCH). Najpierw w Hawanie wznowiła pracę amerykańska ambasada. Teraz prezydent Joe Biden złagodził przepisy imigracyjne: co miesiąc 30 tys. obywateli Kuby – a także Haiti, Nikaragui i Wenezueli – będzie mogło legalnie przyjeżdżać do USA. Ma to ich zniechęcać do podejmowania ryzykownej podróży przez Meksyk. Liczba migrantów wzrosła w ostatnich miesiącach w związku z kryzysem gospodarczym na Kubie. Na zdjęciu: Kubańczycy z Isabela de Sagua, wsi na północnym wybrzeżu wyspy, skąd w kierunku Florydy odbijają w ostatnich latach najwięcej łodzi z migrantami. ©© ŻYM

Igrzyska na „surowych warunkach”

MIĘDZYNARODOWY Komitet Olimpijski rozważa dopuszczenie sportowców z Rosji i Białorusi do udziału w przyszłorocznych igrzyskach w Paryżu „na surowych warunkach” – mogliby wystartować w zawodach jako „neutralni”, a więc nie pod flagą narodową, a także pod warunkiem, że „nie wspierają aktywnie wojny na Ukrainie” i „w pełni przestrzegają światowego kodeksu antydopingowego”. O stanie świadomości władz MKOl świadczy już choćby to ostatnie zastrzeżenie, bo przecież akceptacja kodeksu antydopingowego musi być w sportowych zmaganiach rzeczą niepodlegającą dyskusji; razem stanowi ono przypomnienie precedensu, w którym ukarana za systemowe stosowanie dopingu Rosja mogła jednak wysłać niektórych swoich sportowców na igrzyska w Tokio i Pekinie właśnie pod flagą neutralną.

MKOl zasłania się sloganami o tym, że „żaden sportowiec nie powinien być wykluczony z zawodów wyłącznie na podstawie paszportu”, ale tak naprawdę puszcza balon próbny, badając poziom

oburzenia, jaki wywołała ta propozycja. Na razie jest ono spore – dał mu wyraz nie tylko prezydent Ukrainy, ale także np. przedstawiciele krajów nordyckich, przypominający w liście do władz światowego olimpizmu, że „sytuacja związana z wojną w Ukrainie nie uległa zmianie”. Minister Kamil Bortniczuk wziął udział w telekonferencji przedstawicieli 35 państw, których większość opowiedziała się za podtrzymaniem zasady bezwzględnego wykluczenia sportowców z Rosji i Białorusi. Niektórzy polscy politycy mówili w tym kontekście nawet o bojkocie igrzysk.

Ale MKOl ma dużo więcej problemów: wybór organizatora zimowej olimpiady w 2030 r. opóźniono o rok, a rzecz nie tylko w globalnym ociepleniu i trudnościach ze znalezieniem naśnieżonych stoków. Społeczeństwa demokratycznych krajów, np. Szwajcarii czy Niemiec, nie godzą się na organizację masowej imprezy w Alpach ze względu na zagrożenie środowiskowe. Chodzi także o koszty i wątpliwości, jakie rodzi podatność MKOl na korupcję. W olimpizmie powtarza się sytuacja znana ze świata futbolu, gdzie prawo organizacji mundialu coraz łatwiej zdobywają dyktatury, nieliczące się z kosztami i głosem własnych obywateli.

©© MICHAŁ OKOŃSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WIĘZIEN SUMIENIA

„Aby oni byli wolni, ja spłacam ich wyrok” – tak biskup nikaraguański Rolando Álvarez uzasadniał odmowę wejścia na pokład samolotu wiozącego 222 więźniów politycznych na wygnanie do USA. Dzień później hierarcha – znany z krytyki rządów Daniela Ortegi – został skazany w Nikaragui na 26 lat więzienia.

NAGRODA KS. MUSIAŁA

Tegorocznymi laureatkami przyznawanej przez krakowski Klub Chrzęścian i Żydów „Przymierze” Nagrody im. ks. Stanisława Musiała zostały historyczka Małgorzata Miedzobrodzka, autorka książki „Żydzi w Wieliczce. Opowieść dokumentalna” oraz Agnieszka Mysakowska, nauczycielka historii wieluńskiego liceum.

PERFORMATYWNE DUCHY

Promocję herezji i praktyk spirytualistycznych pod patronatem Jana Pawła II zarzucił Centrum Myśli Jana Pawła II katolicki portal Opoka.org.pl. W ramach organizowanego przez Centrum Festiwalu Nowe Epifanie ma się odbyć „performatywny seans spirytystyczny” pt. „Heretycki” poświęcony kobietom, które miały kłopot z Kościołem, m.in. Faustynie Kowalskiej. Wyjaśniając założenia spektaklu, Centrum przypomina, że w „Dziadach” Adama Mickiewicza również jest scena wywoływania duchów.

RDC **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”**
POLSKIE RADIO

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Synod mało synodalny

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI



Gdzie są tutaj dotknięci przemocą, którzy pokażą nam, jak bardzo zraniony jest Kościół?” – pytał przewodniczący episkopatu Niemiec, abp Georg Bätzing, podczas kontynentalnego etapu Synodu poświęconego synodalności, odbywającego się w Pradze (5-12 lutego). Przez cztery dni przewodniczący poszczególnych episkopatów europejskich wraz z kilkusobowymi delegacjami prezentowali wyniki krajowych etapów. Podczas obrad nie przewidziano miejsca na bezpośrednie świadectwa osób skrzywdzonych ani tych, które szczególnie borykają się z wykluczeniem w Kościele, co jest fundamentalną praktyką w niemieckiej Drodze Synodalnej.

Choć Bätzing zapewniał, że Niemcy chcą wnieść swoje doświadczenie do międzynarodowego procesu synodalnego, widać wyraźnie, że ten ostatni świadomie rządzi się innymi prawami. Brak konkretnych propozycji rozwiązań strukturalnych oraz brak debaty nad kwestiami spornymi sprawiły, że spotkanie praskie oraz jego dokument końcowy to ciekawy kalejdoskop tematów, którymi żyją poszczególne Kościoły lokalne, nieprzysługujące nam do odpowiedzi, jak praktycznie ma się objawiać synodalność w Kościele. Dokument wzywa do pogłębienia refleksji na temat synodalności, misyjności, formacji i posług oraz do „podjęcia konkretnych i odważnych decyzji w sprawie roli kobiet w Kościele i ich większego zaangażowania na wszystkich szczeblach, także w procesach decyzyjnych”.

Po otwartej i transmitowanej na żywo części przewodniczący episkopatów, już sami, zostali na kolejne trzy dni, by za zamkniętymi drzwiami „rozeznac” to, co zostało powiedziane. Mimo noty końcowej, zapewniającej o całkowitym wsparciu biskupów dla dalszej drogi synodalnej, pozostał mało synodalny symbol. ©

Papież zaprasza do cyrku

DWA TYSIĄCE OSÓB – uchodźców, bezdomnych, więźniów, prostytutki – zabrał do cyrku kard. Konrad Krajewski. Spektakl dla podopiecznych Dykasterii Posługi Miłosierdzia przygotowała trupa Rony Roller, która rok temu wystąpiła przed Franciszkiem w Auli Pawła VI (choć bardziej znana jest z batalii, jaką stoczyła z władzami Rzymu, gdy zakazano jej pokazów tresowanych zwierząt – prawo do występów wywalczyła przed sądem).

Papież bardzo ceni sztukę cyrkową, która – jak powtarza – daje ludziom radość i nadzieję. Kłauśni, akrobaci i zonglerzy często urozmaicają jego audyencje i służą za przykład maestrii osiąganą wytrwałą pracą.

Cyrkowy spektakl, zorganizowany przez papieskiego jałmużnika, to ewenement nie tylko ze względu na rodzaj sztuki. Od kilku lat Franciszek odmawia sponsorowania wydarzeń kulturalnych (koncerty, wystawy czy sympozja byłyby okazją do niekontrolowanego wpływu watykańskiej gotówki). Ale na wsparciu najbiedniejszych – i ich uśmiechu – oszczędzać nie zamierza. © P EDWARD AUGUSTYN



T. DRŁOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

„TO NAJPIĘKNIEJSZY PRZYTULEK NA ŚWIECIE, nowy dom dla ludzi bezdomnych, starszych, chorych i niepełnosprawnych” – tak s. Małgorzata Chmielewska mówiła o otwarciu nowej placówki przy ul. Foliatowej 10 w warszawskich Włochach, prowadzonej przez Fundację Domy Wspólnoty Chleb Życia. Działkę dało Miasto Warszawa, budowa została sfinansowana przez osoby prywatne i Fundację Biedronki. W nowoczesnym budynku jest 80 miejsc w pełni przystosowanych do potrzeb osób niepełnosprawnych. Gabinety medyczne i rehabilitacyjne wyposażała WOŚP. – Coraz więcej osób bezdomnych to starsi, schorowani ludzie, którzy nie mieszczą się w systemie wsparcia. Dla nich jest ten dom – wyjaśnia „Tygodnikowi” s. Chmielewska. © P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

NA TEN MOMENT

czekało z niecierpliwością wielu naszych czytelników, jak również jeden z felietonistów.

Od kilku dni dostępny jest w sieci nowy utwór Depeche Mode „Ghosts Again”. Singiel zapowiada planowany na wiosnę album „Memento mori”, który powstał po śmierci współzałożyciela zespołu Andy’ego Fletchera. W sierpniu dwa koncerty DM w Polsce.

HISZPAŃSKA BIBLIOTEKA NARODOWA

posiada w swych zbiorach tysiące anonimowych rękopisów. Żeby je przepisać, potrzeba by lat, nie mówiąc o próbie identyfikacji autorów. Sztuczna inteligencja od niedawna ułatwia badaczom tę pracę, rozpoznając autorstwo za pomocą charakterystycznych dla pisarzy kolokacji czy form fleksyjnych. Jak się okazało, jeden z anonimowych dotąd rękopisów jest autorstwa Feliksa Lopego de Vegi, jednego z najważniejszych obok Calderóna i Cervantesa przedstawicieli literatury hiszpańskiego Złotego Wieku.

TRZY POLSKIE DOKUMENTY

„30 lat wymówek” Armanda Urbaniaka, „Głos” Dominiki Montean-Pańków oraz „Bóg i wojownicy lunaparków” Bartłomieja Żmudy znalazły się w programie Thessaloniki Documentary Festival, międzynarodowego wydarzenia poświęconego dokumentom. Pokazy dla greckiej publiczności będą premierą filmów.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



KELLY SCHENK / MATERIAŁY PRASOWE RIJKSMUSEUM

WSZYSCY CHCĄ NA VERMEERA – największa w historii wystawa jego obrazów została właśnie otwarta w Rijksmuseum w Amsterdamie. Będzie czynna do 4 czerwca, ale warto się spieszyć, bo bilety są już na wyczerpaniu. Udało się zgromadzić dwadzieścia osiem zaledwie trzydziestu siedmiu obrazów (nie wszystkie ich atrybucje są pewne), które namalował Holender. Skupiona wyłącznie na jego twórczości, wyciszona ekspozycja w minimalistycznej oprawie jest doskonałym otoczeniem dla niewielkich płócien Vermeera (1632-1675). Na zdjęciu: „Dziewczyna w czerwonym kapeluszu” z National Gallery of Art w Waszyngtonie (autorstwo Vermeera nie jest pewne). © P M

Ciekawość badaczki, piekło małpiątek

NEUROBIOLOŻKA Margaret Livingstone niedawno przypadkiem odkryła, że u rebusów przywiązanie matki do dzieci opiera się na zmyśle dotyku. Pisałszy o tym w „TP” 40/2020: matkom odbierano noworodki, by wykonać na nich „planowany zabieg”, i dawano dla uspokojenia miękkie maskotki. Oszustwo się udawało. Nawet jeśli podmiana trwała zaledwie dobę, matki nie chciały już później swoich dzieci. Wołały maskotki.

Odkrycie wywołało zainteresowanie badaniami Livingstone, ale nie takie, którego mogła oczekiwać autorka. Kilkuset badaczy, m.in. Jane Goodall, zaapelowało właśnie o zaprzestanie finansowania projektu Livingstone. Chciała się ona dowiedzieć, czy mózg małp rozwinie obszar rozpoznawania twarzy, jeśli odetnie się go od odpowiednich informacji wzrokowych. A ów zabieg, któremu poddawano noworodki, polegał na zaszywaniu im powiek. Jeszcze inne trafiały do pomieszczeń, w których naukowcy nosili maski spawalnicze. To okrutne i naukowo bezwartościowe, podkreślają autorzy protestu, bo przerażone i cierpiące małpie niemowlęta nie mogą być modelem żadnej choroby czy zaburzenia rozwojowego, a taka miała być motywacja badań.

Także do czasopisma „PNAS”, w którym opisano eksperyment z maskotkami, skierowano apel o wycofanie publikacji, ze względu na promowanie nieetycznych praktyk.

© P Ł K

Rybka ze zdjęcia

WARGATEK SANITARNIK to rybka-czyszcicielka – żywi się pasożytami występującymi na skórze i łuskach innych ryb. Taka działalność usługowa wymaga sprawnego wzroku i samokontroli (łatwiej i smaczniej byłoby podgryzać klientów), dlatego Masanori Kohda z zespołem chcieli sprawdzić, czego jeszcze te rybki mogłyby się nauczyć. Kilka lat temu postawili je przed lustrem i dowiedli, że potrafią się w nim rozpoznać.



DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Teraz ci sami badacze pokazali rybkom fotografie ich samych lub innych osobników – na wszystkie reagowały agresywnie. Później dano im lustra. Gdy wargatki nauczyły się już rozpoznawać własne odbicie, jeszcze raz pokazano im różne fotografie: własne, innych rybek, ciała innej ryby z pyszczkiem tej badanej oraz ciała badanej rybki z pyszczkiem innej. Wargatki nie atakowały zdjęć w pierwszym i trzecim przypadku, co sugeruje, że potrafią rozpoznawać się także na fotografii. I to po twarzy – a więc podobnie jak my.

© P Ł K



DLACZEGO WSZYSCY SIĘ MYLĄ?

Instytucje państwa, prawa i normy postrzegamy jako słabe i pasywne. Sądzymy, że ku przyszłości może nas poprowadzić tylko buntownik łamiący zasady.

Dlatego arogancja zostaje wyniesiona do rangi cnoty.

Ignorancja uznana jest za siłę.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

JAK TO SIĘ DZIEJE, ŻE NIEKTÓRZY Z NAS WSTAJĄ pewnego dnia z łóżka z przekonaniem, że wszyscy się mylą? Ekspertki i lekarze, politycy i dziennikarki – wszyscy oni przegapią najprostsze rozwiązanie, nie widzą oczywistych danych. Wszyscy dali się sprowadzić na manowce, podążając za stadem i tylko ty rozumiesz, jak jest naprawdę.

Syndrom Kopernika

Nie tylko my mamy takie przebudzenia. Zdarzają się również w Brazylii... Rok 2023 nie zaczął się tu dobrze. Jair Bolsonaro nie pogodził się z przegraną w walce o reelekcję. Ustępujący prezydent zamiast gratulacji dla zwycięzcy udostępnił w mediach społecznościowych wideo podważające wiarygodność całego procesu wyborczego. Zwolennicy Bolsonaro przypuścili atak na budynki rządowe w stolicy. Protesty przypominały niesławny szturm na Kapitol po przegranej Donalda Trumpa, ale też – o czym warto przypomnieć – brutalne zamieszki, jakie niemal dokładnie sto lat temu przetoczyły się przez ulice Warszawy po wyborze Gabriela Narutowicza.

Paliwem dla protestów stały się także spory o politykę wobec covidu czy zmian klimatycznych, które w ostatnich latach wbiły

potężny klin między masy a ekspertów. Za każdym razem chór głosów i transparentów układa się w podobne hasła: „elity ukradły zwycięstwo masom”. Wadliwy jest nie wynik, lecz same reguły gry, zawsze przechylające szalę zwycięstwa na stronę silniejszych. Najwyższy czas wyrzucić stolik i skończyć z dyktaturą oderwanych od życia autorytetów! Być jak Mikołaj Kopernik.

Kopernik jest zaskakująco ważną postacią we współczesnym panteonie teorii spiskowych. Jeżeli z jakiegoś powodu postanowicie zajrzeć do publikacji negujących skuteczność szczepień, fakt ocieplania się klimatu lub kształt naszej planety, jest ogromna szansa, że traficie tam na passus poświęcony jego postaci. Nie występuje w nich jednak jako astronom, matematyk czy ksiądz.

W kwestii miejsca Ziemi we wszechświecie też kiedyś panował konsensus – usłyszycie. A potem przyszedł Mikołaj Kopernik. Miał odwagę iść pod prąd, myśleć niezależnie, udowodnić wszystkim, że się mylą. Zamiast siadać do gry – wyrzucił stolik, jak przystało na prawdziwego rebelianta. Figura takiego buntownika odgrywa istotną rolę w wielu kulturach. Wynika to z prostej zasady – najbardziej sugestywny



⇒ i zapadający w pamięć sposób przedstawienia zasad to opowieść o ich złamaniu i wynikających stąd konsekwencjach. W ten sposób zbudowana jest przecież opowieść o wygnaniu z raju i wiele greckich mitów, klasyczne baśnie i współczesne dobranocki.

Niektóre kultury przywiązują do postaci buntowników jeszcze większą wagę, niekoniecznie obsadzając ich w klasycznych rolach złoczyńców lub synów marnotrawnych. W szybko zmieniającym się świecie nowa wiedza zdobywana przez najmłodszych członków społeczeństwa okazuje się cenniejsza od tradycji przechowywanej przez przodków. Błyskawiczna adaptacja stanowi warunek przetrwania, a rebeliant nie jest już wyrzutkiem skazanym na surową karę, lecz przewodnikiem ku lepszej przyszłości.

Na przeciwnym biegunie mieszczą się kultury, w których wobec stabilności warunków przyrodniczych i społecznych mądrość dziadków i rodziców stanowi bezcenny zasób norm i wartości dla dzieci. Istotną funkcję pełni szeroki konsensus i związana z nim mądrość zbiorowa.

Jako globalna wspólnota kształtowana przez hollywoodzkie filmy i seriale stanęliśmy dziś wobec fascynującego zderzenia kultur. Przeżywamy starcie między „kulturowym osadem” a nowymi trendami. Buntownicy są bohaterami, ale główną przeszkodą stojącą na ich drodze nie są już smoki czy przeciwności losu, lecz konieczność przezwyciężenia konserwatyizmu własnej wspólnoty – w tym się streszcza nasza nowa mitologia. Pozytywnie odnosi się ona do hiperaktywnych, zbuntowanych jednostek w typie fikcyjnego Bruce’a Wayne’a (Batmana) czy rzeczywistego Elona Muska.

Instytucje państwa postrzegamy jako słabe i pasywne, dawne prawa i normy nie są już w stanie obsłużyć błyskawicznie zmieniającej się rzeczywistości. Uznaliśmy więc, że przez świat postępu i innowacji poprowadzić nas może tylko nieustraszony buntownik łamiący zasady. Może i popełnia błędy, ale przynajmniej próbuje, zmienia coś, działa... Arogancja zostaje wyniesiona do rangi cnoty. Ignorancja uznana jest za siłę.

Taka postawa jest oparta na przeświadczeniu, że wszyscy wokół się mylą i nie warto ich słuchać. Okazuje się ona jednak znacznie mniej skuteczna, niż nam się wydaje. Prawdziwe rewolucje zaskakująco często dokonują się bowiem przez

Dzisiaj buntownicy też są bohaterami, ale główną przeszkodą stojącą na ich drodze nie są już smoki i potwory, lecz konserwatyzm własnej wspólnoty.

dialog. Interesującej lekcji dostarcza tu historia samego Kopernika.

Jak ujmuje to badacz rewolucji naukowych Thomas Kuhn („Przewrót kopernikański”): „Znaczenie »De revolutionibus« polega zatem w mniejszym stopniu na tym, co dzieło samo mówi, niż na tym, co dzięki niemu powiedzieli inni. Praca ta dała początek rewolucji, której sama raczej nie proklamowała. Jest to raczej tekst rewolucjonizujący niż rewolucyjny” (przeł. Stefan Amsterdamski). Siła Kopernika nie polegała na tym, że radykalnie zrywał z dotychczasową tradycją astronomiczną, lecz właśnie na tym, że wszedł z nią w dyskusję, wprowadzając konkretne nowe elementy. Jest to więc dzieło, którego znaczenie „zrozumieć można tylko wówczas, jeśli patrzy się jednocześnie w jego przeszłość i przyszłość, na tradycję, z której wyrosło, i na tradycję, którą zrodziło”.

Nie jest to wyjątkowa cecha myśli Kopernika, lecz typowa struktura rewolucji naukowych. Przełomów w nauce nie dokonywali ignoranci gardzący konsensusem, bo rewolucje naukowe nie polegają na zburzeniu istniejącego porządku, lecz na jego przeformułowaniu. Ich źródłem nie jest arogancja, lecz pokora.

Ale czy naprawdę nie zdarza się, że cesarz jest nagi? Czy nie bywa tak, że wszyscy się mylą, ale odkryć to może tylko człowiek z zewnątrz, nieuwikłany w układ, nieskażony wiedzą ze starego porządku? Owszem, pewnie zdarza się i tak. Jednak niezmiernie rzadko. Te przypadki rzucają nam się w oczy nie dlatego, że są typowe, lecz przeciwnie – dlatego, że są wyjątkowe. No właśnie... Oto kolejny trop pozwalający nam wyjaśnić powszechne przeświadczenie, że wszyscy inni się mylą.

Paradoks dwugłowego cielęcia

Toczyliśmy niedawno rodzinną dyskusję na temat pewnego zagadnienia związanego z bezpieczeństwem dzieci (nie przytaczam tu szczegółów, żeby niepotrzebnie nie straszyć czymś, co nie jest groźne). Stałem na stanowisku, że takie rzeczy się nie zdarzają, ale szybkie poszukiwania w internecie pokazały, że w Wiedniu niedawno miała miejsce taka właśnie, niepokojąca sytuacja. Donosiła o nim także polska prasa. Informację powtórzyło kilka tytułów.

Na pierwszy rzut oka był to dowód obalający moją tezę. Okazało się przecież, że niebezpieczeństwo istnieje. Po chwili doszliśmy jednak do wniosku, że sprawa nie jest wcale taka prosta. Media na całym świecie podchwyciły temat nie dlatego, że incydent w Wiedniu był typowy, ale właśnie dlatego, że był czymś rzadkim i niezwykłym. W przestrzeni medialnej wyjątek jest zawsze ciekawszy niż reguła.

Nazwijmy to zjawisko „paradoksem dwugłowego cielęcia”. Kilkaset milionów krów rodzących w ciągu roku cielęta w ogóle nie zwraca naszej uwagi. Co innego to jedno, wyjątkowe – cielę o dwóch głowach. Warto się temu zjawisku przyjrzeć nieco uważniej, bo łączy się z nauką i jej społecznym postrzeganiem. Na uniwersytecie, w szczególności zaś na wydziałach reprezentujących nauki ścisłe, na pozór odbywa się wielkie polowanie na dwugłowe cielęta. Formułujemy hipotezę, a potem testujemy ją, celowo szukając przypadków, które nie pasują do reguły. To podstawowa strategia, na której ufundowany jest postęp w nauce i technologii.

Aby jakieś zdanie w ogóle rozpatrywać w kategoriach naukowych, musi istnieć potencjalny sposób, żeby dowieść jego fałszywości. Zdanie „wszystkie łabędzie są białe” spełnia to kryterium, bo łatwo wyobrazić sobie prostą sytuację, w której dochodzimy do przekonania o jego fałszywości: oto na jeziorze przed nami pojawia się łabędź czarny, czerwony albo różowy. Z kolei jakiegokolwiek zdanie odnoszące się do barwy niewidzialnego, niewykrywalnego łabędzia-ducha będzie twierdzeniem niefałszyfikowalnym, podobnie jak wypowiedzi oparte na nieprecyzyjnych, uznaniowych kategoriach, takich jak „dobre” czy „piękne”.

Nowoczesna nauka systematycznie poszukuje różowych i czarnych łabę-

dzi, omija zaś szerokim łukiem łabędzie niewykrywalne oraz te piękne i dobre. Gromadzenie kolejnych białych łabędzi zwykle nie bardzo ją interesuje. Efekt potwierdzenia (*confirmation bias*) – psychologiczny mechanizm skłaniający nas do gromadzenia kolejnych dowodów na potwierdzenie naszych tez – jest powszechnie znanym, podstępny wrogiem akademików, którego osoby piszące oraz recenzujące artykuły naukowe czy wnioski grantowe starają się, odpowiednio, unikać i tropić.

Tak mówi teoria nauki. Tyle że w praktyce, zwłaszcza zaś w kontekście zjawisk społecznych, sytuacja często przedstawia się nieco inaczej. Tu jeden wyjątek zwykle nie obala reguły, gdyż formułowane są one w języku statystyki i rachunku prawdopodobieństwa, a nie wielkich kwantyfikatorów. Zamiast „zawsze”, „wszyscy”, „nigdy” dostajemy „średnio”, „częściej”, „zazwyczaj” lub precyzyjne „w 86,2 proc. zbadanych przypadków”. Dlatego właśnie niedawny śnieg za oknem nie dowodził, że wszyscy naukowcy piszący o globalnym wzroście średnich temperatur się mylą.

Niestety, anomalie mają moc przyciągania naszej uwagi i odwracania jej od danych statystycznych. Kiedy już wpadliśmy na trop jednej z nich, kiedy wśród miliarda krów zamieszkujących planetę wypatrzyliśmy nasze dwugłowe ciele, swoją rolę zaczyna odgrywać efekt potwierdzenia. Teraz będziemy konsekwentnie wypatrywać wszystkich wyjątków, ignorując normę i utwierdzając się w przekonaniu, że wszyscy się mylą.

Jonathan Haidt, psycholog społeczny, zwracał uwagę na podobne zjawisko w kontekście polaryzacji politycznej. Jeżeli ktokolwiek użyje rasistowskiej obelgi albo narysuje swastykę w jakimś miasteczku w Illinois – wyjaśniał – każdy na lewicy to zobaczy i będzie komentował. Do konserwatystów dotrą z kolei tylko najbardziej ekstremalne wypowiedzi i działania lewicowych aktywistów. W ten sposób każda ze stron buduje sobie przesunięty ku skrajności obraz politycznych przeciwników. Proponowaną przez Haidta odpowiedzią jest eksponowanie ludzi na najlepsze, nie najgorsze idee z obydwu stron (norma, a nie ekstremum). Pomóc może także pogłębienie samoświadomości obywateli – nauka już od najmłodszych lat szkolnych o psychologicznych mechanizmach i złu-



Diament i beztalencia

W ROKU 1978 Pauline Clance i Suzanne Imes publikują przełomowy artykuł o „syndromie oszusta” nękałym wiele kobiet, które wybiły się w swojej branży (zob. „Strzeż się oszust!” „TP” 15/2020). Wskazują w nim, że kobiety znacznie częściej niż mężczyźni podważają własne kompetencje, a swoje sukcesy przypisują czynnikom zewnętrznym (szczęściu, mentorom, kolegom). To nieuzasadnione poczucie braku kompetencji jest interesującym rewersem fałszywego przekonania o własnej nie-

omyślności. Różnice między płciami ujawniają się wyraźnie w danych dotyczących inwestowania, decyzji zawodowych, przede wszystkim jednak – w statystykach wypadków drogowych.

MĘŻCZYŹNI wykazują znacznie większą tendencję do przeceniania swoich kompetencji jako kierowców. To nieuzasadnione przekonanie o własnej nieomyślności prowadzi ich do wielu niebezpiecznych zachowań, przez co mężczyźni są sprawcami nieproporcjonalnie dużej

liczby poważnych wypadków drogowych.

DANE amerykańskiego Departamentu Transportu pokazują, że w roku 2020 aż 72 proc. kierowców, którzy ponieśli śmierć w wypadku, to mężczyźni. 33 proc. śmiertelnych wypadków spowodowanych przez mężczyzn związanych było z alkoholem (23 proc. w przypadku kobiet). 30 proc. śmiertelnych wypadków spowodowanych przez mężczyzn wynikało z przekroczenia prędkości (20 proc. w przypadku kobiet). Oczywiście badacze biorą pod uwagę również fakt, że ze względu na niższe przekonanie o własnych kompetencjach kobiety częściej zasiadają w fotelu pasażera.

PŁEĆ to nie wszystko. Bardzo istotny jest również wiek. Badanie przeprowadzone w Wielkiej Brytanii wykazało, że aż 71 proc. młodych osób posiadających prawo jazdy uważa, że prowadzi samochód „lepiej niż przeciętny kierowca”. Pogląd taki wyraziło 75 proc. młodych mężczyzn i 68 proc. młodych kobiet.

© MN

dzeniach, którym każda i każdy z nas podlega – na specjalnych zajęciach „psychologia dla demokracji”.

Z dwugłowym cieleciem wiąże się jeszcze jedna pułapka. To, co dziwne, spektakularne, jednorazowe, wyjątkowe, przysyłania nam normę. A to właśnie norma decyduje o naszym życiu. Przeraza nas dwugłowe ciele, a tymczasem miliard jednogłowych krów stanowi olbrzymie obciążenie dla planety. Niestety, mówiący o tym naukowcy mają trudności z przebicciem się do telewizyjnego studia, bo czas antenowy wypełniają ciekawostki o cielaku mutancie. Racja podzielana przez wszystkich w ogóle nie jest ciekawa.

Pragnienie działania

Odczuwasz dziwne mrowienie? Trudno ci usiedzieć w miejscu, a głos w twojej

głowie powtarza „zrób coś, teraz, natychmiast”? Możliwe, że właśnie ulegasz nieuzasadnionemu pragnieniu działania (*action bias*).

Jest wiele rozsądnych powodów, by raczej działać, niż leżeć całe dnie brzuchem do góry. Ciężka praca zwykle popłaca, a ignorowane problemy rzadko rozwiązują się same. A jednak, jak przekonują naukowcy Anthony Patt i Richard Zeckhauser, autorzy pojęcia *action bias*, nasza skłonność do działania może być też nieracjonalna. Czasem działamy nie dlatego, że mamy świetny plan, ale dlatego, że nie potrafimy przyznać, iż nie wiemy, co właściwie należałoby zrobić, lub też że w danej sytuacji po prostu nie da się podjąć żadnych rozsądnych działań.

Nieuzasadnione pragnienie działania dopada nas w wielu sytuacjach, prowadząc do mierzalnych negatywnych ➔

→ konsekwencji. Najdokładniejsze zmierzenie negatywnych konsekwencji *action bias* możliwe jest w ekonomii. W kilku popularyzatorskich tekstach o finansach trafiłem na ślad fascynującego badania przeprowadzonego przez firmę Fidelity Investments. Jej analitycy chcieli się dowiedzieć, co wyróżniało najskuteczniejszych inwestorów. Kiedy zebrali dane na temat najlepiej radzących sobie kont, okazało się, że należą one do... nieboszczyków.

Dalsze poszukiwania wykazały, że słynne badanie jest finansową legendą miejską. Kryje się w nim jednak ziarno prawdy. Skuteczni inwestorzy może niekoniecznie byli martwi, ale z pewnością opanowali znaną oposom sztukę udawania nieżywych. Rzetelne badania pokazują bowiem, że zwykle kluczem do sukcesu w inwestycjach okazuje się nie hiperaktywność, lecz cierpliwość. Tak jest: wyniki uzyskiwane przez inwestorów są zwykle odwrotnie proporcjonalne do ich aktywności! Wyjaśnić to można przez porównanie do sytuacji doskonale znanej mieszkańcom miast, kiedy stojący w korku zwykle odnoszą wrażenie, że sąsiedni pas ruchu porusza się szybciej. Jednak uleganie temu instynktowi wcale nie przyspiesza podróży, generuje natomiast koszty (czasowe, energetyczne, finansowe itp.) związane ze zmienianiem pasa. W dodatku nadmierna aktywność wszystkich uczestników może prowadzić do przeciążenia całego systemu – wyobraźcie sobie tylko korek gigant, w którym wszyscy zajmują się nieustanną zmianą pasa!

Naprawdę ciekawie robi się wówczas, gdy połączymy pragnienie działania z syndromem Kopernika i paradoksem dwugłowego cielęcia. W kulturze gloryfikującej buntowników i skupionej na spektakularnych wyjątkach imperatyw działania staje się jeszcze silniejszy. Świętym prawem staje się model działania króla Juliana – władcy lemurów z filmu „Madagaskar” – „teraz prędko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu!”.

Jeżeli przyjrzymy się np. reklamom aplikacji do inwestowania czy firm bukmacherskich, zauważymy, że często zbudowane są one na podstawie reguły „jak to możliwe, że wszyscy się mylą”. Wiesz, jaki będzie wynik? Jesteś mądrzejszy od innych? Masz intuicję? Obstaw, zainwestuj, kup, sprzedaj, zrób coś! W kulturze nieustannych okazji bierność jest najcięższym grzechem.

Kiedy pragnienie działania połączy się z syndromem Kopernika i paradoksem dwugłowego cielęcia, świętym prawem staje się model aktywności króla Juliana: „teraz prędko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu!”.

Co ciekawe, ekonomista Brad M. Barber w klasycznym artykule „Boys will be Boys: Gender, Overconfidence, and Common Stock Investment” pokazuje, że nadmierna wiara we własne kompetencje i związany z nią *action bias* wyraźnie częściej dotyka mężczyzn niż kobiety. Jeśli kobiety częściej budzą się z przeświadczeniem, że wiedzą mniej niż w rzeczywistości, to mężczyźni mają tendencję przeciwną – do ulegania urojeniom na temat własnej wielkości i podejmowania nieracjonalnych, pochopnych decyzji w przekonaniu, że są najmądrzejsi na świecie. To oni ponoszą straty związane z nadmiernie częstym kupowaniem i sprzedawaniem aktywów, to oni częściej zmieniają pas, to oni dają się skusić reklamom firm bukmacherskich.

Złudzenie głębi

Jest jeszcze czwarty mechanizm psychologiczno-kulturowy prowadzący nas do przekonania o tym, że wszyscy wokoło są głupi. To złudzenie głębi poznawczej, które demonstruje jeden z moich ulubionych eksperymentów psychologicznych.

Dwadzieścia lat temu Leonid Rozenblit i Frank Keil skorzystali z płyty popularnej wówczas elektronicznej encyklopedii „The Way Things Work 2.0” („Jak działają rzeczy”), by stworzyć listę kilkunastu przedmiotów takich jak helikopter, zegarek elektroniczny, zamek błyskawiczny czy prędkościomierz. Były to obiekty często spotykane w codziennym życiu, a wyjaśnienie zasady ich działania nie wymagało specjalistycznej wiedzy. Kiedy więc badacze zapytali grupę

studentów o to, jak dobrze rozumieją poszczególne mechanizmy, większość miała poczucie, że orientuje się w nich całkiem nieźle. Wtedy Rozenblit i Keil poprosili badanych o wyjaśnienie kilku kluczowych szczegółów dotyczących omawianych przedmiotów. Jak łatwo odgadnąć, wiedza badanych okazała się znacznie płytsza, niż im się pierwotnie wydawało. Gdy studenci dostali szansę, żeby ponownie ocenić swoje rozumienie mechanizmów, przyznawali sobie niższe noty niż na początku. Różnica pomiędzy pierwotnym przeświadczeniem o własnej wiedzy a wiedzą rzeczywistą to właśnie złudzenie głębi poznawczej.

Kolejne podobne eksperymenty wykazały, że owo złudzenie jest mocno związane z wiarą w teorie spiskowe, a także z polaryzacją polityczną. Wydaje nam się, że rzeczywistość jest prosta, a zjawiska społeczne i fizyczne mają banalne wyjaśnienia. Jeżeli więc ktoś nie zgadza się z naszymi poglądami – zapewne wynika to z jego złej woli, głupoty lub uwikłania w spisek.

Badania przeprowadzone kilka lat temu przez psychologów z Lehigh University w Pensylwanii sugerują, że wpływ złudzenia głębi poznawczej jest tym silniejszy, im mniejsza jest rzeczywista wiedza na temat mechanizmów politycznych, oraz nasila się u wyborców głosujących na przegranego kandydata. Poczucie, że jakimś cudem wszyscy się mylą, prowadzi wówczas do odrzucenia politycznego *status quo* i delegitymizacji całych procedur demokratycznych.

Po wyborczej nocy budzimy się z paralizującym przeświadczeniem, że politycy, dziennikarki i ekspertki nic nie potrafią. Że nie mają wiedzy i kompetencji, by wykonywać swoje obowiązki. Że jakimś cudem wszystkich nabrali, prześliznęli się przez sieć kontroli. Ale teraz to już naprawdę koniec. Nas nie oszukają i pora, by ponieśli konsekwencje!

Pragnienie działania pcha nas do czynów, kult buntowników dostarcza wzorców, a paradoks dwugłowego cielęcia sprawia, że wszędzie widzimy dowody potwierdzające naszą tezę. Najwyższy czas coś z tym zrobić. Tylko co? Skoro system jest zablokowany przez ludzi głupich lub uczestniczących w spisku, to konwencjonalne działania nie mają szans na powodzenie.

Może więc przemoc?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



TP 4 / 2023

Bronię biografii Dorothy Day

Jestem po lekturze „Dorothy Day. Życie. Działalność. Duchowość” ks. Wojciecha Zyzaka (Więź 2022), a także opublikowanej w „TP” recenzji Agnieszki Piskozub-Piwoś, która z dużą rezerwą oceniła układ książki, jej formę i język. Odniosłam wrażenie, że jej recenzja nie zachęca do sięgnięcia po książkę, z czym się nie zgadzam. To praca napisana przez naukowca zafascynowanego swoją bohaterką. Nie jest to typowa chronologicznie zbudowana biografia. Intencją ks. Zyzaka jest, wydaje się, zaproszenie do poznania Dorothy nie tylko przez pryzmat jej aktywności społecznej,

z czego jest najbardziej znana, ale raczej przez jej apele i wezwania o wewnętrzną pracę nad własną duchowością. Można uznać, że książka jest opracowaniem teologiczno-duchowym, i uważam, że jest to bardzo istotne, iż właśnie z tej perspektywy polski czytelnik może zapoznać się z biografią. Jest więc to jej atut. Autor skoncentrował się na zapleczu intelektualnym i duchowym swojej bohaterki. Na tym, co ją najmocniej charakteryzowało – „siła ciała, duszy i umysłu”. Day została ukazana z perspektywy pytania o to, dlaczego poprzez swoje działania udawało jej się realizować marzenia zmiany świata robotników, kobiet, ludzi różnych ras i kultur, czyli tych, którzy borykają się z biedą, cierpieniem, niesprawiedliwością i nierównościami. Typowe przedstawienie życia Dorothy Day to zaledwie jeden rozdział książki. Pozostałe to próba odkrycia, kto był dla niej inspiracją, kto autorytetem, gdzie było źródło jej odwagi i siły. Ks. Zyzak nie idealizuje postaci, nie ukrywa kontrowersyjnych z punktu widzenia moralności

chrześcijańskiej momentów jej życia. Intencją autora było pozwolić Dorothy Day przedstawić swoje poglądy bez próby ich recenzowania, eksponowania czy ukrywania jakichś wątków. I przez to także znajduję w tej książce obraz kobiety, która zaświadczając, kim jesteśmy jako wspólnota Kościoła katolickiego. Grzeszy, a jednak dąży do świętości, upada i zaraz powstaje, irytuje się, a mimo to walczy o tych, którzy ją irytują, cierpi, a mimo to kocha. Day w książce ks. Zyzaka jest wiarygodna, niestrudzona, odważna i niezwykła. Biografia byłaby wielce niepełna bez wyjaśnienia fenomenu jej wiary, dowiedzenia się, za kogo się modliła, jak interpretowała biblijny opis stworzenia człowieka, jak rozumiała godność osoby, czym było dla niej sumienie, w końcu – czym jest powołanie do świętości dla samotnej matki, robotnika czy rewolucjonisty. W tym, co robiła i kim się stała, przejawia się „geniusz kobiety”, o którym mówił Jan Paweł II. Fundamentem jest tutaj postawa miłości względem

Chrystusa oraz innych ludzi. Taką była Dorothy Day.

DR HAB. DOMINIKA
ŻUKOWSKA-GARDZIŃSKA,
TEOLOG KULTURY

SPROSTOWANIE

W opublikowanym tygodniu temu wywiadzie z Magdaleną Derezińską-Osiecką znalazły się nieścisłości. Autorem fotografii ze Swanetii jest Łukasz Kosut. Umieszczone w leadzie sformułowanie, że narciarstwo wysokogórskie „zapobiega depresji”, jest niefortunnym skrótem myślowym z wypowiedzi, w której ekspertka mówi o zbawiennym wpływie ruchu na profilaktykę kryzysów psychicznych. Przez niedopatrzenie nie uwzględniliśmy też jednej z poprawek zawartych w autoryzacji. Skitury uprawiane poniżej poziomu tatrzańskich schronisk są na ogół bezpieczne, ale nie są bezpieczne „w stu procentach”, czego najlepszym dowodem są lawiny spadające nie tak dawno w rejonie Morskiego Oka. Namawiamy do ostrożności, a naszą rozmówczynię przepraszamy za nieścisłości.

REDAKCJA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoreportaż: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzińska, Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydawniczy specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszki

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Księżyc i ubodzy*



„UCZYNIŁ BÓG DWA DUŻE ŚWIATŁA: DUŻE światło do rządzenia dniem i małe światło do rządzenia nocą i gwiazdy” (Rdz 1, 16). Zapewne nie są Państwo zachwyceni moim celowo dosłownym przekładem.

Tłumacze, poczynając od Jakuba Wujka, wyglądają oryginał, mówiąc wprawdzie o znacznych gabarytach obu ciał niebieskich, po czym używając słów „większe” i „mniejsze”. Wprawdzie przymiotniki nie są mocną stroną hebrajskiego i nie dysponuje on taką feerią synonimów jak języki europejskie, jednak nie ma powodu ukrywać, że w tym zdaniu mamy tylko dwa antonimy. Jak to możliwe? – pyta Talmud. Otóż słońce i księżyc zostały stworzone równe. Księżyc udał się do Najwyższego i zapytał, czy to możliwe, żeby dwóch królów nosiło jedną koronę. Bóg zaproponował, by księżyc się zmniejszył. Ów się żachnął: „Z powodu mojej słusznej uwagi mam się umniejszyć?”. W ramach rekompensaty mógłby władać i dniem, i nocą. „Na co komu świeca w biały dzień?”. Najwyższy przekonywał: „Żydzi będą korzystać z ciebie przy odmierzaniu dni i lat”. Księżyc na to: „Ale słońce będzie wyznaczać pory roku” (kalendarz żydowski jest księżycowo-słoneczny). „Sprawiedliwi będą nazwani po tobie [ty będziesz „małym światłem” i oni zostaną nazwani „małymi”, np. w Am 7, 2 Jakub, a w 1 Sm 17, 14 Dawid]”. Dla księżyca nie stanowiło to pociechy, więc Bóg poprosił, by na początku każdego miesiąca składać ofiarę z kozła za to, że zmniejszył On księżyc (zob. Lb 28, 14-15).

Nów księżyca wyznacza początek żydowskiego miesiąca. W pierwszej części Talmudu można przeczytać o obszernym dziedzińcu w Jerozolimie, gdzie zbierali się wszyscy świadkowie, którzy przychodzili zeznawać, że widzieli now księżyca. Przesłuchiwał ich tam Sanhedryn. Na dziedzińcu przygotowywano wielkie uczty, by zeznający chętnie przychodzili i świadczyli. Zaczynano przepytować parę świadków, która przybyła jako pierwsza. Najpierw osobę znaczniejszą spośród tych dwóch: Jak wyglądał księżyc? Czy był przed słońcem, czy za słońcem? Na północ czy na południe od niego? Jak wysoko nad horyzontem znajdował się księżyc i w którą stronę się przechyłał? Jakiej był szerokości? Jeśli świadectwo drugiego świadka było zgodne, przyjmowano ich zeznania. Potem pytano też następne pary – choć nie wymagała tego sytuacja. Robiono tak, by kolejni świadkowie nie czuli się rozczarowani i by ich to nie powstrzymało przed przyjściem i zaświadczeniem kolejny raz.

W mistycznej księdze ubodzy są porównani do księżyca, który nie posiada własnego światła. Należy jednak zauważyć, że tak jak słońce udziela swojego światła księżycowi, nic przy tym nie tracąc, tak samo my winniśmy dać z naszych zasobów tym, którzy mają mniej. „Pożyczajcie na Mój rachunek – rzecze Najwyższy – a ja wam zwrócę”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Koniec karnawału*



A BYŁO JUŻ TAK PIĘKNIE, JAK W DOMU – w każdym zakątku świata, msza odprowadzała się tak samo, w tym samym języku, w takich samych szatach i według takiego samego porządku... Liturgia mszalna biegła jednak dwiema drogami: ksiądz i mi-

nistranci szli jedną, a lud Boga drugą. Na Zachodzie przestrzeń kościoła dzieliły balaski z zamykaną furtką pośrodku, a na Wschodzie ikonostas. W prezbiterium działo się tak, jak chciał tego Rzym, ale w nawach już niekoniecznie. W tej przeznaczonej dla profanów części kościoła, jakby mniej świętej, panowały języki i zwyczaje, a nawet obrzędy ludowe często przeniesione z czasów przedchrześcijańskich. Na szczęście. Dzięki temu, w razie potrzeby, świątynie stawały się azylem dla prześladowanych z powodów kulturowych.

Sąsiedztwo tych dwu dróg nigdy nie było i nie jest bezkonfliktowe. To prawda, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale idących doń Rzym nie zawsze witał z serdecznością i odwrotnie. Dzisiejszy spór o synodalność jest na to dowodem i nie ma się temu co dziwić ani gorszyć. Tak było na początku. A do czego prowadzi jednomyślność zdobyta siłą lub podstępem, łatwo udowodnić. Ileż to lat trzeba było czekać na wspólną deklarację w sprawie nauki o usprawiedliwieniu!

Evangelicko-augsburski biskup Marcin Hintz, zastanawiając się nad polskim ekumenizmem, czyli przyszłością Kościoła, mówi: „Już przed laty wystąpiłem z propozycją, teologiczną koncepcją stworzenia »Pentarchii ekumenicznej«. (...) w skład której weszliby: patriarcha Rzymu, wyrażający tradycję rzymsko-katolicką, patriarcha Konstantynopola, wyrażający tradycję prawosławną, patriarcha Londynu lub Canterbury, wyrażający tradycję anglikańską, patriarcha Uppsali lub patriarcha Genewy, reprezentujący tradycję Kościołów reformowanych, a Antiochia czy Jerozolima mogłaby być symbolicznym przedstawicielem wschodnich Kościołów przedchalcędońskich. (...) Celem tego gremium byłoby szukanie wspólnych elementów w tym podzielonym świecie. (...) Poszczególni patriarchowie byłiby spadkobiercami idei pięciu patriarchatów starożytnego Kościoła: patriarchów równych sobie reprezentujących w dialogu ekumenicznym różne tradycje rozumienia Kościoła”. Ktoś na to zapyta: ale co zrobić z prymatem papieża i dogmatem o nieomyślności? Odpowiedź podsuwa Paweł Apostoł: „Czy nie wiecie, że jesteście świątynią Boga, a Duch Boży mieszka w was (...). Przeto niechaj nikt nie chlubi się ludźmi, bo do was należy wszystko: Paweł, Apollos czy Piotr, świat, życie i śmierć, teraźniejszość i przyszłość. Wszystko jest wasze. Wy zaś należycie do Chrystusa, a Chrystus do Boga”. A Bóg, jak to Bóg, „chyttrze się uśmiecha, że o niczym nie wie”. Karnawał, jak wielki post, też *kairos*. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Sługa stworzenia

*Gdyby ktoś przez sto lat pytał
życia: dlaczego żyjesz?
– gdyby mogło mówić,
odpowiadałoby zawsze to samo:
żyję dlatego, że żyję.*

MISTRZ ECKHART



*Nie wolno być niewolnikiem
swych celów.
Trzeba stać ponad
swymi celami.*

HENRYK ELZENBERG



LITURGIA ZAPROSILA nas ostatnio do lektury Księgi Rodzaju. Otwierają ją dwa opisy stworzenia. Pierwszy z nich (Rdz 1, 1 – 2, 4a)

przynależy do młodszej tzw. tradycji kapłańskiej; drugi (Rdz 2, 4b-25) – do starszej (o dobrych kilkaset lat) tradycji jahwistycznej. Tradycja kapłańska jest najmłodsza spośród czterech tradycji składających się na Pięcioksiąg – to ona nadała mu ostateczną formę (i zapewne właśnie dlatego Księga Rodzaju otwiera się kapłańskim opisem stworzenia). Owe dwa opisy stworzenia kryją w sobie różne, choć komplementarne przesłania. Jedną z różnic uderzyła mnie szczególnie w trakcie tej ostatniej lektury.

Otóż kapłański opis stworzenia porządkuje je zgodnie z określoną hierarchią – stworzenie zdaje się przypominać egipską piramidę. U jej podstawy sceneria: światło/ciemność, woda/ziemia; wyżej: rośliny (trawa, drzewa) – dające nasiona i owoce; jeszcze wyżej: ryby, „potwory” i wszelkie inne stworzenia morskie oraz ptactwo „powietrzne”; potem zwierzęta lądowe – domowe i dzikie. Wreszcie, na samym szczycie piramidy – człowiek, jedyny ze stworzeń określone jako bardzo dobre. Taka hierarchia zdaje się dobrze komponować z mentalnością kapłańską (żeby nie powiedzieć: klerykalną... – lud, lewici, kapłani, arcykapłani); ale chyba nie tylko z nią. Ludzkie doczesne społeczności przez stulecia układane były w tego typu hierarchię – z królem, faraonem, cesarzem itp. na szczycie. Taka hierarchia

nie jest jedynie hierarchią doskonałości – jest przede wszystkim hierarchią władzy: na „górze” jest ten, kto rządzi. W kapłańskim opisie stworzenia człowiek jest pokazany jako ten, komu całe stworzenie jest „poddane” – ma „panować nad rybami morskimi, nad ptactwem, nad bydłem i nad ziemią”.

W drugim opisie jest inaczej. Człowiek nie jest stwarzany na końcu. Bóg nie stwarza wielu bytów, zanim nie stworzy człowieka – ponieważ bez człowieka nie będą one w stanie istnieć i się rozwijać. Przykładowo, Bóg nie stwarza trawy przed człowiekiem, gdyż to dopiero człowiek uprawia ziemię (wszyscy się pewnie zgodzimy, że nie ma sensu stwarzać trawy, jeśli się wcześniej nie stworzyło Anglików...); podobnie Bóg nie stwarza przed człowiekiem ani krzewów polnych, ani drzew owocowych, które ma on uprawiać i doglądać.

Wygląda na to, że człowiek nie jest u szczytu stworzenia, ale u jego podstawy. Nie jest tym, dla którego wszystko istnieje, ale tym, który jest wezwany, by współpracując ze Stwórcą służyć całemu stworzeniu. Piramida została odwrócona: człowiek znajduje szczęście w tym, że wszystko, co zostało mu przez Pana powierzone, osiąga dzięki niemu właściwą sobie doskonałość i pełnię życia. Nie jedyny władca, lecz sługa stworzenia. Nie autorytarne rządy i także konsumpcja, lecz odpowiedzialność i miłość do każdego ze stworzeń. Jakie to piękne, że taki właśnie jest pierwotny przekaz objawienia na temat miejsca i roli człowieka w świecie stworzeń. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 II)

7. niedziela zwykła: Kpł 19, 1-2, 17-18;

Ps 103; 1 Kor 3, 16-23; Mt 5, 38-48;

Poniedziałek: Syr 1, 1-10; Ps 93; Mk 9, 14-29;

Wtorek: Syr 2, 1-11; Ps 37; Mk 9, 30-37;

Środa Popielcowa: Jł 2, 12-18;

Ps 51; 2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6, 16-18;

Czwartek: Pwt 30, 15-20;

Ps 1; Łk 9, 22-25;

Piątek: Iz 58, 1-9a; Ps 51; Mt 9, 14-15;

Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;

1. niedziela Wielkiego Postu:

Rdz 2, 7-9, 3, 1-7; Ps 51; Rz 5, 12-19; Mt 4, 1-11.

Wybrat PIOTR SIKORA

CENTRUM ŻYCIA

Kim jest 53 proc. Polaków obojętnych wobec bieżącej polityki?

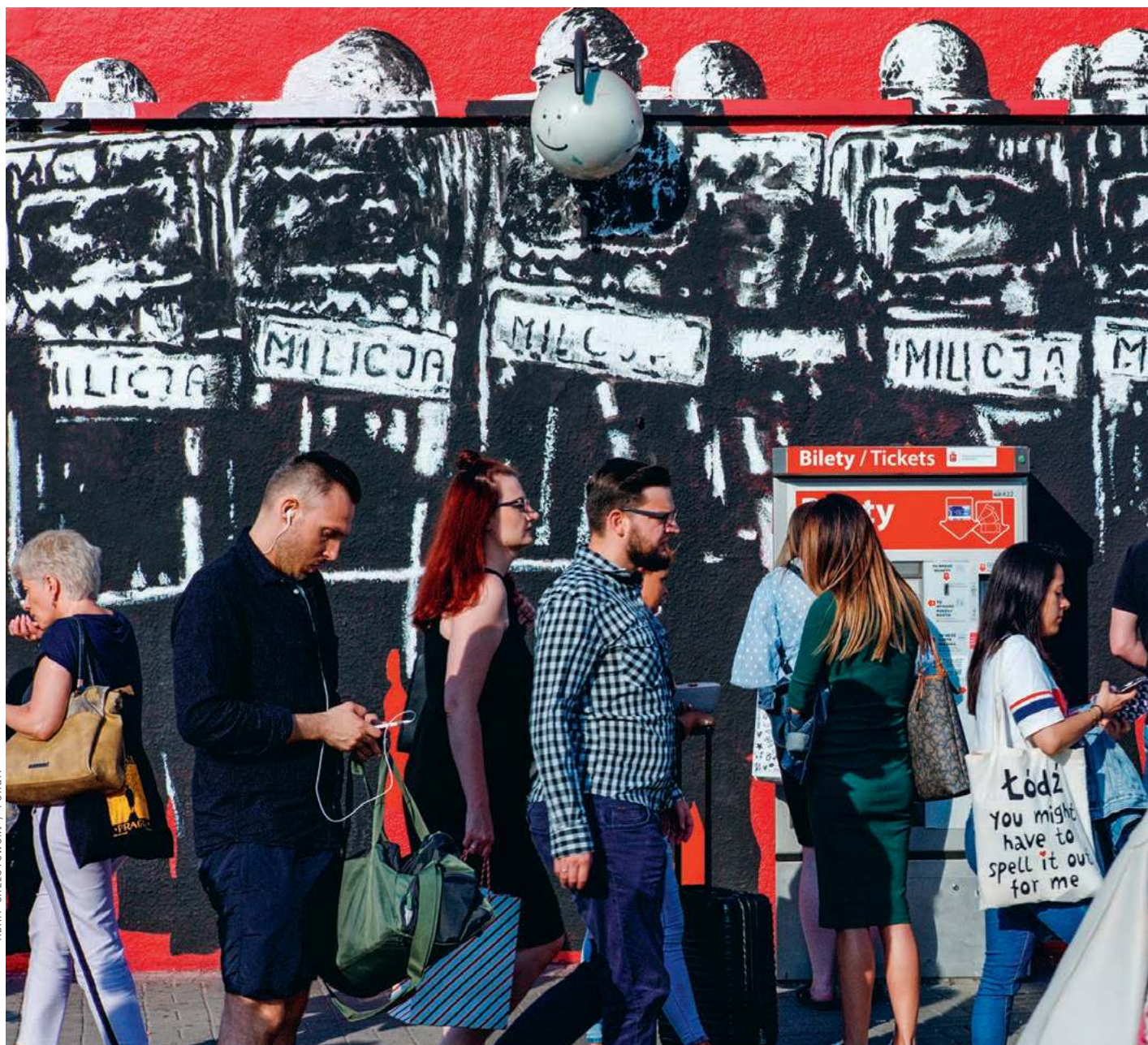
Nie chodzi o radykałów, tylko tych niezdecydowanych i umiarkowanych, których głosy będą konieczne do wygranej w wyborach.

KAROLINA WIGURA

N AJWAŻNIEJSZYM UCZUCIEM ZBIOROWYM jest dziś niepokój o bezpieczeństwo. Inflacja, wojna, pandemia, rosnące ceny energii, kryzys klimatyczny: to tylko kilka przykładów tego, co martwi wyborców w Polsce i innych krajach. Wybory parlamentarne w 2023 r. wygra więc nie ta partia, która zdoła przekonać Polaków, że gwarantuje więcej bezpieczeństwa, ale ta, która zapewni w ich oczach mniej niepewności. I tylko z tego punktu widzenia można odpowiedzieć na pytanie, czy w Polsce uda się dziś zbudować przekonującą centrową agendę, omijającą skrajności.

Wir odśrodkowy

Inna sprawa, że można się zastanawiać również nad kwestią, czy taka centrowa



agenda w ogóle jest jeszcze możliwa. Do prawdy: trudno myśleć na jej temat w trakcie poważnego kryzysu cywilizacyjnego, przez który przechodzimy. Przypomina się wiersz Williama Butlera Yeatsa „Drugie przyjście”, opublikowany niemal równo sto lat temu, w niepokojąco podobnej do naszej epoki rewolucji, wojen i przesunięć cywilizacyjnych. Już pierwsze jego fragmenty mogą dzisiejszego czytelnika przyprawić o gęśią skórę. W tłumaczeniu Stanisława Barańczaka brzmi to tak: „Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; / Czysta anarchia szaleje nad światem, / Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół / Zatapiając obrzędy dawnej niewinności; / Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych / Kipi żarliwa i porywcza moc”.

„Odśrodkowy wir” daje wyobrażenie o tym, co jest istotą zaniepokojenia Yeatsa. Skoro wir jest odśrodkowy, to znaczy, że wszystko odrywa się od środka, czyli od centrum, powodując jego przyspieszony rozpad. „*The centre cannot hold*” – tak brzmi to zdanie w angielskim oryginale, co oznacza, że rozsądne, prawe, moralne centrum nie wytrzyma naporu skrajności, okrucieństwa i negatywnych namiętności. Po-
ezja czy realistyczny opis?

Z dziejów polaryzacji w Polsce

Przeprowadzane w Polsce badania socjologiczne zdają się smutnym komentarzem do naszych problemów z rozpadem centrum. W ubiegłym roku najbardziej uderzające były chyba sondaże CBOS, z których wynikało, że zainteresowanie poli-

tyką w naszym kraju deklaruje jedynie 47 proc. respondentów. Pozostałe 53 proc. twierdzi, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Podkreślmy: z żadną polityką, a więc i tą spod znaku rządu, i tą spod znaku opozycji. To liczba rekordowa na tle historii podobnych badań w naszej historii. A przecież jako społeczeństwo i jako kultura polityczna nigdy nie mieliśmy tego centrum naprawdę dużo.

Polska jest krajem kulturowo podzielonym. W książce „Koniec pokoleń podległości” zwracał na to uwagę Jarosław Ku-
is, twierdząc, że nasza polaryzacja zaczęła się bardzo dawno: wraz z ostatecznym zniknięciem I Rzeczypospolitej z map Europy w 1795 r. To wtedy rozpoczęły się gorzkie obrachunki z traumą ustania polskiej suwerenności – podział skutkujący niechęcią do politycznego oponenta graniczącą z nienawiścią. Dodatkowo sprzyjało temu długotrwałe przeciwstawianie do-
brego ludu, nas, okupowanych i skrzywdzonych – okupantowi. Gdy okupanta ostatecznie zabrakło po 1989 r., jego kulturowa rola została przypisana przeciwnikowi politycznemu.

Resztki zgody wokół kształtu polskiej polityki i kierunku rozwoju Rzeczypospolitej zostały ostatecznie zniszczone po katastrofie smoleńskiej. Wielki kryzys, jaki stanowiła, nie został, niestety, wykorzystany jako szansa naprawy, ale jako pretekst do mentalnego wyjścia szerokiej formacji polskiej konserwatywnej prawicy z ram III RP. Zamiast wewnętrznej opozycji zaczęła ona stanowić alternatywę wobec modelu rozwoju Polski po 1989 r., a poprowadził ją do tego Jarosław Kaczyński. Podział polityczny pociągnął za sobą podział mentalny i społeczny. 53 proc. Polaków odcinających się od wszelkiej polityki w badaniu CBOS to konsekwencja tych wydarzeń (w ostatnich ośmiu latach ten odsetek regularnie wzrastał).

Katechizm Kaczyńskiego

Ale co z pozostałymi 47 procentami? Z tymi, którzy deklarują zainteresowanie polityką? Może oni wystarczą?

Pod względem preferencji partyjnych grupa ta dzieli się niemal idealnie na dwie połowy. Jedna z tych części wspiera rząd, druga opozycję. Niestety, →



Mural i przechodnie na skrzyżowaniu ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Warszawa, czerwiec 2019 r.

→ trudno określić którąkolwiek z nich jako centrum. Obie są raczej zradykalizowane. Jedną z tych połówek przekonuje mantra powtarzana na każdym spotkaniu z wyborcami przez Jarosława Kaczyńskiego: zagrożenie ze strony Niemiec, Brukseli, Zachodu, koniec cywilizacji katolickiej, popularność ruchu LGBT+, strach przed zatraćaniem tradycyjnych ról płciowych itd. Druga połówka jest z kolei sfrustrowana treścią i formą ośmioletnich rządów PiS. Obawia się partii Kaczyńskiego jako zagrożenia dla suwerenności Polski, niepokoi ją utrata części praw reprodukcyjnych przez kobiety i szerzej: ograniczenie wolności jednostek i grup mniejszościowych, kryzys konstytucyjny itd.

Nie rozstrzygam, która z tych stron ma rację. Emocje są jednak prawdziwe i politycy obu stron używają ich do komunikowania się ze swoim elektoratem. Dane CBOS pokazują, że o wyniku wyborów zadecyduje przede wszystkim jedna z tych dwóch, relatywnie niewielkich grup wyborców – dwadzieścia kilka procent będących zwolennikami jednej bądź drugiej strony naszej głęboko spolaryzowanej sceny publicznej.

Przekaz kierowany do tych grup ze strony partii, dla których są one grupami docelowymi, będzie przypominał mantrę, powtarzaną w nieskończoność po to, aby utwierdzić je w bezwyjściowym położeniu, wzmocnić tożsamość grupową i ostatecznie zachęcić do działania – czyli oddania głosu. Zachęcić swoich, zniechęcić umiarkowane centrum – zależy na tym szczególnie stronie rządzącej, która od początku swoich rządów podsyca polaryzację, stosując taktykę nazwaną przez Davida Brooksa antypluralizmem.

Partie nie przestawiają nagle swoich sterów,

nie postawią na zdobywanie wyborców centrowych na szeroką skalę. Ale będą próbować pozyskać od kilku do 10 proc. tych, którzy nie są zradykalizowani.

Małe liczby Tuska

Może więc myśląc o budowie politycznego centrum, trzeba ograniczyć ambicje. Powiedzmy otwarcie, że polska polityka w 2023 r. nie ma szansy głęboko się zmienić. Dominujące partie polityczne nie przestawiają nagle swoich sterów. Nie postawią na zdobywanie wyborców centrowych na szeroką skalę. To, co będą starać się robić, to pozyskiwanie od kilku do, powiedzmy, 10 proc. tych, którzy nie są zradykalizowani, i którzy, jak wskazuje badanie CBOS, są raczej apatyczni. Tak aby spośród tych milczących 53 proc. uszczknąć choćby kilka.

Nie znaczy to, że te 53 proc. to wyłącznie wyborcy centrowi – są tam także grupy radykałów. Chodzi jednak o tych niezdecydowanych i umiarkowanych, których głosy konieczne są do wygranej, co dobrze wyraził Donald Tusk, stwierdzając, że w tym roku czeka nas „wielka walka o małe liczby”.

Nie jest to odoosobniona sytuacja na mapie politycznego Zachodu. O Stanach Zjednoczonych pisał niegdyś w tym duchu Ronald Dworkin, pytając w tytule książki „Czy demokracja jest tutaj możliwa?”

(„Is Democracy Possible Here?”, 2006). Ale także kraje europejskie, na które chętnie się orientujemy, są mocno podzielone. We Francji od dekad trwa starcie między ideologią dotychczasowej republiki a narodowym populizmem. Niemcy, słynące z konsensualnej i propaństwowej debaty publicznej, od czasu wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie mocno się podzieliły: trwa gorzka dyskusja między zwolennikami pokoju za wszelką cenę a zwolennikami silnej i bezpiecznej Ukrainy – u nas nie zawsze łatwa do zrozumienia, bo akurat w tej sprawie Polacy i polscy politycy są raczej zgodni.

Efekt flagi

Istnieją dwie grupy tematów, które mogą posłużyć do komunikacji z centrowym elektoratem w naszym kraju.

Pierwszym są kwestie zarządzania brakiem bezpieczeństwa. Nie przebrzmiały jeszcze długotrwałe skutki pandemii COVID-19. Trwa wojna za naszą wschodnią granicą, stanowiąc nie tylko źródło bezpośredniego zagrożenia fizycznego, czego dowodem choćby rakietą, która spadła w Przewodowie. Atak Rosji na Ukrainę to także powód zasadniczego przemebrowania porządku geopolitycznego w naszym regionie, w tym sporów z bliskimi sojusznikami.

Ale brak bezpieczeństwa to również elementy ekonomiczne, ze względu na kryzys gospodarczy, inflację, wzrastające ceny energii i kryzys mieszkaniowy.

To dlatego, jak już wspomniałam na początku, wyborów w Polsce nie wygrała partia, która zapewni swoim wyborcom najwięcej poczucia bezpieczeństwa – to jest w obecnej sytuacji po prostu niemożliwe, bo cel jest zbyt ambitny. Wygrała partia, która w największym stopniu dała do zrozumienia, że potrafi ograniczyć brak tego bezpieczeństwa. Chodzi o roztoczenie poczucia, że jest się gwarantem mniejszej niepewności.

Co to znaczy dla naszej polityki? Mamy w Polsce z jednej strony rząd Zjednoczonej Prawicy, który, choć ciągnął się za nim liczne skandale i antykonstytucyjne ruchy, korzysta z tzw. efektu flagi. Polega on na tym, że w sytuacji kryzysu, szczególnie wojny, wyborcy wspierają aktualnie rządzący gabinet, zgodnie z przekonaniem, że lepsza jest nawet dość marnie działająca stabilność niż zmiana powodująca braki w obsadzie najważniejszych stanowisk państwowych na tygodnie czy mie-

7 lutego 2023 roku zmarł

Janusz Jarecki

italianista i tłumacz, aktor teatru Cricot 2, kurator, menadżer kultury, przyjaciel i dyrektor Cricoteki w latach 1989-1993.

Jego zaangażowanej i pięknej obecności będzie nam brakować. Rodzinie oraz bliskim składamy najszersze wyrazy współczucia.

DYREKCJA ORAZ ZESPÓŁ CRICOTEKI

siące. Korzyść Zjednoczonej Prawicy nie polega na tym, że na skutek efektu flagi jej popularność raptownie podskoczyła, ale na tym, że utrzymuje stabilny poziom ok. 30 proc. poparcia.

Rząd ten, jakkolwiek by był, ma z oczywistych względów lepsze narzędzia, aby prowadzić politykę zagraniczną, fundamentalną z punktu widzenia toczącej się wojny. Dodajmy, że jest to polityka dość rozsądna, wzmacniająca centralną pozycję Polski w naszym regionie i ciesząca się poparciem ze strony USA. Zapewne polityka alternatywnego gabinetu opozycyjnego mogłaby być zręczniejsza, ale jeśli chodzi o cele, to byłyby one prawdopodobnie zbliżone.

Państwo opiekuńcze

Póki więc rząd Zjednoczonej Prawicy prowadzi zasadniczo rozsądną politykę zagraniczną w kwestii wojny w Ukrainie, ma on lepsze karty w kwestii zapewnienia mniejszej niepewności. Warto dodać, że w oczach wielu wyborców marny rząd jest lepszy niż rząd nowy. Ten przynajmniej działa – powie wiele osób – a nowy musiałby wszystkiego się nauczyć. To, co normalne w czasach pokoju, może wzbudzać lęk w czasie wojny.

Kwestie bezpieczeństwa i jego braku to oczywiście również sprawy ekonomiczne. W 2015 r. tematem decydującym, Świętym Graalem wyborów, było 500 plus – wsparcie finansowe dla rodzin z dziećmi. Poparcie dla tego narzędzia wykracza daleko poza grupę tradycyjnych wyborców PiS. Dziś jest ono wciąż istotne, ale z punktu widzenia niepewności równie ważne są programy wyjścia z kryzysu, w tym zmniejszenie inflacji i obniżenie cen energii.

Tutaj Zjednoczona Prawica stara się nadgonić, przekonując, że wiele problemów rozwiąże Krajowy Plan Odbudowy.

Nie jest to nieuzasadnione, ponieważ jeśli pieniądze z Brukseli pozwolą nie tylko na opłacenie inwestycji infrastrukturalnych, ale także na programy takie jak laptopy dla czwartoklasistów, to obecny rząd ma duże szanse na wyłożenie silnych kart w partii, której stawką jest ograniczenie niepewności ekonomicznej. Z drugiej strony warto powiedzieć, że skoro inflacja jest w części skutkiem działań obecnej ekipy, to opozycja mogłaby skoncentrować się na przedstawieniu zrozumiałych programów walki z tym aspektem kryzysu, bez rozmontowywania elementów

Istnieje spora liczba spraw,
w których obie Polski
okazują się
zastanawiająco zgodne.

Jest wśród nich
nie tylko kwestia
niepodległości Ukrainy,
ale także np. konieczność
edukacji seksualnej.

opiekuńczych państwa. Byłby to ważny aspekt budowy programu centrowego.

To się klei

Pozostają jeszcze kwestie, które naturalnie przynależą do centrowej agendy i powracają przy każdej próbie sklejaniaszejszej wspólnoty w warunkach szalejącej polaryzacji. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tego typu przedsięwzięcia są skazane na porażkę. Obie strony sporu politycznego koncentrują się przecież na tematach, które najmocniej uwidaczniają ich osobne tożsamości polityczne: legalna aborcja albo jej brak, legalne małżeństwa jedнопłciowe albo ich brak, powszechna edukacja seksualna lub jej brak.

Nie jest jednak wykluczone, że istnieje elektorat, który czeka na poszukiwanie kompromisu. Uświadomiłam to sobie, obserwując reakcję na napisaną przeze mnie wspólnie z Tomaszem Terlikowskim książkę „Polka ateistka kontra Polak katolik”. Z jednej strony zawiera ona katalog różnic nieprzekraczalnych. Obie strony nie mają szansy wzajemnie się przekonać. Jednak sam akt dialogu sprawił, że książkę zainteresowała się bardzo szeroka grupa osób trudnych do łatwego zaszufładowania. Na spotkaniach autorskich spotykamy osoby w tęczowych szalikach, ale także w koloratkach, młodsze i starsze, kobiety i mężczyźni, mieszkających w naszym kraju i w polskiej międzynarodowej diasporze, w wielkich miastach i małych miejscowościach.

Wszystkie te osoby podkreślają fundamentalne znaczenie dialogu ludzi o zupełnie różnych poglądach. Zauważeni w naszej debacie publicznej, często zapominamy o nich. Polki i Polacy to nie tylko spór PiS-u z PO, ale zróżnicowane i bogate w różnorodne światopoglądy społeczeństwo, w którym wielu z nas żyje harmonijnie z bliskimi o kompletnie odmiennym światopoglądzie.

poglądy społeczeństwo, w którym wielu z nas żyje harmonijnie z bliskimi o kompletnie odmiennym światopoglądzie.

Co nas łączy

Tak, istnieje spora liczba spraw, w których obie Polski okazują się zastanawiająco zgodne – agenda związana z niepodległością Ukrainy nie jest tu wcale wyjątkiem.

Choćby kwestia edukacji seksualnej – tak, właśnie jej – którą kompromisowo ograniczylibyśmy do lekcji, podczas których uczono by dzieci, co to jest molestowanie seksualne, na co mają uważać, co powinno je skłonić do natychmiastowej reakcji i poinformowania innych dorosłych. W obliczu lawiny doniesień na temat nadużyć seksualnych w Kościele pozwalam sobie wątpić, czy katolicy rodzice takiemu pomysłowi się sprzeciwią.

Albo kwestia osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Możemy się nią nareszcie zająć – tak, aby w nowoczesnej Polsce nikt nie musiał żyć za niegodny zasiłek, rezygnując z pracy zawodowej, a jednocześnie wykonując wielką pracę opieki nad osobą z niepełnosprawnością.

Dalej, klimat – jednak prawdopodobnie nie w ujęciu globalnym, które niewielu ludzi tak naprawdę porusza. Porusza nas to, co bliskie: w jakiej kondycji jest las w moim sąsiedztwie, czy nasze dzieci będą mogły spędzić dzieciństwo w towarzystwie natury, tak jak my, ich rodzice?

I wreszcie, edukacja: czy możemy wyjść z zakłętęgo koła miernoty polskiego systemu szkolnictwa przy jednoczesnej gotowości wielu wspaniałych nauczycieli, aby ten system zmienić? Czy można pomyśleć o reformach, które nie przewracaliby znowu wszystkiego od nowa?

Budowanie centrum to dziś brawurowy pomysł. Kompromis, dialog, ograniczenie własnych pragnień, empatia? Przecież to są rewolucyjne idee, szczególnie w obliczu wojny kulturowej i mediów społecznościowych. Nie ma jednak innego wyjścia dla tych, którzy nie chcą brnąć tą samą, coraz głębszą koleiną. Przyszłość jest gdzie indziej.

© KAROLINA WIGURA

Autorka jest socjologką, historyczką idei i publicystką Kultury Liberalnej.

Za książkę „Wina narodów” otrzymała Nagrodę im. ks. Józefa Tischnera, opublikowała także „Wynalazek nowoczesnego serca. Filozoficzne źródła współczesnego myślenia o emocjach”. Ostatnio ukazały się jej rozmowy z Tomaszem Terlikowskim „Polka ateistka kontra Polak katolik”.



Minister edukacji Przemysław Czarnek i posłanka Katarzyna Lubnauer podczas debaty o aferze „willa plus”. Warszawa, 7 lutego 2023 r.

Minister Czarnek i czara dotacji

RÓŻA RZEPLIŃSKA,
DZIAŁACZKA POZARZĄDOWA:

W aferze z pieniędzmi od resortu edukacji mamy do czynienia albo z ordynarną próbą uwłaszczenia się rządzących na publicznym majątku, albo z przygotowaniami do jesiennej kampanii wyborczej.

MAREK RABIJ: Kiedy zadzwoniłem z prośbą o rozmowę, powiedziała Pani, że kończy przeglądać listę pod-

miotów nagrodzonych w konkursach rządowych, włącznie z programem nazwanym przez media „willa plus”. Coś Panią zaskoczyło?

RÓŻA RZEPLIŃSKA: Sporo organizacji, które dostały wsparcie, ma bardzo krótką metrykę; niektóre powstały tuż przed terminem składania wniosków. Druga prawidłowość – na ich czele stoją młodzi ludzie, nawet dwudziestokilkuletni. I oczywiście powiązani z obozem władzy, np. jako asystenci społeczni parlamentarzystów PiS.

Afiliacje polityczne czy więzi rodzinne to za mało, żeby odbierać komuś prawo do działalności w trzecim sektorze.

Zgoda. Ale chyba nie wierzy pan, że Przemysław Czarnek ma tak wielkie zaufanie do młodych partyjnych konfratrów, że rozdaje im miliony złotych na piękne oczy? Bo mnie bardziej prawdopodobny wydaje się jednak scenariusz, w którym osoby oddelegowane do kierowania tymi podmiotami są figurantami.

Dla zwolenników obozu władzy jeszcze prostsze wyjaśnienie tej historii sprowadza się do stwierdzenia, że Rzeplińska narzeka, bo nie ona dostała pieniądze.

Rzeplińska nie startowała w tych konkursach, nie może więc z tego powodu narzekać. Zna za to dość dobrze środowisko trzeciego sektora w Polsce oraz rządzące nim reguły i wie, że milionów złotych nie daje się organizacjom, które się zarejestrowały trzy tygodnie wcześniej – a zwłaszcza takim, którymi kierują ludzie bez doświadczenia w prowadzeniu takich projektów.

Do dużych budżetów trzeba po prostu dojrzeć. Operacyjnie i kadrowo. Najpierw robi się coś za 15 tys. zł. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i zostanie starannie rozliczone, wówczas są szanse na grant w wysokości, powiedzmy, 30-40 tys. zł. I tak dalej. W przypadku konkursów ministra Czarńka mamy dodatkowo do czynienia z podmiotami, co do których można mieć wątpliwości, czy są to jeszcze organizacje pożytku publicznego. Właściwie każdy z tej listy prowadzi działalność gospodarczą.

Też nic w tym złego. Fundacje prowadzą często biznes i w ten sposób finansują działalność statutową.

Ale tutaj tylko cztery nagrodzone organizacje prowadzą działalność *stricto* związaną z edukacją.

Oprócz nich mamy tam m.in. biuro podróży specjalizujące się w turystyce piel-

grzymkowej. Jest też sporo instytucji, które świadczą usługi szkoleniowe. Największym kuriozum na tej liście jest jednak podmiot, który na co dzień zajmuje się organizowaniem imprez dla ministerstw, oczywiście nie w czynie społecznym.

Mowa więc o organizacjach, które wcześniej działały głównie komercyjnie i nagle poczuły zew służby społecznej – a potem szczęśliwy traf sprawił, że dostały z MEiN miliony złotych na zakup nieruchomości. Oczywiście nie wierzę w taki zbieg okoliczności. Mamy do czynienia bądź z ordynarną próbą uwłaszczenia się partii rządzącej na publicznym majątku, bądź z przygotowaniami do jesiennej kampanii wyborczej. Nie zdziwię się, jeśli podmioty wsparte przez Czarnka zaczną teraz jeden po drugim zamawiać druk materiałów szkoleniowych i rezerwować sale na szkolenia. W dokumentach się wpisze, że to działalność statutowa, a w rzeczywistości pieniądze pójdą na druk ulotek wyborczych PiS i wynajem sal na partyjne wiece.

Minister odpiera zarzuty mówiąc, że wspiera prawą stronę trzeciego sektora, która za innych rządów była dyskryminowana przy rozdziale pieniędzy publicznych.

Te argumenty słyszę od rządzących od siedmiu lat. Problem w tym, że w konkursach organizowanych przez ministerstwo edukacji czy podległy premierowi Glińskiemu Narodowy Instytut Wolności liwia część dotacji przechwytyując podmioty związane z obozem władzy. Myśli pan, że jakiś młody konserwatysta w małej miejscowości ma szansę dostać rządowy grant, jeśli nie działa w lokalnych strukturach PiS?

Co mówią o tym protokoły konkursowe?

Dobre pytanie. W normalnej procedurze konkurs o środki publiczne przebiega transparentnie. Wiadomo, kto zasiada w komisji oceniającej, kto i ile punktów dostał i kto nie otrzymał dofinansowania. Minister Czarnek wszystko schował pod stołem. Wszystko, co wiemy w tej sprawie, pochodzi z dokumentów, które wyszarpała MEiN-owi opozycja. Co to ma wspólnego z regułą przejrzystości wydatków publicznych?

Tylko dla porządku przypomnę, że już ok. 25 proc. polskiego długu publicznego to zobowiązania rzą-

dowych funduszy celowych, nad którymi parlament nie ma kontroli.

No tak, skoro całe państwo nie chce się rozliczać z obywatelami, dlaczego ma to robić Przemysław Czarnek?

A ile wynosiła najwyższa dotacja z pieniędzy publicznych, jaką otrzymała Pani stowarzyszenie?

700 tys. zł. Ostatecznie ich nie dostaliśmy, ale to najwyższa kwota, jaka pojawiła się w ogóle w naszym zasięgu. A wcześniej atakowano nas za wsparcie od George'a Sorosa. Dostaliśmy wtedy 50 tys. zł, i to na projekt rozpisany na rok. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby zobrazować, w jakich realiach finansowych poruszają się najczęściej polskie organizacje pozarządowe. Oczywiście, granty unijne dają dostęp do większych kwot, ale mówię w tej chwili jedynie o finansowaniu ze środków publicznych. Dlatego ludzie z organizacji pozarządowych przecierają oczy ze zdumienia, kiedy widzą, że jedna fundacja dostaje trzy czy pięć milionów złotych. Takie rzeczy miały miejsce skrajnie rzadko i dotyczyły największych podmiotów, prowadzących prestiżowe projekty. Ale nawet one nie dostawały pieniędzy na zakup nieruchomości.

Za Platformy fundacja Kolegium Europy Wschodniej otrzymała od Skarbu Państwa zabytkowy pałacyk w podwrocławskich Wojnowicach wart około 10 mln zł – co „Wiadomości” TVP przypominają ostatnio regularnie.

Ale mowa o fundacji, której nie założył anonimowy asystent społeczny jakiegoś posła, lecz sam Jan Nowak-Jeziorański. Wśród jej fundatorów są też samorządy i znane instytucje, włącznie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, a nie osoby fizyczne. Wreszcie – była to darowizna z przeznaczeniem na cele statutowe fundacji, która nie może sprzedać pałacyku po pięciu latach, jak podmioty wsparte przez MEiN. Kolegium Europy Wschodniej prowadzi regularną działalność, fundatorzy wspierają ją merytorycznie i logistycznie.

Niech pan to teraz porówna z Fundacją „Megafon”, która w konkursie „Rozwój potencjału infrastrukturalnego podmiotów wspierających system oświaty i wychowania” otrzymała od ministra Czarnka 4,5 mln zł na zakup nieruchomości. Z wniosku wynika, że wcześniej nie

zajmowała się edukacją. Teraz zapowiada szkolenia dla seniorów, tylko że z kwitów konkursowych nie wynika, czy po zakupie tej nieruchomości fundacja w ogóle będzie miała za co prowadzić działalność. Chyba że chodzi o jej bliźniaczy projekt „Dumni z Elbląga”, który też dostał ponad 2 mln zł dotacji, a składa się z zapowiedzi szkoleń z obrony przed wyłudzeniami „na wnuczka”, obsługi urzędów AGD przez telefon, ogrodnictwa i majsterkowania.

W świetle prawa sprawa jest czysta. Zmienione niedawno przepisy pozwalają finansować ze środków publicznych nie tylko działalność statutową organizacji pozarządowych, ale również ich majątki.

Ale poza literą prawa jest też jego duch. O poczuciu przyzwoitości nie wspomnę. W tym przypadku te granice zostały przekroczone. A że robi to akurat ugrupowanie polityczne, które w kampanii wyborczej w 2015 r. próbowało dyskredytować w oczach opinii publicznej organizacje pozarządowe, insynuując im właśnie takie nieczyste zagrania – to już ironia losu.

Nie obawia się Pani, że ta afera może jednak zniechęcić część obywateli do finansowania organizacji pozarządowych?

Myślę, że trzeci sektor wyjdzie jednak z tego bez szwanku. Organizacje pozarządowe weryfikują ich działalność. A jaki wpływ na ocenę fundacji, która np. pomaga w rehabilitacji dzieci, może mieć to, że inna w podejrzanym okolicznościach dostała 2,5 mln zł? Obawiam się, że my – mam na myśli społeczeństwo – tych Czarnkowych pieniędzy nie odzyskamy, a za 5 czy 6 lat po większości tych fundacji i instytutów śladu już nie będzie.

Jednak prawdziwe NGO-sy będą nadal robić swoje.

Prawdziwe?

Organizacje pozarządowe nie mogą być nimi tylko z nazwy. Muszą funkcjonować poza strukturami państwa, wypełniać luki, których ono nie jest w stanie dostrzec, choćby z racji skali prowadzonej działalności. „Pozarządowość” oznacza też rodzaj konstruktywnej nieufności do instytucji publicznych. Tym się oczywiście na bieżąco zajmują watchdogi, czyli organizacje statutowo patrzące władzy na ręce, ale każdy podmiot z trzeciego sektora z założenia powinien na bieżąco analizować, →

→ co władza robi z tym wycinkiem rzeczywistości, którym akurat on się zajmuje. Czego rząd nie robi? Czy to, co akurat robi, można zrobić sprawniej? Jeśli dostajesz od władzy pieniądze w konkursie na krzewienie wiedzy o społeczeństwie obywatelskim, nie wolno ci siedzieć cicho, kiedy ten sam rząd gmera przy konstytucyjnych fundamentach tegoż społeczeństwa – tylko dlatego, że czynisz za biuro opłacasz z rządowego grantu.

Organizacje, którym dotacje przyznał minister Czarnek, nie są „pozarządowe” nawet w znaczeniu personalnym, bo w ich organach statutowych zasiadają ludzie PiS.

I spodziewa się Pani, że problem zniknie wraz z potencjalną zmianą władzy?

Nie jestem tak naiwna, żeby wierzyć, że następcy odłożą te zabawki na półkę tylko dlatego, że PiS bawił się nimi brzydko. Rządzący przekroczą rubikon politycznego dobrego smaku, ale następcy mogą uwierzyć, że opinia publiczna już się w pewnym stopniu do takich zagrań przyzwyczaiła – i będą chcieli robić to samo. Dlatego uważam, że organizacje pozarządowe mają teraz poważną robotę do wykonania. Musimy lepiej uzmysłowić opinii publicznej, czym są NGO-sy i jak działają. Musimy też domagać się transparentnych procedur konkursowych na każdym ich etapie.

A partie polityczne niech sobie budują zaplecze, ale z partyjnych funduszy, które pochodzą wprawdzie ze środków publicznych, ale przynajmniej nie są studnią bez dna, jak budżety ministerstw. Fundacja Polska Wielki Projekt nie jest *de facto* żadną organizacją pozarządową. Bliżej jej do partyjnego think tanku, niech więc płaci na nią PiS.

© (P) Rozmawiał MAREK RABIJ



RÓŻA RZEPLIŃSKA
jest prezeską Stowarzyszenia 61,
prowadzącego m.in. portal MamPrawoWiedzieć.
pl, służący przybliżaniu poglądów polityków.
Działa na rzecz świadomego udziału w wyborach.

Toniec i bajania

BARTEK DOBROCH

Rok temu mówił, że już nie tańczy. Że dziewięćdziesiątka na karku. Że jak nogi cierpną i zadyszka łapie, to nie ma już sensu.

JÓZEF PITOŃ – TANCERZ NAD TANCERZAMI, nestor góralskich regionalistów, to na Podhalu człowiek-legenda, choć z uwagi na jego skromność i jeszcze jeden talent lepiej będzie powiedzieć: człowiek-gawęda.

Mówił, że występ tuż przed wybuchem pandemii był jego pożegnaniem z tańcem, z Bukowiną, z tamtejszym karnawalem. Choć akurat to słowo na Podhale przybyło z turystami.

– U nas nie mówiło się karnawał, ale niesopust, od słowa „mięsopust” – wyjaśnia.

Dziki i ostry

– Jak on wyglądał na Podhalu w dawnych czasach?

– Dawniej był bardzo skromny, bo była tu bieda. Ludzie nie przywiązywali do tego wagi, jak to było choćby u Lachów. Bogatsze pod tym względem były okolice Limanowej, Nowego Sącza. Jedyne co, to że w tym okresie można było organizować wesela.

Z czasem w całej Polsce ostatkowe tradycje zaczęły zanikać. Ale właśnie wtedy na Podhalu karnawałowy puls zaczął być wyczuwalny. A to za sprawą powołanego do życia pół wieku temu w Bukowinie Tatrzańskiej Góralskiego Karnawału. Choć zainicjowana przez folklorystę Józefa Koszarka impreza zadebiutowała jako Międzyregionalny Konkurs Kolędniczy, to jednak szybko do kolędników dołączyli tancerze w konkursie tańca zbójnickiego i par tanecznych. Ich popisy przez lata oceniał Pitoń.

„Jest to toniec dziki i ostry, ale piękny. Tońcy się go w pojedynkę – je-



den toniecnik i jedna toniecnicza. I ftej nikomu innemu tońcyć nie wolno, to jest toniec popisowy i mogłaby być o to bitka, że jeden drugiemu kce przeszkadzać – opisuje charakter tańca góralskiego w jednej ze swoich gawęd. – Toniecnik tak musi drobić nogami jako muzykant palcami. Toniec zaczyna się od przyśpiewki”.

A życie: od pierwszych nut góralskiej muzyki. Pitoń usłyszał jej skrzypiąco jęśliwe tony w wieku pięciu-sześciu lat. Na chrzcinach u sąsiada grali najlepsi muzykanci. Po latach pamiętał uczucie mrowienia po plecach i koło uszu. Może zresztą było jak w jego gawędzie: „Wicie, wicie, jak mu to nóżki chodzą, jakoby krzesół – cudował się krzesny Kubiniec, patrzący na małego Wojtusia w kołysce – będzie śniego tonecnik, beskurcyjo, będzie”. Niedługo potem także u sąsiadów mały Józek zebrał się na odwagę, stanął przed grającym na skrzypcach ujkiem, jak na Podhalu mówi się o wujku lub niespokrewnionym starszym mężczyźnie, zaśpiewał przyśpiewkę i zaczął drobić nogami, starając się tylko utrzymać rytm i tempo.

Po latach będzie jednak powtarzał, że taniec góralski to nie jest tylko przebieganie nogami.



JAN WIERZEJSKI / FOTONOVA

Józef Pitoń. Zakopane, 7 października 2019 r.

– Taniec jest tylko punktem kulminacyjnym, ważna jest otoczką, sposób zachowania między tancerzem a tancerką – tłumaczy. – Tancerz sam po nią nie chodzi. Prosi kolegę: „idź mi ją wyprowadź”. Jak te formalności zostają załatwione, to już jest jego popis. Jak się spisze, tak to ocenia.

– Co jeszcze ocenia się w góralskim tańcu?

– To, czy tancerze wykonują go zgodnie z tradycją, czy on ją ubogaca, czy zatrzymuje w miejscu. Jak się para prezentuje, czy jest zgrana, czy tancerz umie zaśpiewać, jak idzie przed muzykę – bo u nas się nie mówi orkiestra ani kapela, ino muzyka – wita się z muzykantami, pyta: „zagracie mi?”. W bardzo dobrym tonie było, jak wyjął flaseckę i dał muzykantom ponuknąć na zachętę. A jak nie, to rzucił pieniądze do basów. To gest honorowy.

– Taniec góralski to więc też wyraz kultury osobistej?

– Ważne jest, jak się człowiek przy ludziach i wobec tych ludzi potrafi znaleźć, ukłonić czy podziękować. Nieraz po takim tańcu zawiązywały się znajomości, które nawet skutkowały weselem.

Ludowa gimnastyka

W życiu Józefa Pitonia taniec poskutkował odkryciem świata. Najpierw jednak powrotem do góralskich korzeni. Po dziecięcych początkach taniec, śpiew, muzyka ustąpiły bowiem sportowi. W ziemie królowały narty i skoki na nich, latem – ćwiczenia gimnastyczne. Sportowe pasje zawiodły go do Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego (dzisiejsza AWF) w Krakowie.

– Ten turkot tramwajów, samochody i kamienice to był obcy świat. Zacząłem myśleć, że nie ma to jak u nas. Podobnie jak spora grupa studentów i studentek. Większość umiała zaśpiewać, zatończyć po góralsku, ja umiałem trochę grać, choć niektórzy nie umieli nic, a tam się nawrócili na góralską nutę, zrozumieli, że to ma wartość, że to jest nasze – wspomina, przeplatając literacką polszczyznę gwarą. – Jak się poszło na próbę, to się zdawało tak, jak byś siedział w swojej chałupie ze sąsiadami. Wtedy się zaczęło doceniać to, co się stąd wyniosło.

Wcześniej, gdy chodzili do szkół na Podhalu, stykali się z krytyką góralszczyzny, negatywnym nastawieniem nauczycieli do gwary. Niektóre polonistki były

nią zgorszone. To wszystko w czasach, gdy Włodzimierz Kotoński pisał książkę o tańcach górali, która na lata stała się pierwszym podręcznikiem do ich nauki, choć już w tytule „Góralski i zbójnicki” wyprowadzała błędną linię podziału. Trwały też próby powołania państwowego zespołu Podhale, na wzór Mazowsza czy późniejszego Śląska.

– Po wojnie wszystko było jednak na niby – mówi Pitoń. – Po to, żeby się pochwalić, jak się w Polsce kultywuje kulturę ludową, zaprezentować za granicą.

Trafił za nią wraz z zespołem studentkim w okresie „odwilży” w 1957 r. Do wyjazdu do Paryża wytypowano ich razem z teatrem studenckim Bim-Bom, w którym występowali Cybulski, Fedorowicz i Kobiela. We Francji wypił prawdziwą kawę, za kieszonkowe kupił pierwszy zegarek, a przede wszystkim poznał kłamstwo komunizmu o „zgniłym Zachodzie”. Występy tam miały też potencjał gawędotwórczy. „W czasie tańca zbójnickiego, kiedy chłopcy zaczęli rąbać ciupagami, panie siedzące z przodu zaczęły chyłkiem uciekać z miejsc”.

Gdy nakaz pracy pozwolił mu wrócić na Podhalę, razem z Wandą Czubernatową, znaną z przyjacielskiej korespondencji z ks. Tischnerem, organizowali spartakiady i zaopatrywali w sprzęt istniejące niegdyś w każdej podhalańskiej, spiskiej czy orawskiej wsi Ludowe Zespoły Sportowe. Prowadził też treningi skoczków narciarskich.

Czubernatowa wspomina: „Józek był specem od gimnastyki akrobatycznej i kie my wyszli na stadion w Nowym Targu i kie zacon fikać koziołki, salta, podskoki, chodzić na rękach, zwiśać na drążku i wymykać i odmykać, Hłło Jezusie! Tego żaden sportowiec ludowy nie potrafił”.

Zapewne w studiach z WF-u, górskich wędrówkach i gimnastycznych popisach tkwi tajemnica jego długowieczności i żelaznej kondycji, absolutnie niezbędnej w energicznych góralskich tańcach, pełnych krzesania (uderzania nogą o podłogę), cupkania (przytupywania), zwyrwania (obrotów), a nawet iście sportowych wyskoków. Ale też w trudzie życia w czasach naznaczonych nie tylko biedą, ale też czymś, co dziś nazywamy wykluczeniem komunikacyjnym. Już w dzieciństwie do szkoły chodził pięć kilometrów w jedną stronę. Często boskiem, czyli bez butów. Gdy podjął pracę →



*Przejazd kapel góralskich na otwarcie 55. Sabalowych Bajali.
Bukowina Tatrzańska, 5 sierpnia 2021 r.*



*Karnawał Góralski, przegląd zespołów tanecznych.
Bukowina Tatrzańska, 21 września 2009 r.*

→ jako inspektor LZS, do wielu podhalańskich wsi nie kursowały autobusy: znowu kilometry pokonywał pieszo. Do Krempach z Łopusznej. Do Łąpsz z Dębna. Pensja starczała na przejazdy i bułkę z serem.

Ratunkiem znowu był taniec. Wstąpił do „Klimków”, jak nazywano założony kilka lat wcześniej w Zakopanem zespół góralski im. Klimka Bachledy. Świat znowu stanął otworem. W radzieckim formularzu tranzytowym podczas podróży do Bułgarii, w rubryce „broń wszelkiego rodzaju” pisał dla żartu CIU-PAGA. Pojawiał się w scenach kręconych

na Podhalu filmów. W „Rodzie Gąsieniców” podkładał gwarę pod kwestie nieradzącego sobie z nią Wiesława Gołasa. Płynął statkiem „Batory” na występy w Kanadzie i USA. Z kierownikiem zespołu, Bolesławem Karpiem-Bulecką, w strojach góralskich fotografował się przy Niagara. Po nim przejął zresztą kierownictwo w zespole, którego programy coraz częściej urozmaicały gadki w jego wykonaniu.

Sabała z XX wieku

Na pewno pomagało wychowanie jeszcze w kulturze mówionej. Polską literaturę

poznał z opowieści czytanej ciotki. Gadki o zbójnikach, planetnikach, boginkach płynęły z ust sąsiadki, która powoływała się na wiedzę „z ojca”, przewodnika tatrzańskiego.

– Dawniej trzeba było nadstawiać uszu, o czym kto opowiada, co gdzie się stało. To był fragment życia codziennego. Tak jak dziś nadstawia się uszu na to, co mówią w telewizji. Tylko nie trzeba myśleć, bo syćko pokazują.

Gawędziarzem Pitoń został jednak z przypadku. Ale ten przypadek miał też imię, nazwisko, przydomek innego przewodnika. Józefa Krzeptowskiego, zwanego Ujkiem, poznał w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Groniku, przysiółku Kościeliska, gdzie pracował jako instruktor sportowy. Zimą uczył jeździć pilotów na nartach, latem trenował ich na specjalnych przyrządach. Krzeptowski, który prowadził ich w góry, zaproponował Pitoniowi kurs przewodnicki. Następnie polecił go w GOPR-ze i wciągnął do ratownictwa tatrzańskiego.

– Tak jak Ujek mi pomógł, to nikt mi nie pomógł. On był taki jak ojciec.

Ten prawdziwy zmarł Józkowi już w dzieciństwie, w czasie wojny. Przed nią zdążył postawić na Polanie Pisanej w Dolinie Kościeliskiej drewniany bufet, który wydzierżawił. W czasie okupacji, opuszczony, służył za schronienie dla partyzantów i kurierów. Pod koniec wojny mama Józka wzięła maszynę do szycia i przeniosła się tam, by pracować i pilnować własności. Dzieci przychodziły do niej na zmianę na noc. Gdy zimą 1945 r. do doliny dotarli partyzanci radzieccy, kazali jej szyc dla siebie ze spadochronu kombinezony. Ktoś doniósł Niemcom. W trakcie rewizji wybuchła strzelanina.

– Ruscy siali pepeszami, Niemcy kryli się pod szałasem. Mama i siostra stały już pod ścianą. Niemiecki komendant wydał rozkaz: „zlikwidować i uciekać”.

Młody żołnierz, podobno Ślązak, nie wykonał rozkazu. Następnego dnia Niemcy podpalili pusty już szałas. Odbudowany po wojnie, latami podupadał. Wysadzono go w powietrze na potrzeby produkcji filmu „Trójkąt bermudzki”.

Na początku wojny zajął go inny z Krzeptowskich, Wacław, niesławny przewodniczący Komitetu Góralskiego. Po latach na premierze książki Wojciecha Szatkowskiego „Goralenvolk. Histo-

ria zdrady” Pitoń ku zaskoczeniu obecnych wstał i powiedział, jakby zaczynał gawędę: „Widziołek, jak Wacek Krzeptowski wisioł”.

– To było 20 stycznia 1945. Staliśmy po mszy pod kościołem, przychodzi jeden taki i mówi: „Słuchajcie, bo na Krzeptówce na smreku jest wisielec” – odtwarza w pamięci. – Poszliśmy z kuzynem. Tam były pola i trzy grube smreki. Z daleka zobaczyliśmy go na środkowym. Dokładnie pamiętam, jak wyglądał. Jak miał głowę przechyloną, kapelusz, ręce z tyłu liną spięte, przyczepioną kartkę wyrwaną z zeszytu z wypisanym koślawym pismem: „Tak zginie każdy zdrajca Ojczyzny”. Dzieci mają do takich rzeczy dobrą pamięć, a dla 13-latka to był wstrząs.

Samozwańczy góralski książę powieszony został zresztą przy obecnej ulicy Przewodnika Józefa Krzeptowskiego, jego krewnego, człowieka z wyraźnie kontrastującym życiorysem. Ujek zapisał się w historii Podhala jako mistrz opowieści, humoru i ciętej riposty.

– Wieczorami często siedziało się z pilotami – wspomina Pitoń. – Jak on opowiadał, to się słuchało z otwartą gębą. Ujek nie opowiadał z pamięci, ale z życia.

Treścią opowieści były więc akcje kurerskie, zsyłka na Syberię, życie na Ałtaju, powrót pociągiem do Polski. Ujek naśladował też starych przewodników, znał ich opowieści, a także – jak przystało na gawędziarza – umiał je podkreślić. Nie umiał i nie lubił za to pisać. Nawet kartki świąteczne pisał za niego Pitoń. Kazał mu się na nich podpisywać „Profesor ludowy” albo „Sabała z XX wieku”. Pochodził zresztą z tego samego rodu, co legendarny bard Podhala, Jan Krzeptowski-Sabała.

Życie gawędy

Gdy jednak w 1967 r. zaczęto organizować w Bukowinie Tatrzańskiej konkurs gawędziarzy Sabałowe Bajania i Pitoń namawiał Ujka do wzięcia udziału, ten odmówił. Nazwa letniej imprezy nie przypadła też do gustu innemu krewnemu Sabałowi, jednemu z najlepszych podhalańskich gawędziarzy, Adamowi Pachowi. „Jo nie bajok” – odpowiadał pytany, czy weźmie udział. Bo bajać znaczyło też pleść od rzeczy, a to godziło w honor poety, pisarza i wykladowcy.

Ujek zaproponował jednak, by to Pitoń się zgłosił i zaprezentował zasłyszane

Gawędziarzem został z przypadku.

A w swoich historiach ocalał „naski świat”: Kościelisko z czasów dzieciństwa i zamieszkujących je „kurzacy, pijoków i tyk, co sie za zycio radzi bijali”.

od niego opowiadania. Tak też zrobił. Czwarte miejsce w konkursie potraktował jako zachętę i w następnych latach stał się regularnym uczestnikiem imprezy, zdobywając ponad 30 głównych nagród. Z początku, jak wszyscy, inspirował się klasykiem: Sabałą. Tak robili także najwybitniejsi spośród twórców gawęd, choć pozbawieni góralskich korzeni, literaci: Kazimierz Przerwa-Tetmajer i Stanisław Witkiewicz, który nazwał go wręcz Homerem Tatr, a także Podhalańskie: Stanisław Krzeptowski-Biały, Aniela Gut-Stapińska, Stanisław Nędza-Kubiniec Andrzej Florek-Skupień i wspomniany już Pach.

Z czasem Pitoń zaczął się zgłaszać z własnymi gawędami. Opowiadał zarówno historie zasłyszane od najstarszych górali, jak i te, które miały miejsce za jego życia, albo których był świadkiem. Ocalał „naski świat”, Kościelisko z czasów dzieciństwa, czyli dawne, szeroko porzucane Polany. Podobnie jak Tetmajer skupiał uwagę na ludziach. Ale opisywał nie tylko tych nietuzinkowych, najbardziej charakternych, obdarzonych nadludzkimi wręcz mocami. Oprócz kolegów przewodników, dobrych sąsiadów, mądrego bacy czy tancerza, który „zatończył się na śmierć”, opisywał także ludzi pełnych odwiecznych i nie tylko podhalańskich przywar. „kurzacy, pijoków i tyk, co sie za zycio radzi bijali”.

– Gawędziarz to bardziej zawód czy talent? – dopytuje.

– Eee, talent. Dawniej nie było ludzi, którzy by z gawędziarstwa żyli.

Gdy jednak Ujek nie chciał wygłaszać pogadanek, o które go proszono, angażował do tego Józka. Ten wygłosił ich tyśnię. Utalentowany gawędziarz stał się niemalże zawodowym prelegentem.

– Nie raz, dwa razy dziennie trzeba było opowiadać, bo było na to zapotrzebowanie – wspomina. – Za komuny były domy wczasowe, do których przyjeżdżali goście. W planie mieli spotkanie z gawędziarzem. Zanim nastąpiła pandemia, to jeszcze mnie ciągli, żeby coś naopowiadać o Podhalu. Najczęściej dla młodzieży.

To, co opowiedziane, zbierał w książkach. Dzięki niekończącej się pracy nad utrwalaniem opowieści nie musi urządzać rozciągniętych w czasie pożegnań z gawędą, jak to robił z górami i tańcem. Te pożegnania są zresztą gotową historią dla przyszłych opowiadaczy.

Na osiemdziesiąte urodziny dał się namówić młodszemu o dekadę Janowi Gąsienicy-Rojowi na wspinaczkę na Mnicha. Stanął na nim ubrany po góralsku. Tak jak trzy lata później na najwyższym szczycie Tatr wraz z grupą przewodników i muzykantów.

– Bo jak się żegnać z górami, to takimi jak Mnich i Gerlach. I jak za Chałubińskiego – mówi.

Na zeszlórocznym jubileuszu 90-lecia pytano go jeszcze o niedawne wejście na Grzesia z Doliny Chochołowskiej, na doroczne polsko-słowackie spotkanie na szczycie.

„Ciągli mnie już jak krowe na snurku – krygował się. – Ale jak my wysli na górę, jak zagrali muzykanci z Kościeliska, to jo zacoł jesce hipkać tam cos”.

– O tych pożegnaniach z tańcem i górami mówi Pan bez żalu.

– To było, przesło i się nie powtórzy. Pewnie, że się nieraz smutno robi. Ale myślę: „Eee, chłopie, i tak ci się udało niejedno”.

– Tak jak w życiu, że jest czas karnawału i czas postu?

– Nie ma co dramatyzować, bo to i tak na nic. Lepiej się spokojnie z tym pogodzić.

W filmie z wejścia na Mnicha zapytany o receptę na długowieczność żartuje: „Kurzyć, pić, baciaryć i kłąć”. Ale dopowiada już poważnie: „Nie myśleć o tym”.

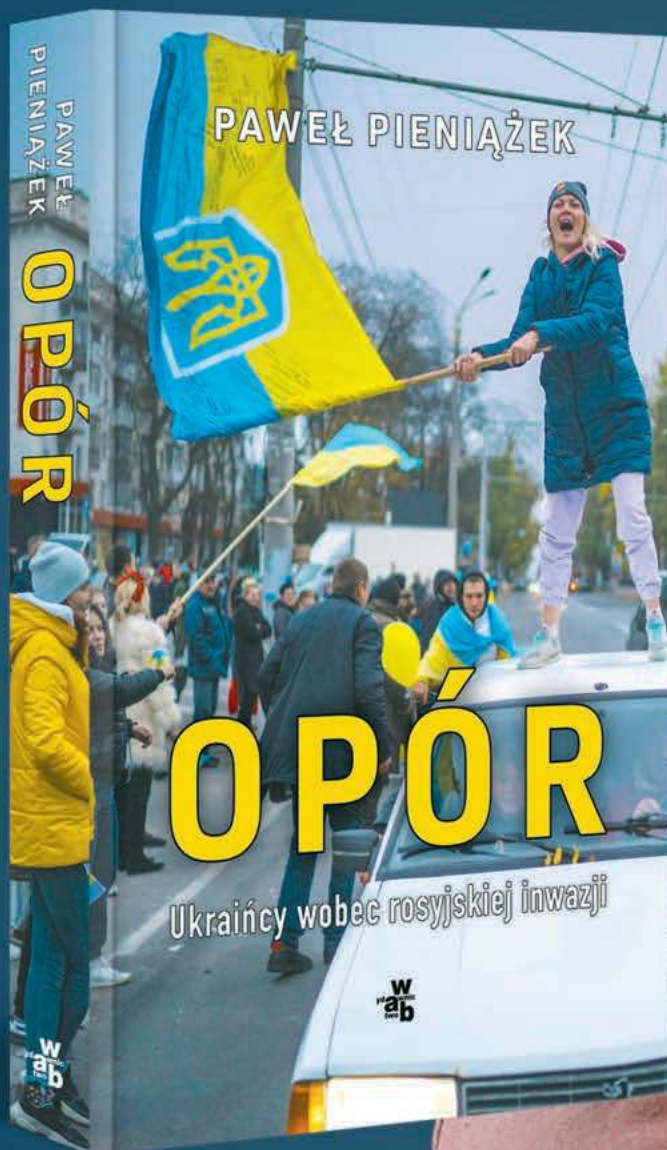
Ostatnio najbardziej lubi powtarzać znane Ujkowe powiedzenie: „Cłowiek się nie starzeje, ino góry rosom”.

©© BARTEK DOBROCH

Cytaty pochodzą z książek Józefa Pitonia „Mój żywot marny”, „Naski świat”, „Ujek”, „W niebie i na ziemi”.

NOWA KSIĄŻKA CENIONEGO DZIENNIKARZA I REPORTERA WOJENNEGO

Paweł Pieniążek relacjonuje, jak wyglądało życie Ukraińców w przededniu wybuchu wojny i jak zmieniło się po 24 lutego 2022 roku.



W KSIĘGARNIACH OD 22 LUTEGO!

Partnerzy wydania:



tytuł dostępny w:

empik

salony / online / aplikacja

empik go

e-book / audiobook

w ab
ydawnictwo

TOMASZ

Stawiszyński:

Kultura manipulacji



„KANSAS. PIES ZASTRZELIŁ MĘŻCZYZNĘ w samochodzie”. Oto autentyczny nagłówek, zamieszczony bynajmniej nie w jakimś łaknącym taniej sensacji tabloidzie, lecz w internetowej wersji jednego z najbardziej zasłużonych i poważanych

tytułów prasowych w Polsce.

Nie da się ukryć, takie *dictum* przychodzi natychmiast na myśl scenę rodem z niekoniecznie wysokobudżetowego horroru. Na przykład: obdarzony niebywałą inteligencją brytan, wirtuozersko manewrując zupełnie wszak przez ewolucję nieprzystosowaną do obsługi rewolweru łapą, oddaje kilka śmiertelnych strzałów w kierunku jegomościa w kowbojskim kapeluszu (no, chyba że brytan jest zmutowany, dajmy na to, skutek kontaktu z jakimś radioaktywnymi substancjami – wtedy, rzecz jasna, jego przemieniona kończyna idealnie pasuje do spustu). Albo: pod wpływem chaotycznej sekwencji sprowokowanych przez człowieka procesów biologiczno-informatycznych na znękaną klimatycznymi anomaliami planecie Ziemia dochodzi do buntu istot żywych przeciwko *Homo sapiens*. Pierwszym jego akordem, iskrą stanowiącą zapłon globalnej rewolucji, która ostatecznie zmiecie z powierzchni wszelkie pozostałości antropocenu, okazuje się gwałtowny akt emancypacji dokonany – z użyciem broni palnej – przez pewnego amerykańskiego owczarka.

Kuszące, nieprawdaz? Warianty podobnych scenariuszy można by mnożyć jeszcze długo, dość powiedzieć, że cytowany nagłówek z pewnością całkiem świadomie skonstruowano tak, żeby indukował ich nieskończenie wiele. Słowem, budził żywą ciekawość, a tym samym prowadził do kliknięcia. Po to, oczywiście, żeby poznać całość kryjącej się za nim rzekomo niesamowitej historii... co z kolei niechybnie wywołać musi rozczarowanie. Cóż to bowiem za sensacja, że gdzieś w Stanach Zjednoczonych pies przypadkiem nadepnął na broń, którą właściciel pojazdu bezmyślnie rzucił na tylne siedzenie, ta zaś wypaliła, zabijając przy okazji pasażera? Otóż – żadna sensacja. A w każdym razie nic, co w jakimkolwiek sensie zasługiwałoby na wyróżnione miejsce w dostojnym medium z odległego europejskiego kraju.

Że jednak się tam znalazło w takiej, a nie innej formie – to w sumie nic zaskakującego. Podobnych nagłówek, podobnych spektakularnie brzmiących zjawek krąży przecież wo-

kół całe mnóstwo. Wypełniają zarówno poważne serwisy informacyjne, jak i – zwłaszcza – nastawione na generowanie ruchu portale plotkarskie. Wylewają się z mediów społecznościowych, ale widuje się je również na okładkach papierowych magazynów – tych muzealnych już nieledwie eksponatów z dawnych lat, wciąż zapamiętałe wystawianych w kioskowych gablotach.

W efekcie takie właśnie rozczarowanie, jak to, które – najprawdopodobniej – spotkało wielu skuszonych wizją psa rewolwerowca czytelnicek i czytelników, staje się współcześnie jednym z najczęstszych doświadczeń każdego, kto aktywnie korzysta z przestrzeni informacyjnej. Nieustannie próbuje się nas tam bowiem zwodzić i uwodzić chwytliwymi hasłami i tytułami. A kiedy już – skutecznie zwiedzeni i uwiedzeni – za nimi podążamy, przekonujemy się rychło, że nie mają one bodaj nic wspólnego z treścią, do której odsyłają. I że zostały zręcznie wymyślane wyłącznie po to, żeby pobudzić naszą ciekawość i skłonić nas do kliknięcia, kliknięcie bowiem, jak wiadomo, jest w wirtualnym świecie podstawową walutą. My zaś – jako tej waluty ucieleśnienie – jesteśmy na wszelkie możliwe sposoby formatowani do tego, żeby wytwarzać jej, ile tylko się da. Ostatecznie apetyt na kliknięcia jest na cyfrowych rynkach nieskończony, podobnie jak nieskończony jest zasób manipulacji, którym w tym uniwersum podlegaliśmy, podlegamy i w przyszłości zapewne podlegać będziemy.

Cóż, ilekroć spotykam tego rodzaju marketingowe manewry, tylekroć zastanawiam się, jaki to wszystko może mieć głębszy wpływ na nasz sposób widzenia siebie i świata, na nasze społeczne funkcjonowanie, na kulturę, w której żyjemy. Rzeczywistość jest wszak systemem struktur połączonych, nie ma w niej zjawisk stuprocentowo izolowanych, przeciwnie – różne jej obszary, niechby z pozoru jak najodleglejsze, tak czy inaczej, pośrednio lub bezpośrednio, przenikają się i wzajemnie warunkują. Jeśli zatem w sferze szeroko rozumianych mediów, a więc w sferze fundamentalnej, gdy chodzi o zbiorowy obraz świata, permanentnie manipuluje się naszymi emocjami, wywodzi nas w pole i uwodzi, to – zastanawiam się – jak to dalekosiężnie oddziałuje np. na społeczne zaufanie? Do siebie, ale także do ważnych instytucji życia publicznego? Do mediów i głównego nurtu informacyjnego? Do świata polityki, edukacji, nauki czy medycyny?

Nie twierdę oczywiście, że to właśnie tutaj znajduje się pojedyncze, centralne źródło wielu kryzysów, które nas dzisiaj trapią (wymieńmy ich główne objawy: polaryzacja, kryzys wiedzy, ekspansja teorii spiskowych i pseudonauki, powszechna podejrzliwość i przekonanie, że „mainstream” kłamie). Źródeł jest z pewnością znacznie, znacznie więcej. Niemniej to, które najpełniej ujmuję tytuł „Kansas. Pies zastrzelił człowieka w samochodzie”, zdaje mi się jednym z najistotniejszych, a zarazem najmniej uświadamianych, bo – z pozoru – całkiem niewinnych. Nic bardziej mylnego, mam wrażenie.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

SEKS I WIARA OD NOWA

Jak uwolnić religię z obsesji na punkcie seksualności?
Gdzie w duchowości miejsce dla erosa?

PIOTR SIKORA

WSPÓŁŻYCIE SEKSUALNE JAKO ELEMENT mistycznej modlitwy prowadzącej uczestników ezoterycznego rytuału do zjednoczenia, a właściwie utożsamienia z osobami Jezusa i Maryi. Teologiczne uzasadnienie tej praktyki obejmujące sekretną wiedzę, że Jezus i Maryja po wniebowstąpieniu i wniebowzięciu utrzymywali relacje mistyczno-seksualne w celu rehabilitacji ciała. Wybrani uczniowie i wybrane uczennice powołani, by odtwarzać te relacje w swoim życiu – relacje, które teraz mają wartość sakramentu dostępnego nie licznym, a które będą powszechne w Królestwie Niebieskim.

Źródłem tej doktryny i praktyki, tak różnej od tradycyjnej nauki właściwie wszystkich gałęzi chrześcijaństwa, było „mystyczne” przeżycie jedności z Maryją, obejmujące także narządy seksualne – zapoczątkowane przed freskiem „Mater Admirabilis” w kaplicy rzymskiego kościoła Trinità dei Monti, a trwające ponoć całą noc. I wyrastające z tego przeżycia pragnienie „dzielenia się” takimi „laskami” z innymi osobami, zwłaszcza z młodymi kobietami.

Długo przed hipisami

Dominikanin, Thomas Philippe, bo to on przeżył opisane właśnie doświadczenie, wciągnął do założonej przez siebie wspólnoty Woda Żywa (w której propagował swoją ezoteryczną teologię i praktyki) młodego kadeta armii kanadyjskiej, Jeana Vaniera. Ten, wychowany w bardzo religijnej rodzinie, w której brakowało jednak stabilnej bliskości emocjonalnej, dał się umy-

słowo i emocjonalnie uwieść poznanemu poprzez kontakty swojej matki duchowemu mentorowi. W seksualne praktyki grupy Thomasa Philippe’a Vanier pozwolił się „inicjować” Jacqueline d’Halluin, jednej z dwóch kobiet stanowiących rdzeń założonej przez dominikanina wspólnoty.

W mistyczno-seksualne praktyki Philippe i Vanier przez kilka dziesięcioleci wciągali wiele kobiet spoza pierwotnej grupy Woda Żywa. Od połowy lat 60. wykorzystywali w tym procederze swój status charyzmatycznych założycieli wspólnoty L’Arche – odkrywającej dla świata bogactwo duchowe osób z niepełnosprawnością intelektualną.

Z opublikowanego właśnie kilkusetstronicowego raportu niezależnej komisji, której wspólnota ta powierzyła zbadanie sprawy, można wnioskować, że przynajmniej w przypadku Vaniera charakter relacji nie zawsze był taki sam. Z dostępnych źródeł wiadomo, że czasami seksualność zajmowała centralne miejsce, w innych przypadkach widać przede wszystkim uzależnienie emocjonalne. Warto także nie pomijać faktu, że niektóre kobiety, które rozmawiały z komisją, uważają się za zmanipulowane i wykorzystane ofiary, ale są też takie, które stwierdzają, iż dobrowolnie wchodziły w transgresyjny związek ze swoim „duchowym towarzyszem”. Tak czy inaczej, działania założycieli L’Arche skrzywdziły wiele osób; były też nie do pogodzenia z ortodoksją katolicką.

Pojawiły się głosy wiążące idee i praktyki zapoczątkowane we wspólnocie Woda



DOMENA PUBLICZNA



Żywa – a następnie kontynuowane zarówno przez Thomasa Philippe’a, jak i Jeana Vaniera przez kilka dziesięcioleci – z rewolucją seksualną lat 60. XX wieku. Wtedy bowiem powstawało wiele ruchów i wspólnot, które zachłyśnięte ideą „rehabilitacji seksualności”, długo – przynajmniej oficjalnie – tłumionej w purytańskiej kulturze Europy i Ameryki Północnej. To odzyskanie pozytywnej wartości erosu chętnie łączono z odkryciem rozmaitych duchowych praktyk, często importowanych z Dalekiego Wschodu. Staje przed oczami obraz hipisowskiej komuny, w której nie ma reguł innych niż wolna miłość, psychodeliki i mistyczne przeżycia.

Problem w tym, że Thomas Philippe doświadczył mistyczno-seksualnego zjednoczenia z Maryją w 1938 r., a apogeum działalności jego sekty to przełom lat 40. i 50. poprzedniego stulecia – gdy hipisi nie weszli jeszcze w wiek dojrzewanania, a ich późniejsi guru dopiero stawiali pierwsze kroki na ścieżce ku sławie oświeconych. Co więcej, dominikanin i jego uczeń należeli wówczas do tego skrzydła Kościoła, które było bardzo sceptyczne wobec pojawiających się tu i ówdzie pomysłów otwarcia się katolicyzmu na nowoczesny świat.

Źródła działań i idei Thomasa Philippe’a i Jeana Vaniera leżą gdzie indziej. By je odnaleźć, warto zauważyć, że to, co robili, było jedną z wersji motywu przewijającego się w licznych czasach i miejscach religijnej historii człowieka. Motyw ten fascynuje wielu, lecz wzbudza również wiele kontrowersji i wątpliwości.

Tantra i obrzeża chrześcijaństwa

Na myśl o ścisłym powiązaniu duchowości i praktyk seksualnych pierwsze skojarzenia będą zapewne w kierunku rozmaitych szkół tantrycznych, wywodzących się z subkontynentu indyjskiego. W wizji świata i człowieka, jaką rozwijały przez stulecia rozmaite szkoły hinduistyczne i buddyjskie, energia seksualna ściśle łączyła się ze sferą, którą nazwalibyśmy dzisiaj duchową. Jednak nawet na tamtym obszarze szkoły tantryczne wzbudzały rozmaite kontrowersje i najczęściej były szkołami ezoterycznymi – co niezmiennie utrudnia ich dokładne poznanie.

Podobne połączenie erosu i dążenia do boskiej, ostatecznej Rzeczywistości nieobce jest daoizmowi, szamańskim religiom →

*Fragment obrazu Lorenzo Lotto
„Zuzanna i starcy”, 1517 r.*

→ plemiennym czy nawet duchowości starożytnej Grecji – o czym świadczą nie tylko misteria dionizyjskie, ale także tekst należący dziś do kanonu racjonalnej myśli filozoficznej: Platońska „Uczta”.

Nam, ludziom wychowanym w kulturze ukształtowanej pod wpływem chrześcijaństwa, łączenie seksu i duchowości może się wydawać bardzo kontrowersyjne. Miało jednak miejsce od wieków także w chrześcijańskiej tradycji – choć większość przekazów o tym, jakie do trwały do naszych czasów, wskazuje na negatywne zjawiska i interpretuje takie próby jako herezję i aberrację.

Już w II wieku Ireneusz z Lyonu pisał o człowieku imieniem Marek, który przedstawia się jako gnostyk i mag, i który „przede wszystkim zajmuje się kobietami, a zwłaszcza tymi, które się dobrze ubierają i są bogate”. Marek – relacjonował Ireneusz – uwodzi swoje uczennice teologią bardzo podobną do tej, którą osiemnaście wieków później będą głosić Thomas Philippe i Jean Vanier: „Przyjmij ode mnie i przeze mnie Łaskę. Przygotuj się jako oblubienica, która czeka na swego oblubieńca, abyś stała się tym, czym ja jestem, a ja tym, czym ty jesteś. Pozwól, aby w twojej komnacie oblubienicy spoczęło nasienie światłości”. Aby ułatwić sobie zadanie, Marek „dawał niektórym kobietom napoje miłosne i środki pobudzające”.

Marek nie był w tradycji chrześcijańskiej odosobniony. O licznych sektach, w których praktykowano koedukacyjną modlitwę nago i rozmaite inne praktyki seksualne jako religijne rytuały, pisał – oceniając je bardzo surowo – w drugiej połowie IV wieku cypryjski biskup Epifaniusz z Salaminy.

Ze skrajności w skrajność

W głównym, ortodoksyjnym nurcie chrześcijaństwa powiązanie aktywności seksualnej z praktykami duchowymi uchodzi za aberrację. Seks jest podejrzany, postrzegany jako ambiwalentny lub całkowicie negatywny. Liczne pisma autorstwa teologów uznanych później za świętych głoszą pochwałę dziewictwa rozumianego jako całkowita wstrzemięźliwość seksualna.

Wydaje się jednak, że mainstreamowe chrześcijaństwo popadło tym samym w drugą skrajność – która rodzi nie mniejsze problemy. Skazuje podejścia ortodoksyjnego widać wyraźnie na przykładzie św. Hieronima. To jeden z najważniejszych

ojców Kościoła – nie tylko ze względu na przekład Biblii na łacinę (tzw. Wulgatę), ale także właśnie przez rozwinięcie i popularyzację teologii i duchowości dziewictwa.

Na poziomie teologicznym Hieronim uznaje całkowitą wstrzemięźliwość seksualną za stan rajski, małżeństwo zaś – i współżycie seksualne – za skutek upadku. W swoich listach skierowanych do grupy Rzymianek, które postanowiły żyć w owym „rajskim” stanie, uznaje tylko bardzo ograniczoną wartość seksu w małżeństwie: „chwałę pożycie małżeńskie, lecz dlatego, iż rodzą mi dziewczęta: zbieram różę z cierni, złoto z ziemi, perły z muszli”.

Małżeństwo – „ciernie i ziemia” – jest konieczne ze względu na zapewnienie zastępowalności pokoleń, a dobre – gdyż w każdym pokoleniu są osoby, które wybierają życie w dziewictwie. Poza tym seksualność jest jednym z najbardziej skutecznych narzędzi szatana: „Cała więc moc diabła przeciwko mężczyznom znajduje się w biodrach; cała siła przeciw kobietom w pępku” (biodra i pępek to, łącznie domyślnie, eufemistyczne określenia narządów płciowych). Rodzące się pragnienia seksualne to „węzowa” metoda „wyrzucenia człowieka z raju dziewictwa”. Dlatego Hieronim przekonuje pozornie racjonalnymi argumentami: „Cóż mam wspólnego ze zmysłowością, która szybko ginie? Cóż z tym słodkim i śmiertelnością pieniem syren?”.

Powyższe retoryczne pytania okazują się próbą przekonania samego siebie. Albowiem energii seksualnej – przyznaje asceta – nie da się wykorzenić, trzeba z nią walczyć: „ponieważ jest niemożliwe, aby do zmysłu człowieka nie wtargnęło znane ciepło, które przenika aż do szpiku, ten jest chwalony i zwany błogosławionym, kto natychmiast, gdy zacznie żywić złe myśli, zabije [złe] zamiary i roztrzaska je o skałę; skałą zaś jest Chrystus”.

Pomimo pobożnej nadziei, że Chrystus wszystko zwycięży, Hieronimowa walka z własną seksualnością okazała się dramatyczna. By ją toczyć, uciekł przed zewnętrznymi pokusami na pustynię. Cóż z tego, skoro zabrał tam siebie: „Mnie więc, właśnie mnie, który z powodu strachu przed gehenną skazałem siebie samego na takie więzienie w towarzystwie jedynie skorpionów i dzikich zwierząt, często wydawało się, iż znajduję się wśród tańczących dziewcząt! Usta były blade od

postów, a umysł w zimnym ciele gorzał pożądliwościami. Na obliczu zaś człowieka, którego ciało już umarło, wrzały jedynie płomienie namiętności”.

By prowadzić tak dramatyczną wewnętrzną walkę, trzeba mieć ważny motyw. W przypadku teologii, którą reprezentuje Hieronim, jest to wizja relacji z Bogiem pojmowanej w kategoriach „oblubieńczych”, relacji, która czyni tę (i tego), kto się w nią zaangażuje, kimś wyjątkowym. Dlatego Hieronim pisze do jednej z młodych Rzymianek, która poszła tą drogą: „Nie chcę, abyś spotykała się z mężczyzmi. (...) Dlaczego idziesz do żony mężczyzny, ty, która jesteś oblubienicą Boga? Naucz się w tym przypadku świętej pychy: wiedź, że jesteś lepszą od nich!”.

Teologia i doświadczenie św. Hieronima są przykładem bardzo rozpowszechnionej perspektywy duchowej. Tłumacz Wulgaty włączył się w istniejącą już wcześniej tradycję i wzmocnił jej oddziaływanie. W późniejszej historii chrześcijaństwa nieustannie napotykamy jej przejawy. Z jednej strony próby osiągnięcia całkowitej wstrzemięźliwości – a z drugiej ujmowanie swojej relacji do Boga w kategoriach „oblubieńczych”, czyli właśnie na obraz seksualnej relacji międzyludzkiej.

Krzywdzące podobieństwo skrajności

Czyż nie jest jednak tak, że wszelkie quasi-tantryczne wykorzystanie energii seksualnej w duchowej drodze oraz „dewiczno-oblubieńcza” duchowość domagająca się całkowitej wstrzemięźliwości seksualnej są w gruncie rzeczy dwiema stronami tego samego medalu? I czy nie jest to medal bardzo cienki, właściwie przezroczysty, tak, że owe dwie strony są blisko siebie, właściwie się dotykają?

Nacisk na wstrzemięźliwość seksualną jest przecież bezpośrednio motywowany teologią nadal posługującą się erotyczną metaforą. Metafory te nie są egzystencjalnie niewinne – zyskują dla kogoś sens, gdyż łączą się i uruchamiają impulsy erosu – tym razem skierowane wyłącznie na Boga. W obu przypadkach jednak – „tantrycznym” i „ascetycznym” – to energia seksualna pozostaje w centrum zainteresowania i przeżywania.

Powszechność tego zjawiska pozwala przypuszczać, że dotyka ono czegoś głęboko w ludzkiej naturze. Eros – jak wyraził to w „Uczcie” Platon słowami zarówno

mężczyzny Sokratesa, jak i kobiety Diotymy – z pewnością może być łącznikiem sfery ludzkiej i boskiej. Niemniej, jak pokazują liczne współczesne (a więc lepiej od starożytnych znane) przykłady – duchowość „erotyczna” (zarówno ta z seksem walcząca, jak i ta, która seksu używa) bardzo łatwo prowadzi do sytuacji, w których jej adeptom (a może nawet częściej – adeptkom) dzieje się krzywda.

Duchowość dążąca do stłumienia seksualności nie liczy się z istotnymi aspektami ludzkiej natury. Nie tylko prowadzi do dramatycznych konfliktów wewnętrznych (jasno ujawniających się np. w pismach Hieronima), lecz często łączy się z hipokryzją: łatwo znaleźć przykłady ascetycznego uduchowienia na zewnątrz, za którym kryły się czyny zupełnie nieascetyczne. I czy nie jest tak, że niemożność „poradzenia sobie” z niechcianą seksualnością prowadzi w końcu do jakiejś próby jej „rehabilitacji” – próby zwykle tragicznie nieporadnej i powodującej cierpienie?

Z drugiej strony, „mistycznie” uzasadnione połączenie erosa i praktyk duchowych niezwykle łatwo wiąże się z manipulacją i seksualnym wykorzystaniem słabszych adeptów i adeptek drogi, która ma w założeniu rehabilitować i uwznioślać wymiary człowieczeństwa pogardzane przez ascetyczne nurty tradycji. Historię Thomasa Philippe’a i Jeana Vaniera można uzupełnić o współcześnie ujawniony czas jezuity Mario Rupnika czy o niedawną historię dominikanina Pawła M. Podobne sytuacje miały miejsce i poza chrześcijaństwem – swego czasu głośno było o wywodzącym się z Indii „guru” Osho albo o Chögyamie Trungpa – tybetańskim rinpocze, założycielu niezwykle popularnego ruchu Shambhala.

Seks i władza

Wspólną cechą wszystkich tych (a także innych, niewymienionych tu przypadków) jest nie tylko koncentracja na seksualności, lecz także wzorzec relacji władzy i zależności pomiędzy „mistrzami” a ich uczniami. Nasuwa się pytanie: czy koncentracja na sferze seksualnej nie ma jakiegoś istotnego związku z pojawiającymi się w obu typach duchowości stosunkami zależności pomiędzy liderami, przewodniczącymi, mistrzami a ich uczniami i uczennicami?

W przypadku duchowości „tantrycznej” źródło tej zależności jest łatwe do zi-

Niemożność „poradzenia sobie” z niechcianą seksualnością prowadzi w końcu do jakiejś próby jej „rehabilitacji” – zwykle **tragicznie nieporadnej i powodującej cierpienie.**

dentyfikowania. Osoba mistrza (albo mistrzyni) zostaje uznana za wcielenie boskości – tylko wtedy bowiem możliwe jest potraktowanie seksualnej relacji z tą osobą jako bezpośredniego kontaktu z boskością samą. W takiej perspektywie autorytet owego „wcielenia boskości” niepomniernie wzrasta. Trudno o wyzwolenie się spod jego wpływu, nawet jeśli własne intuicje moralne albo po prostu emocje i odczucia w ciele protestują przeciwko załamaniu granic wstydu i cielesnej bliskości. Im dłużej trwa taka relacja, tym trudniej się z niej wyplątać.

W przypadku duchowości „ascetycznej” źródła władzy duchowych autorytetów są trudniejsze do wykrycia. Zarzykowałbym tu hipotezę, że leżą one w tym miejscu, w którym asceta lub ascetka przegrywa walkę ze swoją seksualną energią, o co nietrudno. Jest to upadek, z którego podnieść może tylko duchowy przewodnik czy przewodniczka. Zaciągnięcie winy, którą tylko kontakt z tą osobą może zmyć.

Czy da się rozwijać duchowość pozbawioną niebezpieczeństw, które tak wyraźnie ujawniły się w działalności Thomasa Philippe’a i Jeana Vaniera? Pierwszym krokiem ku temu powinna być rezygnacja z wizji, w której energia seksualna (i seksualne działania) są głównym wehikułem doświadczenia duchowego – albo główną dla niego przeszkodą. Niech współżycie seksualne będzie po prostu elementem głębokiej relacji międzyludzkiej. Energii seksualnej nie trzeba ani tłumić, ani nadawać jej „mistycznego” znaczenia. Tak, tworzy ona więź, ale jest to więź między partnerami – takimi, jakimi oni są w swojej ludzkiej indywidualności.

Duchowość nieerotyczna

Możliwa jest mistyczna droga ku Ostatecznej Rzeczywistości, która ani nie domaga się od swoich adeptów rezygna-

cji z budowania głębokich relacji obejmujących „zwykły” seks, ani nie posługuje się erosem jako swoją podstawową siłą. Przykładem takiej głębokiej duchowości rozwiniętej na gruncie chrześcijańskiej tradycji jest mistyka Mistrza Eckharta.

Ten średniowieczny dominikanin jeśli już nawiązywał do popularnego w jego czasie toposu dziewictwa, to przekształcał go radykalnie, pozbawiając znaczenia seksualnego, przenosząc całkowicie na poziom umysłu. Dziewicza jest dusza – mówił – wtedy, gdy nie jest przywiązana do żadnego umysłowego pojęcia ani wrażenia, ani doświadczenia. Co ważne – mówił o tym publicznie, do wszystkich, a nie tylko do tych, którzy przyjmowali jakiś specyficzny sposób życia.

Wolność, swoboda, odpuszczenie – nie napięcie erosa – to są podstawowe cnoty prowadzące do głębi Boskości. Wolność – która jest brakiem przywiązania również do każdej konkretnej formy religijności czy drogi duchowej: kto myśli, że znajdzie Boga tylko w jakimś konkretnym „sposobie” – ostrzega Eckhart – ten znajdzie tylko ów sposób, a minie się z ukrytym w nim Bogiem. Rozpoznanie tej prawdy pozwala wymknąć się z sidła każdego „guru”, który próbuje nas przywiązać do siebie, swojej metody i grupy, jako jedynej (czy choćby najlepszej) drogi ku Bogu.

Ważne jest przy tym, że duchowość Eckharta – przenosząc ciężar z konkretnych zachowań ciała na specyficzną postawę ducha – wcale nie oddziela się od zwykłego, codziennego życia. Przeciwnie: „Bo jeśli wyobrazasz sobie, że w przeżyciach wewnętrznych, nabożeństwach, słodkich zachwytach i w szczególnych łaskach Bożych otrzymujesz więcej niż przy kuchennym piecu lub w stajni, postępujesz tak samo, jakbyś Bogu owinął płaszcz wokół głowy i wsunął go pod ławę”.

Właściwe nastawienie umysłu – swobodnego i wolnego od przywiązań do konkretnych sposobów – pozwala dostrzec, że wszystkie elementy życia (seks także) są miejscem spotkania Boga. Wszystkie – takie, jakie są. Niczego nie potrzeba odrzucać, niczemu nie trzeba też nadawać specjalnych, tajemnych znaczeń i – deformując – czynić materiałem dziwnych, ezoterycznych praktyk. Seks jest ludzki. Całe ludzkie życie jest boskie.

© © PIOTR SIKORA

Nie istniejemy bez innych

MAREK KITA

Zdaniem niektórych był jednym z najbardziej oryginalnych i głębokich teologów naszej epoki. Zmarł prawosławny metropolita Jan Zizioulas.

NALEŻAŁ DO MYŚLICIELI Z BARDZO dobrym słuchem nastawionym na współczesność. Nie jest więc zaskakujące, że tego prawosławnego teologa ks. Michał Heller spotkał wśród fizyków i filozofów na interdyscyplinarnym sympozjum, zorganizowanym w 2005 r. w Atenach. Tak się złożyło, że na pożegnalnej kolacji siedzieli obok siebie. Grzecznościowa wymiana zdań nabrała głębi i oto – wspomina polski kosmolog – „nawiązała się prawdziwa rozmowa (...) o teologii, fizyce, ekumenizmie, przyszłości chrześcijaństwa i wielu innych rzeczach”. Pod jej wrażeniem ks. Heller zanotował: „Może ekumenizm nie byłby taki trudny, gdyby ludzie mieli głębsze poczucie Tajemnicy. Takie jak metropolita Zizioulas”.

Jan Zizioulas, tytularny metropolita Pergamonu, zmarł 2 lutego w ateńskim szpitalu w wieku 92 lat. Był rodowitym Grekiem, a zarazem postacią dobrze zadobowioną w świecie anglojęzycznym. Studiował zarówno w Salonikach i Atenach, jak i w szwajcarskim Instytucie Ekumenicznym Bossey oraz na Harvardzie – a następnie wykładał w Nowym Jorku, Bostonie, Edynburgu, Glasgow i Londynie. W pięknym stylu reprezentował prawosławie niebędące gettem, lecz stanowiące ważny element ekumeny, do której wносił poetycką mądrość mistyki. Jako przedstawiciel Patriarchatu Konstantynopola uczestniczył w pracach Światowej Rady Kościołów oraz w interkonfesyjnym dialogu z anglikanami i rzymskimi katolikami.

Na modłę ojców Kościoła

Jak przystało na myśliciela prawosławnego, Zizioulas trzymał się w teologii paradygmatów greckiej patrystyki. Jednak udało mu się również, zapewne niechęć, odwzorować we własnej biografii ścieżkę kościelną „kariery” znaną raczej we wczesnym chrześcijaństwie.

Przez długi czas służył Kościołowi swą refleksją i nauczaniem jako świecki teolog, by następnie w wieku pięćdziesięciu pięciu lat przyjąć święcenia prezbiteratu, a tydzień po nich sakrę biskupią. Można powiedzieć, że godność kościelnego „starszeństwa” stała się dla niego potwierdzeniem i zwieńczeniem dojrzałej charyzmy, podobnie jak to było w przypadku Bazylego Wielkiego, Grzegorza z Nazjanzu, Paulina z Noli czy Augustyna.

Jeśli chodzi o trwanie w patrystycznej inspiracji doktrynalnej, to w wydaniu Zizioulasa (analogicznie jak u plejady rosyjskich emigrantów z Instytutu Saint-Serge w Paryżu) była to wierność żywemu duchowi tradycji, a nie konserwacja jej litery. Wnikliwe i całościowe studium ojców greckich pozwalało mu być twórczym i okazywać się, według określenia Yves’a Congara, „jednym z najbardziej oryginalnych i głębokich teologów naszej epoki”. Zizioulas był zdania, że autentyczna część dla tradycji wyraża się w zdolności do jej odtworzenia w nowych, zmienionych realiach. „Jej przesłanie nie oznacza statyczności, ale ma w sobie dynamikę prawdy i nie boi się wyzwania współczesnego świata”. Grecki teolog dystansował się od stanowisk naznaczonych ciasnym tradycjonalizmem oraz „introwertyzmem wyznaniowym”, przejawianym „zwłaszcza w Kościele rosyjskim”.

Wykazywana przez samego Zizioulasa zdolność do krytycznego dialogu zarówno z innymi tradycjami konfesyjnymi, jak i ze współczesną myślą filozoficzną (m.in. z egzystencjalizmem i filozofią dialogu) stanowiła świadectwo ortodoksji świadomej swego bycia w drodze ku ostatecznemu królestwu wspólnego Pana ludzkości. Jak to określił Nikos Tzoitis z Biura Prasowego Patriarchatu Ekumenicznego, Zizioulas był „proroakiem teologii wolnej od kajdan historii”.

Sekret bytu i osoby

Wspomniane wyżej studium dziedzictwa patrystycznego zaowocowało u Zizioulasa „komunią i relacyjną” ontologią, zgodnie z którą „nic nie istnieje samo w sobie i dla siebie”. Pozytywne odniesienie do innych podmiotów istnienia oraz zachowująca różnicowanie więz z nimi nie są czymś przypadłościowym, lecz należą do samej istoty każdego bytu. W niej odbija się bowiem charakter Kreatora wszechrzeczy – który w świetle swego Objawienia okazuje się Trójcą, czyli głęboką wspólnotą Osób. Tak więc wewnętrzna struktura rzeczywistości pozostaje w sposób archetypiczny naznaczona orientacją na przyjazną współzależność. W szczególny sposób dotyczy to istot ludzkich, stworzonych na obraz i podobieństwo Boga – które jednak, wskutek pierwotnego grzechu, czyli ukierunkowanego na samowystarczalność odtrącenia Innego, osunęły się w „tragizm nieureczywistnionej egzystencji”.

Ów tragizm polega na tym, że zgubiwszy pierwotną orientację na wchodzenie w relacje oparte na różnych formach miłości, próbujemy pielęgnować własną tożsamość na bazie kontrastu i separacji, zamiast na zróżnicowaniu wewnątrz „wydarzenia komunii”. Osoba, byt relacyjny, zmieniła się w jednostkę-monadę, a jej narcystyczne zamknięcie w sobie sprawia, że inny jawi się jako piekło, budzi lęk. Egzystencja upadłych istot trwa w rozdarcu między dążeniem do zachowania indywidualności i pragnieniem przekroczenia siebie, by wejść w komunię. Ratunkiem (zbawieniem) jest zmiana na poziomie nie etyki, lecz właśnie ontologii – przyswojenie innego sposobu istnienia, nowe narodziny. Przez chrzest, dzięki zanurzeniu w Duchu Chrystusa, jesteśmy włączani w Chrystusowy sposób egzystowania, w którym bycie sobą i przekraczanie siebie nie kłócą się. Syn Boży przeżywa bowiem siebie w relacji z Ojcem, w pełnej wzajemnej afirmacji i oddaniu.

Wspólnota nowej egzystencji

Najgłośniejszą książkę Zizioulasa „Being as Communion. Studies in Personhood and the Church” (Bycie jako komunია. Studia nad osobowością i Kościołem) otwiera sugestywne stwierdzenie: „Kościół nie jest po prostu instytucją. Jest »trybem egzystowania«, sposobem bycia”. W ujęciu metropolity Jana



DONATELLA GIAGNORI / EIDON / EAST NEWS

Metropolita Pergamonu Jan Zizioulas podczas mszy z okazji uroczystości świętych Piotra i Pawła w bazylice watykańskiej, 29 czerwca 2015 r.

społeczność ochrzczonych to przede wszystkim środowisko przyswajania Boskiego *modus existendi*, wspólne przeżywanie sekretu istnienia uwidocznionego w Eucharystii – w której doświadczamy komunii z Bogiem udzielającym się światu. Kościół w swojej istocie na pewno nie jest autorytarnym systemem, lecz właśnie wydarzeniem komunii. Autentyczne przeżywanie go wymaga chłonicia Ducha zmartwychwstałego Chrystusa – który zgodnie z wizją Listu do Efezjan stanowi „Osobę korporatywną”, zwornik stworzenia, wszechobecny we wszystkich jego elementach (por. Ef 1, 10. 23). Życie kościelne wymaga również medytacji dogmatu o Trójcy.

W myśl owego dogmatu Ojciec pozostaje źródłem dla Syna i Ducha, równych Mu i zachowujących własną specyfikę. Ich ścisła więź pochodzi od Osoby i zmierza ku afirmacji każdej z Osób w ich wzajemnym oddaniu. Ta prawidłowość bytowania Stwórcy wymaga odzwierciedlenia w społeczności ochrzczonych w imię Ojca, Syna i Ducha. „Osoba nie może istnieć bez wspólnoty, lecz każda forma wspólnoty, która neguje i dławi osobę, jest niedopuszczalna”. Społeczność ochrzczonych nie może nie być synodalna.

A skoro Kościół istnieje w służbie Chrystusa Kosmicznego, to nie może się skupiać na samym sobie, ale powinien funk-

cjonować w świecie jako ferment i znak królestwa „przyszłego wieku”. Nie może ani całkiem utożsamić się ze światem obecnym, ani go porzucić. Głosząc to prorockie i kapłańskie powołanie Kościoła, Zizioulas coraz mocniej otwierał się także na teologiczną ekologię. Inspirował ekologiczne zaangażowanie patriarchy Bartłomieja i z entuzjazmem przywitał encyklikę papieża Franciszka „*Laudato si*”.

Po prostu mądry

Wspomniane na początku interdyscyplinarne sympozjum w Atenach poświęcone było ontologiom relacyjnym. Teologowie, fizycy i filozofowie rozmawiali o wizji świata niebędącej owocem „myślenia rzeczownikowego” – porzucającej widzenie rzeczywistości jako zbioru rzeczy i dającej pierwszeństwo zachodzącym między nimi relacjom. A nawet dopuszczającej konstytuowanie rzeczy przez relacje. Słuchając wówczas wypowiedzi metropolity Zizioulasa, ks. Heller odnotował, że grecki teolog jest „po prostu mądry”, jakkolwiek zaznaczył, że w dyskusji z nim musiał wejść w rolę *advocatus diaboli*. W imię uczciwości metodologicznej oponował przeciwko „zbyt szybkiemu przerzucaniu pomostów między fizyką a teologią”. „Gdy wschodni i zachodni teologowie mówią o Trójcy Świętej, jest to jednakowo mistyczne i jednakowo odległe – jak sądzę – od Bożej Rzeczywistości, ale gdy mówią wschodni, czuje się, że oni tym żyją. Biskup Zizioulas jest mistykiem i gdy się go słucha, mistyczne przeżycia jakoś się udzielają, ale do dialogu z nauką to się nijak nie ma” – krytycznie zauważa Heller w książce „Podróż z filozofią w tle”.

Lecz w wyznawanie Trójcy to proklamacja paradoksu, jakim pozostaje Początek i Kres wszechrzeczy – przy czym paradoks troistości Jedynego odsłania sens twierdzenia, że „Bóg jest miłością” (1 J 4, 8. 16). Odsłania go bez odarcia z tajemniczości, bo komunii osób (podobnie jak istnienia) nie da się pojąć abstrakcyjnie. Istnienie i komunie się przeżywa. Ioannis Zizioulas opiewał Tajemnicę, w której „żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28). ©

Autor jest teologiem zajmującym się myślą prawosławną. Przez wiele lat pracował w Instytucie Teologii Fundamentalnej, Ekumenii i Dialogu UPJP2 w Krakowie.

Papież dobra rada

EDWARD AUGUSTYN

W Watykanie nieczęsto słychać pochwałę psychoterapii. Franciszek jest tu wyjątkiem. Choć niektóre jego szlachetne wypowiedzi mogą być szkodliwe.

RÓŻNE TEMATY PAPIEŻY ZAJMUJĄ. Ostatnie przemówienie przed śmiercią Pius XII poświęcił na przykład chirurgii plastycznej. Był miłośnikiem nauk, chętnie przemawiał do lekarzy – nie tylko o etyce i deontologii. Do każdego z takich wystąpień przygotowywał się tygodniami, ściągając do swego apartamentu najnowsze naukowe pozycje z całego świata.

Papież Franciszek również słynie z tego, że chętnie odpowiada na różne pytania. Najczęściej z głowy, opierając się na doświadczeniu własnym lub znajomych, ewentualnie na historiach usłyszących lub przeczytanych.

Psycholog papieża

Wydana pod koniec stycznia we włoskim wydawnictwie Edizioni San Paolo książka „Lęk jako dar”, reklamowana gdzieś jako „najnowsza książka papieża Franciszka”, to rozmowa, jaką z papieżem przeprowadził rzymski psychoterapeuta Salvo Noè, przedstawiany często jako „psycholog papieża”. Czy jest nim naprawdę – nie wiemy. Wiadomo, że jest konsultantem psychologicznym karabinierów, policji finansowej, wojska i telewizji RAI. I że specjalizuje się w terapii strategicznej, stosowanej przede wszystkim w rozwiązywaniu problemów w rodzinie i środowisku pracy. Jest też popularyzatorem wiedzy psychologicznej – autorem kilkunastu książek i uznanym prelegentem. A także częstym gościem w Domu św. Marty. To on, sześć lat temu, podarował Franciszkowi tabliczkę „Zakaz narzekania” (to tytuł jednej z jego książek), która zawisała na drzwiach papieskiego apartamentu. Wieloletnia znajomość z Franciszkiem tłumaczy udział papieża w tym wydawniczym projekcie.

„Lęk jako dar” jest bowiem książką Salvo Noègo na temat ludzkich emocji. Rozmowa z papieżem to zaledwie pierwsza



Papież Franciszek w rozmowie z Salvo Noè
LĘK JAKO DAR. JAK RADZIĆ SOBIE
Z NIEPOKOJEM I ZWIĘKSZYĆ RADOŚĆ ŻYCIA,
Libreria Editrice Vaticana/Edizioni San Paolo, Rzym 2023

część (44 z 224 stron). Pozostałe dwie autor poświęcił problematyce lęku, zaburzeń emocjonalnych i poradom, jak sobie z nimi radzić. O tym, że temat ważny, nikogo przekonywać nie trzeba – gabinety psychoterapeutów pełne są osób, i to coraz młodszych, które doświadczają tych problemów. Pandemia jeszcze tę sytuację pogorszyła.

Papieże nieczęsto odnoszą się do tej problematyki. Franciszek jest pod tym względem wyjątkowy. Kilka lat temu przyznał, że sam korzystał z psychoterapii w nurcie psychoanalizy. Było to w latach 70., gdy Argentyna stała się mekką psychoanalityków. Dziś do metody wywodzącej się od Freuda papież ma poważne zastrzeżenia („Otworzyć i rozmontować zegarek jest łatwo. Trudniej go potem poskładać od nowa” – mówi w książce), ale swoją terapię wspomina dobrze. Jego wyznanie miało ogromne znaczenie dla odczarowania psychoterapii, na którą jego poprzednicy (przynajmniej w tamtym czasie) pa-

trzyli podejrzliwie. To po pierwsze. Po drugie, ks. Jorge Bergoglio sam za młodu uczył psychologii w Colegio del Salvador (zespół szkół podstawowych i średnich w Buenos Aires). Po trzecie, jako papież wielokrotnie wypowiadał się na temat chorób psychicznych, niskiej świadomości społecznej w tej kwestii oraz konieczności objęcia troską chorych i ich bliskich. Były to przemówienia dobrze przygotowane, przemyślane i wyważone, świadczące o znajomości problemu i dużej wrażliwości.

Diabelskie lęki

Książkowa rozmowa zaczyna się od pytań osobistych. Franciszek przyznaje, że zdarza mu się odczuwać lęk, zwłaszcza gdy podejmuje trudne decyzje, choć nie jest to strach, który go paraliżuje. Że rozważając sprawy często kieruje się tym, co mu mówi serce. Że ceni rodzinne czy braterskie ciepło i dlatego postanowił zamieszkać nie w pustym, zimnym Pałacu Apostolskim, ale w hotelu, jakim *de facto* jest Dom św. Marty. Że brzydzi się hipokryzją, oszczerstwem i plotkami. Że widzi potrzebę zatrudnienia psychologów w seminariach duchownych („Lepiej stracić jedno powołanie, niż ryzykować wyświęcenie niepewnego kandydata”). Że różne lęki – choćby przed innością – są dziś celowo podsycane i wykorzystywane (podając przykład osób homoseksualnych i imigrantów).

Nie skąpi też dobrych rad. „Co robić, gdy lęk nas blokuje? Reagować, nie oddalać się nigdy od radości”. „Nadmierny lęk nie jest chrześcijański, jest postawą, można powiedzieć, duszy uwięzionej, pozbawionej wolności, która patrzy w przyszłość, by coś stworzyć”. „Jeśli nasze życie otworzy się na Boga, nie będziemy zakładnikami własnych lęków. Bóg jest większy od twojego lęku”. „Diabeł walczy z Bogiem, a polem bitwy jest serce człowieka. We wnętrzu każdego z nas ścierają się dwa głosy – Złego i Boga. Ważne jest, aby rozróżnić i zrozumieć, za którym chcemy iść. Głos nieprzyjaciela odwraca naszą uwagę od teraźniejszości i chce, byśmy skupiali się na lękach o przyszłość lub smutkach o przeszłość”.

Cierpienie uszlachetnia

Trudno mieć pretensje do papieża, że mówi jak papież. Że antidotum na problemy widzi w modlitwie, zaufaniu Bogu, powierzeniu się jego ojcowskiej

opiece. Że próbuje „uszlachetniać” problemy, przekonując, że każde zdarzenie w naszym życiu – również cierpienie czy choroba – są znakiem Bożej opatrności, który należy przyjąć w duchu wiary i odnaleźć jego duchowe bogactwo. Gdyby te słowa padły w homilii, katechezie czy przemówieniu, nie wzbudziłyby kontrowersji. Ale padają w książce psychoterapeuty, która ma służyć pomocą osobom przeżywającym problemy.

Franciszek ceni sobie możliwość swobodnej rozmowy, także z dziennikarzami, czy to podczas konferencji prasowych w samolocie, czy w Domu św. Marty, do którego niektórych sam zaprasza, nie informując swoich służb prasowych czy sekretarzy. Kilka z jego spontanicznych wypowiedzi na ważne tematy Watykan musiał potem uściślać lub wręcz prostować. Teraz wyjaśnić nie ma się co spodziewać. A szkoda, bo choć brzmia niewinnie, mogą okazać się szczególnie szkodliwe. Sugestia, że przyczyną problemów emocjonalnych i psychicznych jest brak wiary, pada na delikatny grunt, bo dotyka osób, które i tak obciążone są wyjątkowo wysokim poczuciem winy. I z pewnością już nieraz słyszały – od bliskich, rodziców czy duszpasterzy – że powinny bardziej zaufać Bogu, więcej się modlić i korzystać z sakramentów.

Oczywiście, osvajanie lęków to jedna z ról religii, podobnie jak umacnianie ludzi w przyjmowaniu przeciwności losu (zwanych darami) i radzeniu sobie z życiowymi trudnościami. Dla osób religij-

nych wiara i modlitwa mogą być źródłem siły, a przekonanie o Bożej miłości i ojcowskiej trosce pomocą w pokonywaniu lęków. Tyle że nie wszystkich i nie zawsze.

Są granice

Tego w książce najbardziej brakuje: jasnego komunikatu, że zaburzenia emocjonalne i psychiczne wymagają pomocy specjalisty – psychoterapeuty lub psychiatry. Że ich terapia jest długa, często wieloletnia, i trudna. Że jej ważnym elementem jest zrozumienie i wsparcie ze strony najbliższych. Że dobre rady („nie ma się czego bać”, „musisz się przełamać”, „zmień myślenie”) nie tylko nie wystarczą, ale zwykle szkodzą. Że mówienie o tym wymaga delikatności, a przede wszystkim wiedzy. Że nie wolno bagatelizować lęków – własnych czy bliskich nam osób, ani zwlekać z podjęciem terapii, gdy stają się nieproporcjonalne do zagrożenia, odbierają radość życia czy powodują poważne trudności w codziennym funkcjonowaniu. Że sfery duchowej nie należy mylić z psychiczną, nawet jeśli obie nawzajem się przenikają i na siebie wpływają (pierwsza dotyczy wartości związanych z religią, życiem zgodnym z wiarą, kontaktem z Bogiem, modlitwą, a druga odnosi się do sfery emocjonalnej i mentalnej, a więc uczuć i myśli).

Salvo Noè dobrze o tym wie. I gdy z nim rozmawiałem, przyznał, że w książce takiego wyraźnego rozgraniczenia zabrakło. Dla niego jest ono oczy-

wiste, zapewne także dla papieża. Ale nie dla każdego czytelnika.

Wystarczy posłuchać

Są w książce także momenty wyjątkowe, gdy rozmówcy zamieniają się rolami. Franciszek zatrzymuje się na chwilę w swej „papieskiej retoryce” i pyta Noègo, z jakimi problemami ludzie najczęściej przychodzą do gabinetu psychoterapeuty. Dzięki temu i on, i czytelnik dowiadują się wreszcie o skali problemu i jego istocie – że nie chodzi o sytuacje zdrowe, gdy emocje, nawet silne, które są stałym elementem naszego życia, przysparzają nam jedynie chwilowych kłopotów. Że coraz częściej mamy do czynienia, zwłaszcza u osób młodych, a nawet dzieci, ze stanami lękowymi, które prowadzą do sytuacji niebezpiecznych: fobii społecznych, psychoz, zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych, ataków paniki, depresji czy zaburzeń odżywiania, jak anoreksja i bulimia.

Gabinet psychoterapeuty nie jest miejscem udzielania życiowych porad, lecz – niejednokrotnie – ratowania życia. Służenia pomocą i wsparciem w sytuacjach, gdy ani modlitwa, ani wiara już nie pomogą. Świadomość tego wciąż jest niewielka. Także w Kościele. Gdy przed kilkoma dniami watykański departament zdrowia włączył do swych świadczeń pomoc psychologiczną, jeden z dostojników kurii, informując o tym znajomego dziennikarza, powiedział: „I teraz, zamiast do spowiedzi, będziemy chodzić do psychoterapeuty”. ©P

REKLAMA



Anka Ptaszkowska. Przypadkiem

17.02 –
23.04.2023

Wybrzeże
Kościuszkowskie 22

MUZEUM
sztuki
nowoczesnej
w Warszawie



instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

Mecenasi Muzeum i Kolekcji

Partner prawny Muzeum

Partner wystawy



Współpraca medialna



Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział I Cywilny pod sygn. I Ns 212/22 prowadzi postępowanie z wniosku Joanny Brzezińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po małżonkach: Józefie Kalafor (z d. Kulczyckiej), c. Jana i Marii, zm. 11 listopada 1974 r. w Charzewicach, i Władysławie Kalaforze, s. Józefa i Anastazji, zm. 10 maja 1985 r. w Charzewicach – oboje mającymi ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Charzewicach, gmina Zakliczyn.

Sąd wzywa spadkobierców Józefy Kalafor i Władysława Kalafora do zgłoszenia się do tutejszego Sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim w sprawie I Ns 203/22 toczy się postępowanie z wniosku Marii Magdaleny Półtorak o stwierdzenie nabycia spadku po Danielu Czuryśkiewicz, s. Ignacego i Marianny, zm. 23 sierpnia 1990 r. w Chodlu i tam ostatnio stale zamieszkałym.

Sąd wzywa spadkobierców po Danielu Czuryśkiewicz, a w szczególności spadkobierców po Wandzie Świżek, z domu Korwell, c. Franciszka i Anny, zm. 4 marca 2022 r. w Bezlawkach i ostatnio stale zamieszkałej w Olsztynie, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie II Wydział Cywilny pod sygnaturą II Ns 674/21 toczy się postępowanie z wniosku Protegat 1 Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego w Krakowie z udziałem Bartłomieja Prusa, Piotra Prusa, PKO BP S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Jolancie Ewie Prus, ur. 6 maja 1956 r. w Warszawie, zm. 10 marca 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie.

Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórze w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 765/22/P z wniosku Janusza Zięby o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Rozalii Ożóg, c. Józefa i Jadwigi, zm. 7 maja 2022 r. w Krakowie, przed śmiercią zamieszkałej w Krakowie przy ul. Sielskiej 23E.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórze w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim w sprawie I Ns 423/22 toczy się postępowanie z wniosku Anety Mokszyńskiej i Pawła Mokszyńskiego o ustanowienie służebności drogi koniecznej na rzecz każdorazowego właściciela nieruchomości składającej się z działki oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 367, położonej w miejscowości Prawno, gminie Józefów nad Wisłą, dla której prowadzona jest księga wieczysta kw LU10/00058311/8 uprawniającej do przechodu i przejazdu m.in. po nieruchomości stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 372/1 położonej w miejscowości Prawno, gminie Józefów nad Wisłą, w stosunku do której w ewidencji gruntów jako władający nią widnieje Wspólnota Gruntowa Wsi Prawno.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do nieruchomości stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 372/1, położonej w miejscowości Prawno, gminie Józefów nad Wisłą, w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd ustanowi służebność drogi koniecznej obciążającą nieruchomość stanowiącą działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 372/1, położoną w miejscowości Prawno, gminie Józefów nad Wisłą, jeżeli Aneta Mokszyńska i Paweł Mokszyński wykażą przesłanki wskazane w art. 145 § 1 3 Kodeksu cywilnego.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny w sprawie o sygn. akt I NS 1047/22, toczy się postępowanie z wniosku Gminy Latowicz o zasiedzenie nieruchomości – działek gruntu nr 320, 321, 322 i 323 we wsi Chyżyny, gmina Latowicz, stanowiących drogi wewnętrzne o nieregulowanym stanie prawnym.

Sąd wzywa, aby zainteresowani w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje interesy prawne, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 584/22 toczy się postępowanie o zasiedzenie nieruchomości gruntowej położonej przy ul. Jesionowej w Łączy, gmina Rudziniec, powiat gliwicki, województwo śląskie (działka ewidencyjna nr 97 obręb 3), o powierzchni 0,0725 ha. Posiadaczem nieruchomości jest Piotr Greiner.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd może stwierdzić zasiedzenie nieruchomości.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 102/21 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Słomce, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Jelczu-Laskowicach (55-220) przy ul. Grabskiego 18/5. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik:

Gdzie są te stoły



ONA JEST ZMIANĄ W PROGRAMIE, WIĘC musi ustąpić – powiedziano ks. Wiktorii Matloch, wikarii Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie podczas uroczystości, w których miała repre-

zentować swój Kościół. Ks. Matloch została w maju 2022 r. ordynowana wraz z ośmioma innymi diakonkami na księdza Kościoła luterańskiego. Przez lata jej Kościół wstrzymywał się z ordynacją kobiet, ponoć również ze względu na dobro relacji ekumenicznych. I tak posługa kobiet była przez lata zakładniczką mizoginii innych wyznań chrześcijańskich (i pewnie samych polskich luteranów też). Kiedy jednak już zostały ordynowane, spotkało się to z ostrą reakcją metropolity Sawy, który w liście do prezesa Polskiej Rady Ekumenicznej zapowiedział, że prawosławni duchowni nie będą brali udziału ani w nabożeństwach, ani w konferencjach, w których obecne będą duchowne luterańskie. W efekcie prawosławni w ostatniej chwili zablokowali udział ks. Wiktorii Matloch w ekumenicznej modlitwie, tłumacząc się zasadami swojego Kościoła.

Tak się składa, że Kościół prawosławny nie ma aż tak ezoterycznych zasad, by dało się serio jego postawę obrońić. Uczestniczy w międzynarodowym dialogu ekumenicznym, którego zasadą jest poszanowanie tożsamości konfesyjnej partnerów, a sam Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny utrzymuje relacje z Kościołami luterańskimi z innych krajów, nawet takimi, które mają biskupki. Na naszym podwórku zdecydował się jednak uprawiać ekumenizm chuligański i szowinistyczny. Prawo męskiej chrześcijańskiej normy musi być na wierzchu. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Może być to niezrozumiałe, biorąc pod uwagę zupełnie inną teologię związaną z ordynacją i rolą duchownego. Czytelne staje się właśnie na poziomie utrwalania świata męskiej dominacji w chrześcijaństwie. Umówiliśmy się na klub dla chłopców, a pojawiają się nagle dziewczyny w koloratkach. Nie tak miało być!

Tym razem jednak jedną ręką metropolita Sawa walczy z ordynacją kobiet w Kościele luterańskim, a drugą lawiruje w sprawie relacji z patriarchą Moskwy i pod presją opinii publicznej wycofuje się z pochlebnego listu, który wysłał do patriarchy moskiewskiego Cyryla z okazji rocznicy jego urzędowania. Może czas na odpowiednią presję również w sprawie kobiet?

Zostawmy prawosławie, bo przecież nie tylko o nie tu chodzi. Presja w sprawie kobiet jako przywódców również

katolickiego Kościoła... co by się musiało stać, by była skuteczna? Czytam o różnych propozycjach reformy, nowych Trydentach, przebudowie teologii kapłaństwa. Gdzieś na marginesach tych rozmów pojawiają się kobiety, ale zwykle jako rozwiązanie ekstremalnie proste, progresywne i – jednak zbyt łatwe. Czytam, że nie uratuje nas oddanie kapłaństwa kobietom, oj nie, trzeba bardziej wysublimowanej konstrukcji. Trzeba teologicznie zaopiekować chłopaków, którzy jeszcze są albo mieliby zostać księżmi, a ich tożsamość jest coraz bardziej krucha.

Pierwszymi osobami, które mówiły mi, że trzeba zburzyć cały kościelny porządek i zbudować od nowa inaczej, były weteranki katolickiego feminizmu. Na froncie od 40 lat, bez złudzeń, że zmiana będzie szybka i bezbolesna. Wtedy wydawało mi się to wstrząsającą, pociągającą, ale też niespełnialną perspektywą. Ale teraz rozpad i odbudowę Kościoła wieszczę co drugi katolicki publicysta, jedyne, co martwi, to że w programie przebudowy wszystkiego równość kobiet i mężczyzn stoi niekoniecznie w istotnym miejscu. No, jakaś tam może, ale nie od razu pełna. Bo to nie jest tak, że jak dokuczy ci Kościół, jaki jest, to odrabiasz nagle wszystkie lekcje niedyskryminacji. Już bez przesady. To byłoby za dużo naraz. Nie od razu? Pewnie mamy poczekać kolejne dwa tysiące lat.

Gdzie są te stoły, przy których to będzie decydowane? Jak to zrobić, żeby gdy już je odszukamy, już wbijemy na to spotkanie, nikt nie powiedział nam: przepraszam, panie są zmianą w programie, nie mogą panie mówić? Program nie zakładał, że kobieta ma głos. Że coś można w imię jej statusu i komfortu zmieniać. Zmieniać? My tu mamy tradycję! Mieliliśmy mieć bezpieczną przestrzeń męskiej dominacji. Mieliliśmy móc zawsze was zakrzyczyć tym czy innym cytatem z Biblii. Możemy św. Pawłem sypać jak z rękawa: bądźcie posłuszne mężom, nie przemawiajcie na zgromadzeniach. My powinniśmy odpowiedzieć wtedy z dumą: tak, jesteśmy zmianą w programie. Zrywamy z tradycją mizoginii chrześcijaństwa. I nie cofniemy się, choćbyście szantażowali i strzelali focha.

Może cała nadzieja w tym, że nie da się tak wielkiej zmiany, jaka czeka katolicyzm, zaprogramować z centrali. Ona być może uruchamia się teraz i potrwa lata. I będzie działa się po swojemu na różnych krańcach ziemi. Gdzie są zatem te stoły? Ostatnio grupa sfrustrowanych katolików i katolików spotyka się przy moim stole. Najprościej, jak się da. Biblia, wspólna lektura, modlitwa. Żeby czegoś się przytrzymać, mieć wspólnotę, która nie rani. Minimalistycznie. Za to stół działa magnetycznie, zobowiązuje. Więc trafiają na niego resztki ciast pieczonych z miłością dla rodzin na niedziele, spontanicznie przygotowana ciepła focaccia. Przychodzimy się karmić czymś innym, ale przychodzimy też być razem. Czy przy tych stołach, przy których do tej pory decydowała się przyszłość Kościoła, uczestnicy spotkań kładli coś upieczonego z troską?

Zaprawdę, powiadam wam, przyszłość Kościoła decyduje się przy takich stołach, jak nasz. ©



Manifestacja radości po decyzji o wycofaniu wojsk francuskich z Mali, Bamako, luty 2022 r.

NA ZLECENIE PUTINA

Wbrew pozorom ponieśli już wiele porażek.
Ale gdyby nie Grupa Wagnera, wojna w Ukrainie przebiegałaby inaczej.
Oto opowieść o najsłynniejszych najemnikach naszych czasów.

ANNA ŁABUSZEWSKA

Tak powstała „firma”

FIRMOWY STYL RZĄDÓW WŁADIMIRA Putina to działania hybrydowe. Za fasadą organów państwa działają zakulisowo grupy realizujące zadania władz. Kreml się do nich nie przyznaje – albo przyznaje po fakcie.

Jeśli nie wypada dokąś skierować armii, a w pilnych interesach trzeba użyć kałasznikowa, wysyła się członków Grupy Wagnera. Działają także w Ukrainie. Kim są i skąd się wzięli? I czy są już w stanie zagrozić samemu Kremlowi?

Cofnijmy się do początku tej historii. Grudzień 2016 roku. Sala Gieorgijewska na Kremlu. Trwa przyjęcie z okazji Dnia Bohaterów Ojczyzny połączone z wręcaniem orderów za zasługi bojowe. Jednym z uczestników jest łysawy mężczyzna o zaciętych, wąskich ustach, którego dziennikarze petersburskiej gazety „Fontanka” zidentyfikowali jako Dmitrija Utkina, pseudonim „Wagner”, czterokrotnego kawalera Orderu Męstwa.

Jego zasługi bojowe? Po wielkiemu cichu. Najpierw wywiad wojskowy GRU i wojna w Czeczenii. Po odejściu do rezerwy zaczął działać w jeszcze głębszym cieniu. Był zaangażowany w firmę Moran Security Group, wynajmującą się do ochrony statków przed piratami. Jego kolejną przymiarką do nieformalnych działań militarnych był udział w tzw. Korpusie Słowiańskim. Prywatną firmę militarną Slavonic Corps zarejestrowano w 2013 r. w Hongkongu. Jak twierdzi Grze-



FLORENT VERGNES / AFP / EAST NEWS

takiej formacji bez wiedzy wysoko postawionych kolegów z branży i polityki było (i jest) w Rosji niemożliwe.

„Firma” miała już wkrótce się przydać w realizacji ważnych zadań: aneksji Krymu i rozpętaniu przez Rosję wojny we wschodnim Donbasie. To było pierwsze militarne działanie hybrydowe Kremla na dużą skalę. Tych, którzy zostali rzućeni na Krym, nazwano „zielonymi ludzikami”. Tych, którzy rozkręcili wojnę w Donbasie – „ichtamnetami” (od rosyjskiego „*ich tam niet*”, czyli „ich tam nie ma” – bo rosyjskie władze z Putinem włącznie wypierały się związków z ludźmi walczącymi na wschodzie Ukrainy po stronie separatystów).

Utkin był najpierw na Krymie, potem w obwodzie ługańskim. Według prawdopodobnych (choć niepotwierdzonych) danych, „Wagner” i jego ludzie mieli za zadanie pozbyć się tych miejscowych watazków, którzy nie pasowali Moskwie do pasjansa. Utkina zapamiętano jako tego, który paradował po Ługańsku w hełmie Wehrmachtu. I nie było to przypadkowe przebranie. Nie ukrywał fascynacji Trzecią Rzeszą. Pseudonim przybrał na znak uwielbienia dla muzyki ulubionego kompozytora Hitlera Ryszarda Wagnera. A ten pseudonim został szyldem jego grupy.

Ruslan Lewijew z zespołu dziennikarzy śledczych Conflict Intelligence Team pisał wtedy: „Rosyjskie prawo nie przewiduje istnienia »prywatnych firm wojskowych«, ale *de facto* firma Grupa Wagnera to na pół legalna formacja zbrojna, istniejąca pod skrzydłem i za pieniądze ministerstwa obrony Rosji; nawet poligon, na którym trenują wagnerowcy, znajduje się w sąsiedztwie 10. Brygady specnazu GRU w miejscowości Molkino w Kraju Krasnodarskim”.

Wagnerowcy bez „Wagnera”

Po opisanym wyżej kremłowskim epizodzie Dmitrij Utkin znika z pola widzenia (jedynie USA regularnie umieszczają jego nazwisko na listach sankcyjnych). Wzmianki o nim pojawiają się w 2017 r., gdy mowa o jego nominacji na dyrektora holdingu Concord, dziwnej struktury, w skład której wchodziły zarówno firmy zajmujące się gastronomią, jak i sama Grupa Wagnera. W tym momencie po raz pierwszy, i bodaj jedyny, oficjalnie przecinają się drogi Utkina i właściciela Concord, Jewgienija Prigożyna.

Dziennikarz „Fontanki” Denis Korotkow skojarzył kilka wątków i doszedł do wniosku, że restaurator Prigożyn finansuje działalność Grupy Wagnera. To były jeszcze czasy, kiedy ani Prigożyn, ani władze nie przyznawały się do jej istnienia, a tym bardziej do używania najemników w kilku istotnych dla Moskwy konfliktach. Prigożyn biegł do sądu za każdym razem, gdy ktoś z dziennikarzy pisał o jego powiązaniach z wagnerowcami. Otwarcie powiedział o tym, że to on (a nie Utkin) założył Grupę dopiero we wrześniu 2022 r. Ale o tym – za chwilę.

Kim jest Prigożyn? W listopadzie minionego roku, w tekście „Zawiadowca wagnerowców. Czy mógłby zająć miejsce Putina?” (patrz tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletki), pisałam: „W polu zainteresowania mediów Prigożyn pojawił się pod koniec lat dwutysięcznych, zaczęły wtedy wychodzić na jaw nieprzyjemne bebechy kontraktów, zawieranych przez firmy Prigożyna na żywienie uczniów w szkołach i poborowych w armii. Odnotowano przypadki zatrucia i zaczęto dociekać, jaka jest geneza lukratywnych zleceń. Uprzywilejowaną pozycję dała kucharzowi znajomość z prezydentem sięgająca lat 90. XX w. Na początku tej dekady, zaraz po odsiedzeniu wyroku za kradzież, rozbój i oszustwa, Prigożyn zajął się małą gastronomią. Wkrótce otworzył modne restauracje, w których bywali urzędnicy petersburskiego mero-stwa. Według prasowych enuncjacji, Putin lubił przyprowadzać do nich swoich gości z zagranicy”.

Potem Prigożyn stał się aktywny poza gastronomią. Kiedy w 2012 r. w Rosji trwały antyputinowskie protesty, miał finansować fabrykę trolli, dyskredytujących opozycję i niechętnie Kremlowi media – a potem, w 2016 r., aktywnych podczas wyborów prezydenckich w USA. „To już były zadania nowego kalibru, świadczące o rosnącym zaufaniu Kremla do Prigożyna, który zaczął firmować tak ważne akcje, jak wysyłanie wagnerowców na kluczowe dla polityki Moskwy od-cinki: do Syrii, Republiki Środkowoafrykańskiej, Libii itd.” – pisałam.

Od tego czasu jest już jasne: gdzie diabeł nie może, tam Putin wagnerowców posle.

Nie tylko zwycięstwa

Prigożyn jest okreśłany przez media jako „kucharz Putina”. Prezydent próbował się zdystansować od tej etykiety →

gorz Kuczyński, autor książki „Wagnerowcy. Psy wojny Putina”, „trzon Korpusu Słowiańskiego stanowili byli funkcjonariusze OMON i specnazu MSW [Rosji]. Jeśli już mieli jakieś bojowe doświadczenie, to z Kaukazu Północnego i Tadżykistanu. Weterani FSB i GRU byli w mniejszości, ale to oni tworzyli kadre dowódczą”.

Utkin i kilkuset innych rosyjskich żołnierzy wzięli udział w nieudanej ekspedycji, mającej na celu wsparcie Baszara al-Asada w Syrii. Po krótkim pobycie w rosyjskiej bazie w Latakii najemników skierowano do ochrony obiektów naftowych w rejonie Dajr az-Zaur, ale w okolicach miasta As-Suchna trafili pod ostrzał rebeliantów i musieli się wycofać.

Żołnierze Korpusu Słowiańskiego, dwaj Rosjanie: Wadim Gusiew i Jewgienij Sidorow, zostali po powrocie do Moskwy aresztowani i skazani w 2014 r. za najemnictwo na karę trzech lat pozbawienia wolności. Utkina zaangażowano tymczasem do organizacji „prywatnej firmy wojskowej Wagnera”. Powołanie do życia

→ – na konferencji prasowej zaznaczył, że „jego kucharzami są wyłącznie funkcjonariusze Federalnej Służby Ochrony”. Ale Prigożyn zaistniał w otoczeniu Putina właśnie jako kucharz, jeszcze w czasach petersburskich serwujący Putinowi ulubione dania, a potem dostarczający wykwiintnej strawy na kremlowskie rauty.

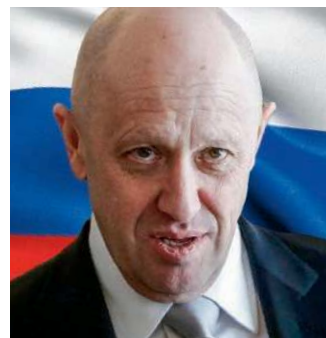
W jadłospisie Prigożyna stopniowo przybywało dziwnych pozycji. Najemnicy wrócili do Syrii, by wspierać Asada, a przy okazji kręcić własne lody. Mieli osłaniać złoża koło Dajr az-Zaur (tam, gdzie nie udało im się dotrzeć w trakcie nieudanej ekspedycji w latach 2013-14) i wyciskać z nich dywidendy dla szefa (roczny zysk szacowano na 2 mld dolarów). Tym razem też oberwali – w lutym 2018 r. pod Dajr az-Zaur zbombardowały ich amerykańskie samoloty, zginęło kilkanaście osób. Była to rysa na wizerunku Rosji, która kreowała się na zwyciężczynię w kampanii syryjskiej. Nie wchodziło też w grę przyznanie się przez Moskwę do wysłania najemników. Przywiezionych w cynkowych trumnach wagnerowców chowano potajemnie, blokada informacyjna zakończyła dyskusję.

Kilka miesięcy później, w lipcu 2018 r., zaczął się następny rozdział „brudnej” działalności Grupy Wagnera. O tym, że wagnerowców wysłano do Republiki Środkowoafrykańskiej, głośno ćwierkały wróble z placu Czerwonego – choć oficjalnego potwierdzenia nie było. Temu, co robią tam najemnicy, mieli się przyrzyć: dziennikarz Orhan Dżemal, reżyser Aleksandr Rastorgujew i operator Kirill Radczenko, którzy realizowali projekt na zlecenie Centrum Dochodzeń, sponzorowanego przez Michaiła Chodorkowskiego.

Zostali zastrzeleni. Śledztwo nie ujawniło sprawców. Po latach z różnych stron dobiegają strzepy sprzecznych wersji. Według jednej z nich ekipa dziennikarska padła ofiarą „prywatnej firmy militarnej »Patriotak«, według kolejnej – że została „wystawiona” przez człowieka związanego z Grupą Wagnera. Federalna Agencja Informacyjna (FAN) finansowana przez Prigożyna ogłosiła, że za zabójstwem stoi Chodorkowski. Jedno było jednak pewne od początku: wagnerowcy są w Afryce i pilnują jakichś plugawych interesów.

Kiedy w tym samym roku na Madagaskarze odbywały się wybory prezydenckie, na wyspie wyładował desant „technologów politycznych” z Rosji, wynajętych

*Dmitrij Utkin
i Jewgienij
Prigożyn – bez
nich nie byłoby
wagnerowców*



DOMENA PUBLICZNA X2

przez Prigożyna. Desant miał obstawę złożoną z wagnerowców. Według BBC, przysłani przez Prigożyna ludzie spędzili na Madagaskarze rok. Rosyjscy „konsultanci” proponowali dofinansowanie co najmniej sześciu kandydatów. Jeden z nich przyznał, że po prostu przyszedł do jego biura i przynieśli w walizce jakieś 17 tys. euro.

Wysłannicy „urabiali” kandydatów, obiecując spore sumy, jeśli po wygranych wyborach nowy prezydent zrezygnuje z prozachodniej polityki zagranicznej. Opłacali też uczestników wieców „przeciwko imperialistom”. Polityk, który wygrał wybory, oświadczył jednak, że nie jest sterowany przez żadne mocarstwo i będzie prowadził suwerenną politykę. Doradcy spakowali walizki, w których już nie było rozdanych dolarów, i wyjechali do Rosji. Kłapa. Prigożyn pozostał bez dostępu do atrakcyjnych surowców Madagaskaru, co było zapewne celem tej niewydarzonej operacji z udziałem m.in. pewnego ciekawego „socjologa” Mak-sima Szugaleja.

Po powrocie z wyspy „socjolog” został wynajęty przez Prigożyna do załatwienia jakichś niejasnych interesów w Libii. O tej eskapadzie Szugaleja nakręcono film fabularny. Scenariusz zgadzał się z oficjalną wersją: socjolog pojechał do pogrążonej w konflikcie Libii na badania terenowe o warunkach bytowych społeczeństwa. Niemniej spotykał się podczas pobytu wyłącznie z ważnymi osobistościami. W maju 2019 r. został aresztowany pod zarzutem złamania prawa, zbierania informacji o ruchach wojsk i organizowania operacji mającej na celu wpływ na wybory prezydenckie, planowane w Libii. Został uwolniony w grudniu 2020 r. Najprawdopodobniej Prigożynowi nie udało się wtedy zdobyć libijskich przyczółków. O obecności wagnerowców w Libii media pisały jeszcze w sierpniu 2021 r. po kolejnej porażce; według nieoficjalnych danych zadania w tym kraju wykonywało około tysiąca wagnerowców.

Wagnerowcy zostali też przyuważeni w 2019 r. w Wenezueli, gdy ważyły się losy prezydentury Nicolasa Maduro. Najemnicy mieli chronić sojusznika Kremla. Rosja miała wówczas w tym kraju rozkłęcone interesy w branży naftowej, które prowadził przyjaciel Putina, Igor Sieczin.

Rycerze młota kowalskiego

W lutym 2022 r. na Ukrainę ruszyła ponad stutysięczna rosyjska armia. Podstępne, niesprobowane uderzenie miało w ciągu kilku dni złamać opór ukraińskich wojsk. W podbitym Kijowie miał powstać marionetkowy prorosyjski rząd, którego zadaniem było zniweczenie proeuropejskich i pronatowskich dążeń Ukrainy. Na drożdżach „małej zwycięskiej wojenki” miał wyrosnąć nadwątlony ranking Putina i ułatwić mu wygranie w marcu 2024 r. wyborów prezydenckich.

Plan zawiódł. Natarcie armii rosyjskiej zaskoczonych skalą ukraińskiego oporu na wielu odcinkach frontu załamało się. Jeszcze większym zaskoczeniem była letnia kontrofensywa armii Ukrainy, która odbiła duży obszar okupowany przez Rosjan. Zbiegło się to w czasie z początkiem akcji wysyłania przez Rosję na front więźniów. W związku ze znacznymi stratami (oficjalnie rosyjskie ministerstwo obrony nie przyznaje się do liczby zabitych i rannych) w Rosji zaczęto na dużą skalę rekrutować ochotników spośród kryminalistów odsiadujących wyroki za przestępstwa pospolite (w tym również za zabójstwa). Chętnych pozyskiwano obietnicą amnestii po sześciu miesiącach służby oraz wypłat niebagatelnych sum za służbę. Prawnicy związani z fundacją Rus Siedząca wskazywali na brak bazy prawnej, na podstawie której można przerzucać ludzi z łagru na front, amnestionować i nagradzać. Kilka dni temu Kreml wytłumaczył, że dekrety Putina dotyczące procedury ułaskawień dla walczących kryminalistów są utajnione.

Pasem transmisyjnym między łagrem a armią okazała się Grupa Wagnera. Jew-

gienij Prigożyn osobiście zaangażował się w werbunek. Rozkręcił zmyślną kampanię w mediach pokazującą jego wizyty w koloniach karnych, podczas których werbował do Grupy. Werbunek przeprowadzono w co najmniej 35 koloniach karnych. Według Federalnej Służby Więziennictwa, liczba więźniów zmniejszyła się o 30 tysięcy.

Kampanii tej towarzyszyła rozgrywka Prigożyna z generalicją, która nie sprawdziła się w walce. Opłacane ze skarbonki Prigożyna gadające głowy oraz zastępy wyćwiczonych trolli robiły koło pobra dowództwu wojskowemu, podając w wątpliwość umiejętności i możliwości bojowe regularnej armii, a wysławiając skuteczność wagnerowców.

Od początku wojny Prigożyn zbierał pod wagnerowskim sztandarem własne siły, które – jak mu się zdawało – są w stanie zagrozić pozycji szefa sztabu Walerija Gierasimowa, ministra obrony Siergieja Szojgu oraz generałów liniowych, którzy nie mogli się pochwalić sukcesami w walce. Prywatna armia miała mu wywalczyć miejsce na scenie politycznej. Niektórzy komentatorzy spieszyli z wnioskami, że Prigożyn staje się samodzielną siłą, która może zagrozić nawet pozycji samego Putina. Wrócimy jeszcze do tego wątku.

Rozbudowanie struktur Grupy Wagnera faktycznie mogło wyglądać jak złamanie monopolu państwa na przemoc. Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej postanowiono pod pretekstem, natomiast działające *de facto* poza prawem grupy najemników poczyniły sobie coraz śmielej i rwały się, by dyktować warunki. Na tej fali Prigożyn postanowił zaistnieć jako założyciel

Grupy i oficjalnie przyznał się, że od samego początku pilotuje ten projekt.

Wagnerowcy pokazywani byli w mediach jako ci, którzy nadają ton i są nie tylko dostarczycielami dobrych wieści z frontu (jak zajęcie Soledaru), ale także obsługują sferę symboliczną. W listopadzie 2022 r. echem odbiło się nagranie przedstawiające zabójstwo młotem kowalskim Jewgienija Nużyna. Nużyn był więźniem, dał się zwербować Grupie Wagnera na wojnę w Ukrainie. Dostał się do ukraińskiej niewoli, po czym został wymieniony w grupie jeńców i znowu trafił do Wagnera. Najemnicy go zabili. Prigożyn chętnie się, że wysłał zakrawawiony młot do Parlamentu Europejskiego w odpowiedzi na pomysł uznania Grupy Wagnera za organizację terrorystyczną.

Prigożyn i jego podopieczni wciąż przyciągają uwagę mediów. Jakiś czas temu wojewoda wagnerowców osobiście powitał pierwszą partię więźniów, którzy odsłużyli pół roku i wyszli na wolność. Udzielił im takiej „rady”: „Nie pić za dużo, narkotyków nie zażywać, bab nie gwałcić, no chyba że z miłości, i w ogóle nie szaleć”.

Nie wszystkim udało się dotrzeć do końca kontraktu (mogło zginąć nawet 30 tys. członków Grupy). Prigożyn przekonał władze do pochówków wybranych wagnerowców z honorami wojskowymi.

Tak na przykład miasto Sierow w obwodzie swierdłowskim zyskało nowego bohatera – poległego w Ukrainie wagnerowca Siergieja Mołodcowa. To jeden z wyciągniętych z łagru przez Prigożyna więźniów. Mołodcow odsadywał wyrok 9 lat za zamordowanie matki. W oficjalnym komunikacie mówi się o nim jako

człowieku twórczym, niezwykłym, wrażliwym na potrzeby bliźnich, pełnym oddania dla słabszych, kochającym muzykę; o zabójstwie matki ani słowa. Według rosyjskich władz, znakomity przykład do naśladowania dla dzieci i młodzieży.

Obsługa Kremla

Prigożyn nie wykonuje usług za piękne oczy Putina – ciągnie z wojny niezłe pieniądze. Jak pisze „Nowaja Gazieta”, tylko na cywilnych zamówieniach państwowych związane z nim firmy w 2022 r. zarobiły 83,4 mld rubli (dwa razy więcej niż w 2020 r.). Jak wyliczyli autorzy publikacji, za te pieniądze można zakupić 525 tys. kałasznikowów albo pięć bombowców Tu-160M2.

Politolożka Tatiana Stanowaja twierdzi, że na razie Prigożyn nie jest w stanie zagrozić Putinowi. Pozostaje osobą prywatną, zależną od Kremla. Ale „intensywność i egzystencjalny charakter wojny z Ukrainą w połączeniu z deficytem zwycięstw dodały Prigożynowi politycznej wagi. Niemniej to nie czyni z niego osoby bliskiej Putinowi ani kandydata na następcę. (...) Dla prezydenta Grupa Wagnera pozostaje atrybutem, który ma prawo posiadać każde mocarstwo o ambicjach geopolitycznych. A atrybut nie może działać samodzielnie, musi wykonywać zadania zgodne z interesem państwa. Z tym że Prigożyn, który do niedawna działał zgodnie z tymi wytycznymi, wyszedł daleko poza wyznaczoną sferę odpowiedzialności i stał się osobą publiczną”.

Czy Kreml zatrzyma rozbrykanego gracza z młotem kowalskim w ręku?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK SPECJALNY

Ukraińska wojna o istnienie – rok pierwszy

Rok temu, rankiem 24 lutego 2022 r., obudziliśmy się w nowych realiach. Ziścił się scenariusz najczarniejszy, którego wcześniej prawie nikt się nie spodziewał. Wtedy, w pierwszych dniach rosyjskiej inwazji, wielu sądziło, że zorganizowany ukraiński opór potrwa może kilkanaście dni. Jednak Ukraińcy zaskoczyli (może również sami siebie): pokazali i wolę obrony ojczyzny, nawet za cenę wielkich ofiar, i zdolność do samoorganizacji. Minął rok.

- Jak w tym czasie zmieniły się Ukraina, Europa i świat, a także Rosja?
- Co przyniesie przyszłość?
- Czy jest nadzieja na sprawiedliwy pokój?

O to pytamy w dodatku do „Tygodnika”. Piszą w nim nasi autorzy: **Wojciech Konończuk**, **Paweł Pieniążek** i **Anna Łabuszewska**, a także eksperci **Peter Caddick-Adams** (brytyjski analityk wojskowy) i **Mark Leonard** (szef European Council on Foreign Relations).

PARTNERZY



„Tygodnik” z dodatkiem w sprzedaży od środy 22 lutego

Powitanie z Afryką

AGATA KAŹMIERSKA

Zamachy stanu, dogadywanie się z rebeliantami, sponsorowanie kampanii wyborczych i internetowych trolli. W ten sposób wystannicy Prigożyna działają w Afryce.

NA TYM KONTYNENCIE GRUPA WAGNERA to tylko dodatek do imperium rosyjskiego oligarchy. I to dodatek, którego podobno wcale nie chciał.

Jewgienij Prigożyn, związany wielomilionowymi kontraktami na sprzątanie jednostek wojskowych i usługi cateringowe dla rosyjskiego MON, nie mógł po prostu odmówić, gdy dekadę temu generałowie złożyli mu propozycję zorganizowania prywatnej firmy wojskowej. Dziś nie sposób z całą pewnością stwierdzić, kiedy za sznurki pociągają oni, a kiedy wagnerowcy działają wyłącznie na rzecz oligarchy. Dzięki setkom śledztw dziennikarzy, ośrodków badawczych i najróżniejszych służb wiadomo jednak, że spółki Prigożyna, zajmujące się wydobywaniem surowców naturalnych i konsultacjami politycznymi, działają w co najmniej połowie z 54 państw Afryki. Oto, jak działają.

Moda na Rosję

„Nie przyznajemy koncesji wydobywczych tylko dlatego, że jakaś firma pochodzi z Rosji” – przekonywał w minionym tygodniu Simon-Pierre Boussim, minister odpowiedzialny za górnictwo w Burkina Faso. Nie wypadł wiarygodnie. Tym bardziej że spółka Nordgold, która dostała pozwolenie na wydobycie złota, jest objęta zachodnimi sankcjami i zмага się z potężnym zadłużeniem wobec inwestorów. Od miesięcy trwały spekulacje, jak Burkina Faso, której państwowy skarbiec jest pusty, zapłaci za usługi wagnerowców.

We wrześniu 2022 r. doszło tu do wojskowego zamachu stanu, drugiego w ciągu ośmiu miesięcy. Pierwszy, styczniowy, przeprowadzili profrancuscy oficerowie rozczarowani tym, jak słabo poprzednie władze radziły sobie z dziesiątymiesięczną rebelią, która objęła pół kraju. Kolejny zamach przeprowadził oficerowie prorosyjscy. Oficjalnie – z tego samego powodu. Ale jednym z pierwszych, któ-

rzy pospieszyli z gratulacjami dla puczystów, był Prigożyn. Wychwalał oficerów jako patriotów, którzy „zrobili, co było konieczne”.

To zapewne nie przypadek, że zamachowi stanu towarzyszyły antyfrancuskie zamieszki w stołecznym Wagadugu, podczas których obrzucono koktajlami Mołotowa ambasadę i Instytut Francuski, a na ulicach pojawiły się rosyjskie flagi i plakaty z wizerunkiem Putina.

– Media społecznościowe od miesięcy wysmarowane były rosyjską propagandą, a wśród młodych panuje wręcz moda na afiszowanie się z poparciem dla Rosji – mówi europejski dyplomata pracujący w Burkina Faso. Niemal cały styczeń trwały demonstracje, których uczestnicy domagali się przegnanie francuskich żołnierzy i zaproszenia na ich miejsce Grupy Wagnera. W końcu władze zażądały wycofania w ciągu miesiąca 400-osobowego francuskiego kontyngentu.

O ile forma płatności za usługi wagnerowców wydaje się oczywista – już wcześniej w innych państwach odbierali „wynagrodzenie” w surowcach – burkiński przypadek na tle innych państw Afryki jest ciekawy z innego powodu. „To może być pierwszy przykład udziału Rosji w podżeganiu do zamachu stanu, a nie tylko czerpania korzyści z wcześniej istniejących niepokojów”, komentował dla agencji Associated Press Samuel Raman z Royal United Services Institute, think tanku zajmującego się sprawami bezpieczeństwa. Wcześniej firmy Prigożyna wypróbowywały inne scenariusze: zbrojne przejmowanie władzy, dogadywanie się z rebeliantami, sponsorowanie kampanii wyborczych i wpływanie na opinię publiczną za pośrednictwem internetowych trolli, botnetów i przekupionych dziennikarzy albo wręcz kupionych stacji radiowych czy gazet. Ich ślady są widoczne od Sudanu i Libii po RPA i Madagaskar.

Ale na razie wagnerowcom poszło najlepiej w samym centrum Afryki.

Konwoje pod nadzorem

Pas asfaltu wygląda jak przeniesiony z innej rzeczywistości. W prefekturze Ouaka, jak w zasadzie w całej Republice Środkowoafrykańskiej, nie ma zbyt wielu dróg dobrej jakości. Tymczasem nowiutka dziesięciokilometrowa dwupasmówka wdziera się w gęsty las równikowy. Na rozstawionych na niej punktach kontrolnych żołnierze dokładnie przeszukują każdy pojazd i pytają o cel podróży.

Ostatni posterunek obstawiają biali cudzoziemcy. Na końcu drogi jest kopalnia złota Ndassima, uważana za jedno z najbardziej obiecujących złóż w kraju. 17 lat temu prawa wydobywcze dostali tu Kanadyjczycy, którzy ponoć zainwestowali w kopalnię grube miliony – ale wkrótce zjawili się rebelianci i ich przepędzili. Przez kolejne lata rebelianci wydobywali zaledwie ok. 15 kilogramów złota miesięcznie, ale na ich potrzeby to wystarczało. Aż cztery lat temu pojawili się Rosjanie i bez jednego wystrzału przejęli kontrolę nad kopalnią.

Rząd w Bangi bez wyjaśnień odebrał Kanadyjczykom prawa do Ndassimy, a odkąd do kopalni jej nowi władarze sprowadzili potężne koparki i kruszarki, wszystko przypomina ufortyfikowaną twierdzę. Z analizy zdjęć satelitarnych wiadomo jednak, że poddany na miejscu wstępnej obróbce złotonosny żwir przewożony jest do stolicy, gdzie znajduje się zbudowana przez Rosjan huta. Trafia tam też surowiec z innych, mniejszych kopalń, również kontrolowanych przez Rosjan. Stąd, już przetopiony w sztaby, przewożony jest w dwóch kierunkach.

Złoto, które ma trafić do Rosji, transportowane jest na stołeczne lotnisko Mpoko. Przy drzwiach do pawilonu prezydenckiego znajduje się wejście zarezerwowane wyłącznie dla „przedsiębiorców” z Rosji. Źródła magazynu „The African Report” twierdzą, że nie obowiązują ich żadne kontrole, a wycarterowane samoloty we wtorkowe poranki wylatują do Moskwy. Według świadków, których relacje co jakiś czas trafiają do afrykańskich mediów, reszta sztabek z huty w Bangi ładowana jest do ciężarówek, które jeżdżą do portu Duala, ekonomicznej stolicy Kamerunu. Co dalej się z nimi dzieje, nie wiadomo.

Z konwojów, którymi przewożone jest złoto, Rosjanie też uczynili dochodowy





TWITTER

Wagnerowiec szkoli rekrutów z Republiki Środkowoafrykańskiej, listopad 2022 r.

biznes. Dwa–trzy razy w tygodniu wysyłają do Duala ok. 50 ciężarówek, które ochraniają ich wojskowi kontraktorzy. Za możliwość dołączenia do nich liczą sobie 50 tys. franków środkowoafrykańskich (ok. 360 zł). Dodatkowych ciężarówek jest zwykle ponad sto. I podobnie jak na Mpoko, przekraczając granicę rosyjskie transporty nie podlegają kontroli, bo na granicy przepuszczają je... Rosjanie działający, jakby byli służbą celną.

Jakiś czas temu przeciwko takim praktykom zaprotestowały Francja i Unia Europejska, więc rząd w Bangi obiecał, że to się zmieni. Wkrótce potem Rosjan zatrudnionych przez związaną z Prigożynem spółkę Lobaye Invest zastąpili Rosjanie zatrudnieni przez nowo utworzoną spółkę SJ Amiko – także powiązaną z Prigożynem.

Złoto, kawa, rebelianci

Nikt nie udziela informacji dotyczących wartości złota wywożonego przez Rosjan z Republiki Środkowoafrykańskiej, ale potencjał samej tylko Ndassimy szacowany jest na 2,7 mld dolarów. Te interesy w 2018 r. próbowali badać rosyjscy dziennikarze Orhan Dżemal, Aleksandr Rastorgujew i Kirill Radczenko. Gdy tylko zbliżyli się do rosyjskiego konwoju, ktoś wyskoczył z krzaków i ich zastrzelił. Sprawców dotąd nie wykryto.

Lobaye Invest ma również pozwolenie na poszukiwanie diamentów. Do tego w kraju działa Bois Rouge, kolejna spółka powiązana z imperium Pri-

gożyna, która otrzymała 30-letnią koncesję na gospodarowanie 86,5 tysiącami hektarów dziewiczych lasów w Kotlinie Kongo. Ostatnio wyszło również na jaw, że rosyjscy biznesmeni uważani za emisariuszy oligarchy od kilku miesięcy przygotowują otwarcie największej w kraju palarni kawy oraz próbują przejąć rynek produkcji cukru. A gdyby chcieli te towary wywozić, raczej nie muszą się liczyć z kontrolami na granicy.

Przejmowanie Republiki Środkowoafrykańskiej przez ludzi Prigożyna zaczęło się na jesieni 2017 r., gdy w Bangi zarejestrowano wspomnianą Lobaye Invest oraz „specjalizującą się w ochronie osób i obiektów” Sewa Security Services. Mniej więcej w tym samym czasie doradcą ds. bezpieczeństwa prezydenta Touadéry został były oficer FSB z Petersburga Walerij Zacharow. Dopiero w styczniu kolejnego roku zjawili się trzystu rosyjskich kontraktorów. Mieli prowadzić szkolenia dla armii i początkowo rzeczywiście tym się zajmowali. Kilka miesięcy później, gdy zaczęło dochodzić do walk z rebeliantami, liczba kontraktorów wzrosła do ponad 1,5 tysiąca. Oskarżani są o masowe zatrzymania, tortury i zabicie ponad trzystu cywilów.

Z jednej strony wagnerowcy walczyli, ale z drugiej Zacharow negocjował z lokalnymi watażkami. Ukoronowaniem tych zabiegów było porozumienie między rządem w Bangi i 14 grupami rebelianckimi, na podpisaniu którego w lutym 2019 r. w Chartumie osobiście pojawił się Prigożyn. O tym, co było stawką

rozejmu, doskonale świadczy sprawa Ndassimy – przywódca rebeliantów, który kontrolował tę kopalnię, dostał rządowe stanowisko, a Rosjanie umożliwili spokojnego wydobywania złota. Prezydent Touadéra natomiast mógł się chwalić zaprowadzeniem pokoju (utrzymał się kilka miesięcy). Na fali tej popularności Zacharow pomógł mu zmontować szeroką koalicję polityczną Mouvement Cœurs Unis, która dotąd rządzi krajem i jest otwarcie prorosyjska. A tych, którzy mają inne poglądy, zastraszał Ruch Rekinów, wspomagany przez pracowników Sewa (organizację formalnie zdelegalizowano po ostrej reakcji rządu w Paryżu).

O wpływach, jakie zdobyli Rosjanie, świadczy zeszłoroczny raport unijnej Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, w którym napisano, że „siły zbrojne Republiki Środkowoafrykańskiej działają pod bezpośrednim dowództwem lub nadzorem najemników Grupy Wagnera”, podobnie jak parlament „i inne kluczowe instytucje rządowe”.

Obecnie na miejscu jest około tysiąca rosyjskich kontraktorów. Ostatnio nękała ich jednak plaga dezercji lokalnych pracowników, nazywanych Czarnymi Wagnerowcami – ponoć bali się, że zostaną wysłani na front w Ukrainie. Do tego w połowie stycznia Rosjanie wpadli w zasadzkę zorganizowaną przez rebeliantów, w której zginęło siedmiu kontraktorów, a kolejnych kilkunastu zostało rannych. – Lokalne frakcje rebeliantów zjednoczyły się w obliczu wspólnego wroga i chcą odzyskać utracone dochody z kopalń – twierdzi Enrica Picco, dyrektorka ds. Afryki Środkowej think tanku International Crisis Group.

Krótką listą porażek

Są jednak miejsca, gdzie ludziom Prigożyna idzie znacznie gorzej. Na Madagaskarze jego „polityczni konsultanci” mieli pomóc w reelekcji ówczesnemu prezydentowi Hery Rajaonarimampianinie w zamian za udziały w wydobywającym chromit koncernie Kraomita Malagasy. Gdy okazało się, że kampanie w mediach społecznościowych i przekupywanie dziennikarzy, a nawet publikowanie własnej gazety niewiele daje i Rajaonarimampianina nie ma szans na zwycięstwo, Rosjanie zaczęli prowadzić kampanie pięciu

→ innych kandydatów. Żaden nie wygrał, a z kontraktu na chromit nic nie wyszło.

Za jeszcze większą porażkę można uznać operację w Mozambiku, skąd wagnerowcy uciekli po pół roku, gdy okazało się, że są nieprzygotowani do walki w dżungli z dobrze zorganizowanymi partyzantami. Niewiele lepiej idzie im w Mali, gdzie występują pod nazwą Prime Security. Tu ich przeciwnikami są džihadyści zaprawieni w walkach m.in. z francuskimi komandosami (rząd malijski wyprosił ich w zeszłym roku). Rok temu pojawił się też problem z wypłatami, bo obłożony międzynarodowymi sankcjami rząd przez kilka miesięcy nie miał czym płacić, a transporty z zaopatrzeniem z Rosji – zapewne z powodu wojny w Ukrainie – przestały docierać. Efekt był ponoć taki, że część kontraktorów w Timbuktu i w Sévaré zaczęła strajk, odmawiając wychodzenia poza bazę, a inni okradali miejscowych z sardynek i sprzedawali je na miejscowych jarmarkach.

Źródło finansowania się jednak znalazło. Z przesłuchań dowódcy amerykańskich sił w Afryce gen. Stephena Townsenda w Senacie USA wynika, że Rosjanie zdobywają coraz większy wpływ na malijską politykę i teraz czerpią już zyski m.in. z udzielania koncesji zagranicznym inwestorom.

Na całym kontynencie coraz częściej uwagę opinii publicznej przykuwa także inny aspekt działalności Grupy Wagnera. Afrykańskie Centrum Studiów Strategicznych podaje, że w 2022 r. dopuściła się ona co najmniej sześciu masakr na cywilach. Rząd w Bamako nie widzi w tym jednak problemu, a przedstawiciel ONZ Guillaume Ngefa-Atondoko Andali, który na zlecenie Rady Bezpieczeństwa miał badać działalność wagnerowców, kilka dni temu dowiedział się, że ma 48 godzin na wyjazd z kraju.

Doktryna Gierasimowa

Nie jest jasne, kiedy w Moskwie zapadła decyzja o strategicznym zwrocie ku Afryce. Niektórzy badacze uznają, że już w 2009 r., wkrótce po obłożeniu Rosji sankcjami za atak na Gruzję. Ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew polecił wówczas do Afryki z czterystuosobową świtą szefów największych rosyjskich spółek, m.in. Gazpromu i Alrosa. Dwa lata później Putin odbył podobną wyprawę – dotarł aż do RPA, stając się pierwszym urzędującym rosyjskim przywódcą,

O takich jak Prigożyn mówi się: handlarze wpływów.

Starają się jak najlepiej wpisywać w to, czego oczekuje Kreml. Wtedy ich zysk będzie jeszcze większy.

który odwiedził kraj położony na południe od równika.

Wkrótce potem w oficjalnych rosyjskich dokumentach rządowych zaczęły się pojawiać deklaracje o „nowej dynamice rozwoju w tradycyjnie przyjaznych stosunkach Rosji i państw afrykańskich”. Jednocześnie do Moskwy zaczęto – jak za czasów Związku Sowieckiego – zapraszać afrykańskich polityków i wojskowych, a hojne stypendia otrzymywały rzesze afrykańskich studentów i praktykantów chętnych odbyć staże w rosyjskich instytucjach rządowych. Ukoronowaniem politycznych wysiłków był szczyt w Soczi w 2019 r., na którym stawili się przedstawiciele wszystkich państw Afryki, w tym 43 prezydentów, by w deklaracji końcowej zapowiedzieć, że wraz z Kremlem będą bronić się przed „hegemonią Zachodu”.

Jak w tej układance znalazł się Prigożyn? Z jego billingów telefonicznych, do których dotarł serwis Bellingcat, wynika, że w drugiej połowie 2013 r. był w intensywnym kontakcie z przedstawicielami rosyjskiego rządu i służb – m.in. 99 razy rozmawiał z szefem Aparatu Rządu Federacji Rosyjskiej Antonem Wajno, a 25 razy z zastępcą dyrektora GRU gen. Aleksiejem Diuminem, który nadzorował aneksję Krymu. Wiele wskazuje na to, że właśnie wtedy powoływano do życia Grupę Wagnera, która niedługo później pojawiła się na wschodzie Ukrainy.

Również wtedy zaczynał się inny ważny dla oligarchy projekt. Należąca do Prigożyna Agencja Badań Internetowych, znana także pod nazwą „fabryki trolli Putina”, zaczęła zmieniać sposób działania – z czysto krajowego narzędzia politycznego, wykorzystywanego do niszczenia rosyjskiej opozycji i niezależnych dziennikarzy, zaczęła przekształcać się w narzędzie służące do ingerencji w sprawy innych państw, w tym Ukrainy, USA czy Wielkiej Brytanii.

Kilka lat później do mediów wyciekła prezentacja w PowerPoint, stworzona

przez pracowników oligarchy, która wskazywała, iż celem działań propagandowych w co najmniej 10 państwach afrykańskich ma być stworzenie „sieci agentów wpływu” złożonej z lokalnych polityków i ekspertów, którzy działać będą „zgodnie z naszym interesem”. W prezentacji wskazywano, że „fundusze będą przekazywane w formie anonimowych darowizn w kryptowalutach – dzięki czemu nie będzie wiadomo, kto finansuje przedsięwzięcie”. I z zakończenia: „[to] zasłona dymna i przykrywką dla wydarzeń; w atrakcyjnej, nowoczesnej formie”.

Tak powstało Stowarzyszenie na rzecz Wolnych Badań i Współpracy Międzynarodowej (AFRIC), którego „konsultanci” promują wybranych afrykańskich polityków, organizują antyzachodnie protesty i pojawiają się jako rzekomo niezależni obserwatorzy wyborów (tak było m.in. w Zimbabwie, RPA czy Demokratycznej Republice Konga). Jednocześnie ARFIC koordynuje działania z Międzynarodowym Centrum Antykrzysowym oraz Centrum Inicjatyw Społeczno-Kulturalnych, także należącymi do Prigożyna, których celem jest – w zależności od potrzeb – promowanie interesów oligarchy bądź Rosji. Kolejna taka organizacja to wspierany pieniędzmi Prigożyna, działający w co najmniej 11 państwach Afryki Ruch Kemi Séba, sprzeciwiający się „francuskiemu neokolonializmowi i imperializmowi”.

Prof. Marlène Laruelle, dyrektor Instytutu Studiów Europejskich, Rosyjskich i Eurazjatyckich na George Washington University, oligarchów takich jak Prigożyn nazywa „handlarzami wpływów”. Z jednej strony działają biznesowo, z drugiej starają się wpisywać jak najlepiej w to, czego oczekują władze w Moskwie, bo wiedzą, że wówczas zysk będzie jeszcze większy. A na to, jak realizowany ma być cel Rosji, wskazuje tzw. doktryna Gierasimowa, która stawia nacisk – wedle własnych słów generała – „na jednoczesne wykorzystanie metod politycznych, ekonomicznych, informacyjnych oraz innych środków niemilitarnych”, których armia powinna być jedynie uzupełnieniem. To prowadzić ma przeciwnika do utraty kontroli nad jego własnym terytorium, dając Rosji możliwość eksploatacji jego zasobów „przy zachowaniu lub ustanowieniu nowego reżimu politycznego, by zachować legitymizację terytorium”.

Tutaj boli najbardziej

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Trzęsienie ziemi, które 6 lutego spustoszyło turecko-syryjskie pogranicze, wydarzyło się w miejscu i tak już mocno doświadczonym przez los.

CHŁOPCZYK JEST MAŁEŃKI. MA NAJWYŻEJ 2-3 lata. Wciąż jest uwieczony pod gruzami zawalonego budynku w Hatay, ale stambulscy strażacy próbują go uwolnić. Oraz, najpierw, napoić. Nie wiedzą jak, bo dziecko jest zaklinowane. W końcu podają mu wodę wprost do ust, na niebieskiej nakrętce od butelki. Maluch spokojnie pije. Nie płacze, nie panikuje. Leży i coraz szerzej otwiera brązowe oczy słysząc „az kaldı!” – już mało zostało.

Nagranie zamieścił kilka dni temu burmistrz Stambułu Ekrem Imamoğlu informując, że przedstawia syryjskie dziecko o imieniu Muhammed. W komentarzach pod jego postem – euforia. „*Mucize!*” – cud. Ludzie błogosławią maluchowi i strażakom. Ktoś stwierdza, że takim dzieciom w Syrii nie ma jak pomóc, ktoś inny – że modli się, by Bóg dał długie życie dziecku, które uniknęło bomb we własnym kraju, ale zostało ofiarą trzęsienia ziemi w cudzym.

„Jakie to szczęście – pisze ktoś w końcu – że nikt jeszcze nie zaczął w komentarzach awantury, że to Syryjczyk. Jak to pięknie być człowiekiem!”.

Dokąd pójdą ci bez domu

W Turcji od miesiący narastały antyuchodźcze nastroje. Syryjczyków coraz głośniej obwiniano o wszystko. Politycy opozycji prześcigali się w pomysłach, jak pozbyć się niemile widzianych gości.

To właśnie prowincje najbardziej dotknięte ostatnim kataklizmem przyjeły łącznie największą liczbę uchodźców na świecie. Według rządowych danych z grudnia 2022 r., w samym tylko Gaziantep jest ich 461 tysięcy. W Kilis, pod samą syryjską granicą, niemal co drugi miesz-

kaniec miasta to Syryjczyk, w Gaziantep – mniej więcej co piąty.

Dziś nikt nie sprawdza paszportu. Rządowe i prywatne wsparcie trafia do potrzebujących bez względu na narodowość. Ale pytania się pojawiają – i to już niedługo. W samym tylko Gaziantep do domów nie może wrócić ponad milion ludzi. O ile Turkom wolno podróżować, o tyle Syryjczyków obowiązuje zakaz osiedlania się poza prowincjami, w których występowali o ochronę. W praktyce nie mają więc jak opuścić miejsc, w których na razie nie da się żyć.

Ale i obywatele Turcji raczej nie ruszą się z miejsca. Trzęsienie ziemi zdarzyło się w poniedziałek. W piątek wciąż jeszcze były miejscowości, do których nie dotarła żadna rządowa pomoc. Początkowo tłumaczono, że problemem jest mroźna i śnieżna pogoda oraz zniszczone drogi. Ci, którzy wciąż koczują na mrozie w piżamach, bez butów i pieniędzy, już w to nie wierzą. Cztery dni po tragedii w Kahramanmaraş nadal były setki takich lu-

dzi. Do ich dzielnic nie dotarły ani ekipy poszukiwawcze, ani wozy z żywnością. Pomoc dostarczają im ludzie, którzy za własne pieniądze kupują jedzenie i przywożą z sąsiednich prowincji.

– Gdzie jest państwo? – pytał dziennikarzy zrozpaczony mieszkaniec miasta. Nie potrafił powstrzymać łez. A mowa nie tylko o ekipach ratunkowych, ale choćby policji. Przybywa szabrowników, zdarzają się bójki przy punktach wydawania pomocy.

Ayşe, nauczycielka z Samsunu, ma też kilka innych pytań. Na przykład: – Gdzie są namioty, gdzie służby i gdzie pieniądze z podatku na wypadek trzęsień ziemi pobieranego od 24 lat?

Chodzi o daninę wprowadzoną po wstrząsach w 1999 r. Recep Tayyip Erdoğan nie zostawiał wtedy suchej nitki na rządzącej partii kemalistycznej, zarzucając jej brak przygotowania do katastrofy i złą organizację akcji ratunkowej.

Ayşe od poniedziałku prawie nie je. – Wstydzę się, gdy wiem, że inni są głodni →



Akcja ratunkowa w Diyarbakir, Turcja, 10 lutego 2023 r.

DEMİROREN VISUAL MEDIA / ABACA PRESS / FORUM

→ – mówi. Najchętniej wsiadłaby w auto i pojechała w rejon katastrofy, ale nie może, bo opiekuje się chorą matką. Więc siedzi i płacze, a gdy nie płacze, zbiera dary i udostępnia wiadomości od potrzebujących pomocy. Zaraz po studiach pracowała w Diyarbakır, uczyła kurdyjskie dzieci angielskiego. Zna region i jego mieszkańców. Pamięta uczniów tak ubogich, że przez cały rok do szkoły przychodzili w klapkach, bo rodziny nie stać było nawet na jedną parę butów. I nie rozumie, dlaczego państwo, które od lat jest liderem, jeśli chodzi o pomoc humanitarną wysyłaną za granicę, zawodzi u siebie.

Spóźniony prezydent

Pytań jest więcej. Dlaczego stanu wyjątkowego nie ogłoszono od razu? W takiej sytuacji doba robi kolosalną różnicę.

Południowo-wschodnia Turcja to region, gdzie wojskowe samoloty i wozy budzą jak najgorsze skojarzenia. Ale tym razem w Gaziantep i Diyarbakır czekano na żołnierzy jak na zbawienie. Armia ma swoje namioty, racje żywnościowe i realne możliwości pomagania. „Wczoraj niszczycielskie kurdyjskie miasta, dziś nie przyjdziecie z pomocą mieszkańcom zniszczonych miast” – napisał kurdyjski publicysta Veysi Sarisözen dodając, że administracji nie zależy na jedności między obywatelami pochodzenia tureckiego i kurdyjskiego. I że pomoc pojawiła się dopiero, gdy władza przestraszyła się oddolnych działań obywateli.

Podobnie uważa przebywający w areszcie Selahattin Demirtaş, były lider prokurdyjskiej partii HDP, której w najbliższym czasie grozi delegalizacja. „Czy ktoś wie, gdzie jest prezydent Erdoğan? Czy ktoś go widział? Prezydent nawet na minutę nie powinien opuszczać centrum dowodzenia, co godzinę powinien informować obywateli o tym, jaka jest sytuacja, ostrzegać i podnosić morale ludzi? Gdzie on jest, gdy pod gruzami krzyczą nasi bracia?” – pytał w wiadomości przesłanej z więzienia.

Erdoğan rzeczywiście – co do niego niepodobne – zniknął. W poniedziałek wygłosił przemówienie, po czym zamknął na ponad dobę. Podczas gdy większość polityków opozycji dawno już była na miejscu katastrofy, wydając przywieziony ze sobą chleb albo ściskając płaczących ocalałych, w jego mediach społecznościowych były tylko relacje z wieców i debat sprzed kilku dni. Próżno było szukać choćby wzmianki

o trzęsieniu ziemi. Na miejscu prezydent pojawił się dopiero we środę. Dziś pełno już zdjęć Erdoğaną gładzącego po głowach ocalałe dzieci i wizytującego miasteczka namiotowe, ale wielu nie zapomni prezydentowi spóźnienia.

Pierwszy raz razem

Szanse na wydobywanie spod gruzów żywych ludzi maleją. Prezydent obiecał dla poszkodowanych rodzin wsparcie w wysokości 10 tys. lir. Zapewnił też, że w zaledwie rok rząd zbuduje nowe osiedla.

– Uchowaj Boże! – mówi Meltem z Şanlıurfa. Jej budynek przetrwał wstrząsy, jak większość w tym akurat mieście, ale wizja umieszczania ludzi w blokach zbudowanych na łapu-capu dosłownie ją zmroziła. – Nowe domy składały się jak domki z kart. Najpierw zmienie przepisy, wymuszę nowe technologie, a potem budujcie!

„Czy ktoś mu wierzy?” – pyta z kolei Muharrem Ince, który pięć lat temu przegrał z Erdoğanem bój o prezydenturę. Był jednym z pierwszych na miejscu katastrofy i dziś uważa, że usta prezydenta pełne są frazesów, a obietnice – haniebne.

Krytycznych komentarzy było zresztą tak dużo, że w minioną środę władze zablokowały w Turcji Twittera. „Blokujecie medium, które ratuje życie!” – grzmieł już nie tylko politycy opozycji, ale i zwykli użytkownicy internetu, pokazując wiadomości od ludzi pod gruzami zamieszczane właśnie na Twitterze.

Na szczęście w całym kraju trwa też festiwal ludzkiej dobroci i woli pomagania. Telewizje pokazują filmy ze starszymi paniami, które na zbiórke odzieży oddają swoje swetry, i ludzi, którzy spod materaców wyjmują torby z gotówką. W Diyarbakır Ormianie otworzyli kościół dla osób potrzebujących schronienia, a ekipy poszukiwawcze z Armenii przekopują gruzowisko. Świat obiecało zdjęcie greckiego ratownika z turecką dziewczynką na rękach, którą chwilę wcześniej wyciągnął spod zawalonego budynku. „Niech cię Bóg błogosławi, sąsiedzie!”, „Straszyliście, że przyjdą po nas w nocy, a oni przyszli w nocy nas ratować” – głoszą podpisy, odnoszące się do fatalnych relacji politycznym między państwami. Do zamieszkałego w większości przez Kurdów regionu jadą auta z pomocą od ultranacjonalistycznej organizacji Ülkü Ocakları, znanej u nas jako Szare Wilki, z którą kilka dekad temu to-

czyli krwawe boje. Dawni wrogowie na chwilę stali się bliskimi. Tylko całunów w miastach brak – a zmarłych mużulmanów grzebie się przecież owiniętych w białe tkaniny.

Kto pomoże Syrii

O jeszcze większym dramacie można mówić po drugiej stronie granicy. Ludzie z syryjskich regionów, które już wcześniej doznały zniszczeń z rąk żołnierzy prezydenta Baszara al-Asada, po raz drugi zostali z niczym. Przez pierwsze dni w ogóle nie docierała do nich pomoc. Nie było ekip przeszukujących gruz, ludzie ginęli, próbując samodzielnie wydobyć bliskich spod zawalonych budynków. Trwająca od kilkunastu lat wojna domowa utrudnia też wysłanie w rejon katastrofy pomocy międzynarodowej.

Podczas gdy w Turcji gruzy przeszukują ratownicy z ponad 20 krajów, do Syrii dotarła dotąd pomoc z Rosji, Algierii i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Wsparcie obiecały też Chiny, Katar i Kanada. Zachód trzyma się na dystans, nie chcąc wchodzić w żadne układy z syryjskim satrapą. Mało kto wierzy, że pomoc dotrze do potrzebujących, a nie zasili konta i armię Asada, który zresztą zaledwie dzień po katastrofie nakazał zbombardowanie kontrolowanego przez rebeliantów miasta Mari, na północnym zachodzie kraju. Bomby spadły na tych, którzy próbowali wyciągać ludzi spod zawalonych budynków.

„Sytuacja jest tragiczna. Szpitale skrajnie przepełnione. Lżemy rany” – powiedział dziennikarzom pielęgniarski wolontariusz pomagający ofiarom trzęsienia ziemi w mieście Idlib. Tym, którzy przeżyli, kurczą się zapasy wody.

A mowa tu o regionach, w których od początku wojny domowej, czyli przeszło dekady, nie poczyniono żadnych inwestycji. Nie ma sieci wodociągowej, nie ma nowych dróg. Woda dowożona jest beczkowozami i tylko tam, gdzie da się dojechać. W Aleppo – mieście będącym oczkiem w głowie syryjskiego dyktatora – 100 tysięcy osób zostało bez dachu nad głową. Jedna trzecia schroniła się w meczetach i innych budynkach, które ocalały. Reszta marznie na mrozie.

Baszar al-Asad naciska na świat, by zniość sankcje nałożone na jego kraj, ale ci, którzy ładują na ciężarówki ciała zmarłych, nie wierzą, że przemawia w ich imieniu. © MARCELINA SZUMER-BRYSZ



MARKO DIURICA / REUTERS / FORUM

Demonstracja pod hasłem „Śmierć faszystom, wolność dla kobiet”, Belgrad, marzec 2018 r.

Buntowniczkі są potrzebne

DARIUSZ KAŁAN Z BELGRADU

Na Bałkanach dążenie do równości płci napotykało dotąd na opór kultury maczo, toksycznej męskości opartej na dominacji i kontroli, a nierzadko przemocy. Niektóre Serbki chcą to zmienić.

BRANKA BLIZANAC CHCIAŁABY ZMIEŃĆ nastawienie Serbów do równouprawnienia. Na razie udało jej się z własną rodziną. – Teraz mogę swobodnie rozmawiać z rodzicami o pozycji społecznej kobiet. Kiedy takie rozmowy mają miejsce, daje się odczuć zmianę ich stosunku do mojego aktywizmu – mówi „Tygodnikowi” 22-letnia Branka, studentka historii i współzałożycielka kolektywu *Ženska solidarnost* (Solidarność Kobiet) z Belgradu.

Ale rozmowy to tylko jeden ze sposobów działania dziewczyn z kolektywu. Jesienią zorganizowały pięć demonstracji na ulicach Belgradu z udziałem setek osób. Wiosną planują kolejne. Kroplą, która przelała czarę goryczy, był wywiad przeprowadzony we wrześniu przez pro-

rządowy tabloid „Informer” z Igozem Miloševićem, który właśnie wyszedł z więzienia po piętnastu latach odsiadki za gwałty.

Pismo zrobiło z seryjnego gwałciela celebrytę. Informowało o odwiedzanych przezeń miejscach. Dziewczynom zalecało kupowanie narzędzi do samoobrony i unikanie samotnych spacerów w nocy. Aż w końcu zaprosiło Miloševića do rozmowy, w której opowiadał, że podczas gwałtów i rabunków czuł wolność. Instruował kobiety, jak mają się zachowywać w czasie ataku. A nawet zagroził dziennikarce: „jeśli będę miał zamiar cię zgwałcić, zrobię to”.

– Już gdy zobaczyłam zapowiedź wywiadu, poczułam się upokorzona. Pamiętam, że pomyślałam: jak my, kobiety,

mamy żyć w społeczeństwie, w którym gwałciele mówią nam swobodnie, za pośrednictwem mediów, co mamy robić, kiedy nas gwałcą – wspomina Branka. I dodaje: – Żadna kobieta nie jest odpowiedzialna za przemoc, jakiej poddaje ją mężczyzna. Panika i upokorzenie, które wszystkie odczułyśmy, skłoniły nas do reakcji.

Dom zły

Wyzwań, z jakimi borykają się Branka i jej koleżanki, jest więcej. Owa długa lista – przemoc domowa i ekonomiczna, seksualizacja kobiet w przestrzeni publicznej czy wreszcie tendencyjny sposób, w jaki media informują o gwałtach i napaściach na tle seksualnym – prowokuje obserwatorów do stawiania hipotezy, że naruszenia praw kobiet nie są odosobnionymi incydentami, lecz należą do kluczowych problemów współczesnej Serbii.

Najniebezpieczniejszym miejscem dla serbskich kobiet jest dom. Według ankiety Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie przeprowadzonej w 2019 r. 34 proc. Serbek w wieku 18-74 lat w ciągu roku doświadczyło przemocy fizycznej lub seksualnej ze strony partnera. Zwykle – to z kolei wniosek raportu GREVIO (Grupa Ekspertów ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec



DARIUSZ KALEN

Branka Bliznac i Jelena Riznić przed uniwersytetem w Belgradzie, grudzień 2022 r.

– To jeden przykład z wielu – mówi Riznić. – Wystarczy przejechać się autostradą w Belgradzie, żeby zobaczyć seksualizowane ciała kobiet na billboardach.

Feminizacja bez feministek

Ale nie tylko mężczyźni muszą zmienić sposób myślenia. Kobiety też dostosowują się do patriarchalnych wzorców. Biljana Stojković, biologka, jedna z trzech współprzewodniczących lewicowej partii Zajedno (Razem) i kandydatka sojuszu ugrupowań lewicowych na prezydenta w wyborach w 2022 r., twierdzi, że w społeczeństwie, na które tak duży wpływ mają nacjonaliści i przywódcy religijni, gdzie realna władza od dekad zarezerwowana jest tylko dla mężczyzn, trudno namówić kobiety do aktywnego udziału w życiu publicznym.

– Boją się, że otoczenie będzie na nie patrzeć jak na jakieś ekstremalne elementy, wicherzycielki – komentuje Stojković. – To uderzające, że liderami wielu organizacji pozarządowych są kobiety. To znaczy, że są przygotowane do analizy problemów na poziomie obywatelskim czy społecznym, ale jeśli chodzi o realne działania, cóż, tu nadal mężczyźni podejmują kluczowe decyzje.

To może częściowo wyjaśniać osobliwe serbskie zjawisko – feminizację przestępstwa politycznego, która nie prowadzi do feministycznej polityki. W końcu premierem od prawie sześciu lat jest lesbijka Ana Brnabić. Liczba kobiet w parlamencie w ostatniej dekadzie oscyluje między 34 a 37 proc. Aborcja jest dostępna na żądanie do dziesiątego tygodnia ciąży (a nawet później po uzyskaniu zgody lekarzy). Co więcej, Serbia – w przeciwieństwie do wielu krajów unijnych, choćby Czech i Węgier – podpisała i ratyfikowała konwencję stambulską o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet.

Jednak krytycy twierdzą, że to tylko taktyka Aleksandara Vučića, nacjonalistycznego prezydenta i lidera rządzącej Serbskiej Partii Postępowej. Ma ona na celu przyspieszenie procesu akcesyjnego Serbii do Unii Europejskiej i odwrócenie uwagi międzynarodowych obserwatorów od tego, co faktycznie dzieje się w kraju: korupcji na dużą skalę, ataków na niezależne media, upartyjnienia insty-

→ Kobiet i Przemocy Domowej) z 2020 r. – boją się one zgłaszać na policję, bo służby nie są przygotowane do zajmowania się takimi sprawami, a wyroki skazujące za większość form przemocy wobec kobiet są „niezwykle niskie”.

Z kolei z badania Stowarzyszenia Obywatelskiego FemPlatz z 2020 r. wynika, że ponad 74 proc. zabójstw kobiet lub dziewcząt ze względu na ich płeć ma miejsce właśnie w domach. Zbrodnie są motywowane nienawiścią, pogardą, zazdrością oraz poczuciem wyższości i władzy nad kobietami.

Właśnie tak tłumaczyli swoje zbrodnie mężczyźni, do których dotarła dziennikarka Ana Manojlović, autorka filmu dokumentalnego „Žrtva ima žensko lice” („Ofiara ma twarz kobiety”) z 2016 r. Jeden z żonobójców wspomina: „To była miłość od pierwszego wejrzenia. Wymieniliśmy telefony i po dwóch miesiącach znowu rozmawialiśmy, spotkaliśmy się w restauracji. I faktycznie poszło w takim kierunku, że zostaliśmy razem...”. A potem mówi, jak denerwowało go, że żona zapraszała do domu koleżanki albo flirtowała na imprezach.

Zabił nożem. Wziął prysznic, przebrał się i sam zgłosił na policję.

Homo balcanicus

Ekspertki z filmu Manojlović zarysowują schemat losu typowej ofiary kobietobójstwa. Mężczyzna zaczyna podejmować za nią decyzje dotyczące strojów i makiżażu. Stopniowo izoluje od rodziny i przyjaciół. Tak, żeby kobieta, kiedy dochodzi do pierwszych aktów przemocy, nie miała do kogo się zwrócić o pomoc. Na komisaracie – jeśli w ogóle podejmuje się powiadomić służby – trafia często na lekceważenie policjantów. Żądanie rozwodu to zaś dla

niej wyrok śmierci. Po zabójstwie do gry wkraczają tabloidy: romantyzują sprawcę, a winy szukają w kobiecie.

Wysoka liczba przestępstw wobec kobiet sugeruje, że prawdziwym źródłem problemów jest nie tyle słabość instytucji publicznych czy nieodpowiednie przepisy prawne, co patriarchalna mentalność znacznej części społeczeństwa. W Serbii, podobnie jak w innych krajach postkomunistycznych, podstawowe kwestie, takie jak aktywność zawodowa kobiet, dostęp do edukacji czy podejmowanie decyzji w gospodarstwie domowym, wciąż są naznaczone tradycyjnymi schematami, które dodatkowo cementuje wpływowy Serbski Kościół Prawosławny.

Na Bałkanach dążenie do równości płci napotyka twardy opór kultury macho, czyli rodzaju toksycznej męskości opartej na dominacji i kontroli, a nierzadko przemocy. Jej najbardziej dramatyczną ekspozycją było świadome używanie przymusu seksualnego jako narzędzia prowadzenia wojny w Bośni i Hercegowinie (1992-95). W zależności od źródeł szacuje się, że ofiarami gwałtów, głównie serbskich żołnierzy, było od 12 tys. do 50 tys. bośniackich kobiet.

W myśleniu wielu rola kobiety ogranicza się do piastunki ogniska domowego. Albo obiektu seksualnego. Jelena Riznić, 25-letnia socjolożka i członkini kolektywu Żenska solidarnost, przypomina głośną kampanię reklamową serbskiego oddziału organizacji ekologicznej WWF, która minionej jesieni zaprezentowała na Instagramie serię seksistowskich plakatów, żeby zwrócić uwagę na... problemy ryb. Na jednym widać kobietę nóg wyłaniającą się bodaj spod pryzmicy i napis: „Nie dotykaj mojej ryby”.

tucji publicznych, ochrony zbrodniarzy wojennych i wielu innych kwestii, które pod rządami Vučića stały się normą.

– Liczby rzeczywiście nie są złe. Ale przecież nie sposób powiedzieć, żeby kobiety miały siłę sprawczą w Serbii – mówi Stojković, kontrkandydatka Vučića w ostatnich wyborach (zdobyła 3,3 proc. poparcia). – Bo jeśli chodzi o esencję, nic się nie zmieniło. Kobiety, które są u władzy, nie zrobiły nic dla innych kobiet. A nawet, chociaż mogłyby być aktywniejsze, same decydują, żeby ograniczać swoją rolę do wypełniania oczekiwań własnego środowiska politycznego. To szczególnie smutne w przypadku premier Brnabić.

Jelena Riznić przypomina, że Brnabić nigdy nie obiecywała, iż będzie się angażować w poprawę sytuacji kobiet albo społeczności LGBTQ. – Jej polityka od samego początku była jasna – mówi Riznić i zwraca uwagę, że serbska opozycja pod wieloma względami jest tak samo archaiczna jak obóz władzy. – Jeśli przedstawiciele opozycji chcą uderzyć w Brnabić, często odnoszą się do jej orientacji seksualnej, choćby nazywając ją mężczyzną.

Seria seksistowskich zdjęć
kobiet ilustrowała w Serbii
nawet kampanię organizacji
na rzecz... praw ryb.

Kobiety są wkurzone

W porównaniu z tradycyjnymi organizacjami działającymi na rzecz kobiet, które zapewniają wsparcie finansowe albo schronienie lub też realizują granty badawcze, kolektyw Ženska solidarnost chce być bliżej swojej „bazy”. Nic dziwnego: powstał jako prywatna grupa na Facebooku, gdzie dziewczyny dzieliły się swoimi historiami o przemocy domowej. Członkinie kolektywu edukują, sprawdzają i prostują informacje podawane przez media, walczą o zmiany legislacyjne. Bo – wbrew popularnemu serbskiemu powiedzeniu „kobieta jest wilkiem dla kobiety” – Branka i Jelena uważają, że tylko razem kobiety mogą coś zmienić.

Višnja Baćanović, ekspertka ds. równości płci z Nowego Sadu w północnej Serbii, podkreśla, że kolektyw – tak jak wiele innych organizacji prokobietych – ma ograniczone wpływy na serbskiej prowincji. Chwali jednak dziewczyny z Ženska solidarnost za kreatywność i dobre poruszanie się po internetowych platformach społecznościowych, czym zyskują sympatię szczególnie młodych odbiorców. Według ekspertki mogą wywrzeć realny wpływ na serbskie społeczeństwo.

– Ale jeszcze nie teraz – dodaje Baćanović. – Bo jeśli mówimy o zmianie, to trzeba umieć ją nazwać. One muszą wiedzieć, co chcą osiągnąć poza wyprowadzeniem ludzi na ulice. Na pewno jednak wstrząsają strukturami patriarchalnymi, które są silne w Serbii i nieustannie wysyłają kobietom wiadomość: trzeba siedzieć cicho i zachowywać się grzecznie, mimo że nasze prawa są regularnie łamane.

– Kobiety w Serbii są naprawdę wkurzone – twierdzi Baćanović. – I takie buntowniczkę jak Ženska solidarnost są nam potrzebne.

© DARIUSZ KAŁAN

REKLAMA

Sześć mistrzowsko złowieszczych historii wirtuozki wyobraźni.

*Nie potrafił powiedzieć,
jak długo walczył z nimi
w ciemnościach, lecz w końcu
topot skrzydeł wokół niego osłabł,
a potem całkiem ucichł...*

WYJĄTKOWE WYDANIA KSIĄŻEK
JEDNEJ Z NAJWAŻNIEJSZYCH PISAREK
W HISTORII LITERATURY.



SERIA butlikowa
ALBATROSA



WYDAWNICTWO
ALBATROS



Kara za wolne słowo

MAŁGORZATA NOCŃ

Tylko dzięki podpisowi: „Andrzej Poczobut” poznaję na fotografii kolegę po fachu, z którym spotykałam się wielokrotnie na Białorusi.

DZIAŁACZ NIEZALEŻNEGO ZWIĄZKU Polaków na Białorusi, dziennikarz mediów białoruskich i korespondent polskich przebywał za kratami od wielu tygodni. Nie była to jego pierwsza odsiadka. Do więzienia trafił co kilkanaście miesięcy. Śmiał się, że nie zna dnia ani godziny i zawsze stara się mieć przygotowaną szczoteczkę do zębów i bieliznę na zmianę, bo zawsze mogą „po niego zapukać”, czy to do domu, czy do redakcji.

Powód zawsze był ten sam: „działalność w nieuznawanych przez państwo organizacjach”, „szerzenie nieprawdopodobnych informacji w mediach”, a nade wszystko „próba obrazy prezydenta Łukaszenki”. W minionym tygodniu wreszcie skończył się jego ostatni proces. Znał logikę łukaszenkowskiego reżimu i musiał się spodziewać, że na wiele lat trafi do kolonii karnej. Może dlatego wyroku słuchał w spokoju.

Od lata 2020 r. (siłowe stłumienie wyborczych protestów) przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi spotykały wyjątkowo surowe represje. Służby specjalne wzięły na celownik przede wszystkim dziennikarzy i dzienni-



Andrzej Poczobut na sali sądowej, Grodno, 16 stycznia 2023 r.

karki. Wsadzano ich do więzień albo pakowano do samochodów, by pod osłoną nocy wywieźć za granicę. Poczobuta postanowiono ukarać wyjątkowo okrutnie. W więzieniu go torturowano i znęcano się nad nim psychicznie. Z wesołego męż-

czyzny o pulchnej twarzy, zamienił się w człowieka, z którego ulatuje życie.

Zapamiętałam go jako miłośnika historii (pasjonowały go szczególnie dzieje II RP, uwielbiał rozmawiać o ziemi grodzieńskiej). Niezwykle solidarnego kolegę – zawsze podzielił się swoimi kontaktami, pomógł umówić spotkanie i służył radą. Choć brzmi to patetycznie, ale był polskim i białoruskim patriotą. Wierzył (i chyba wciąż wierzy), że dni Łukaszenki są policzone, bo reżimy przecież zawsze upadają.

Lektura książki Aleksieja Fiedarowa, „Człowiek, który siedział”, która ukazała się w języku polskim nakładem wydawnictwa Czarne, pozwala nam dowiedzieć się, co czeka Poczobuta w kolonii karnej. Fiedarow pisze co prawda o współczesnym życiu w rosyjskiej kolonii karnej, ale nie inaczej wygląda ono na Białorusi. Skąpe racje żywnościowe, mordercza praca (np. przy wyrębie lasu czy w skażonym środowisku), brak opieki lekarskiej, znęcanie się – fizyczne i psychiczne – położonych. To może już nie świat opisany przez Sołżenicyna, ale wciąż pełen przemocy i okrucieństwa. „Stamtąd każdy wraca odmienionym” – mówił mi kilkanaście lat temu Paweł Mażejka, inny grodzieński dziennikarz, którego reżim skazał na przymusową pracę przy obróbce drewna.

Poczobut stał się dziś symbolem walki o wolność słowa na Białorusi. Te osiem lat kolonii karnej, które mu zasądzono, to wyrok na całe niezależne białoruskie dziennikarstwo. Andrzej nie lubił martyrologii. Podkreślał, że za kratami nie znajduje się sam, że siedzą przecież jego koledzy po fachu, dziennikarki i dziennikarze. ©

LEONID SHICHEGLOV / BELTA / AFP / EAST NEWS

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **KRAKÓW**, sobota 18 lutego, spotkanie z Tomaszem Maćkowiakiem, „Kobieta, która została katolickim księdzem” / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 20 lutego, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa” – rozdział „Spadkobiercy nowoczesnej religii”, cykl „Wspólne czytanie” / online /

- **GLIWICE**, środa 22 lutego, spotkanie z prof. Jackiem Aleksandrem Prokopskim, „Wędrowiec świętej ziemi. Teologia natury Henry'ego Davida Thoreau” / stacjonarne /
- **CHOJNICE**, czwartek 23 lutego, spotkanie z Ryszardem Bongowskim, „Obecni w Kościele. Czy Kościół jest instytucją wykluczającą?” / stacjonarne /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji
na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

ELIZA

Kącka:

Katolickie prime



DWIE W 522, MATKA Z CÓRKĄ (MATKA kiele siedemdziesiątki z córką na oko czterdziestoletnią). matka: „ty mi jedno powiedz, kto tym wszystkim kręci?”. „ale czym?”. „tą całą sztuczną inteligencją”. „przecież mama widziała, jak ona Pawłowi odpisuje. ja jestem pod wrażeniem”. „dyrdymały, ten facet nic nie powiedział”. „ale że jak?”. „Paweł go zapytał, jakie PiS ma szanse w wyborach. i ja od razu poznałam, że to TVN go podstawił”. „?!”. „no, tego faceta po drugiej stronie, co wam odpisywał”. „ale to maszyna!”. „jaka tam maszyna! ja takie gadanie na kilometr rozpoznaję”.

Czasem dotknie człowiek nieuważnie ekranu komórki, a stanie się oferentem. na messengerze znajduje: „Eliza, odebraliśmy Twoje polubienie naszego najnowszego modelu nagrobka. Gratulujemy, masz świetny gust! Jest to zarówno jeden z najczęściej wybieranych modeli nagrobka katolickiego prime pośród naszych zaufanych followersów. Jeśli nie decydujesz się na bogaty wystrój, możesz również wybrać odpowiadający Twojemu wyznaniu nagrobek w wersji komfort. Nie musimy Ci przekonywać, że zapewniamy kamień najwyższej jakości. Na naszej stronie oferujemy 5 procent spustu na wybrany model. Informujemy też, że status stałego klienta możesz uzyskać już od jednego grobu. Umożliwia Ci to wyszukiwanie stałych promocji na naszym panelu. W miesiącu luty oferujemy lifting grobów (w tym napisy) ze spustem 50 procent. Zachęcamy, Eliza, do udostępnienia polubionego przez Ciebie modelu na Twoim profilu fb”.

buw, przy półkach z książkami, dwójka studentów. „bosz, przypomnij mi, jak się ta babka nazywa, co dostała Nobla”. „Tokarczuk”. „nieee, ta druga”. „ale z Polski?”. „no tak, poetka, chyba żona Miłosza albo jednego z tych gości”. „bosz, Miłosza, ok, można się chajtnąć dla kariery”. „no nie wiem, to ona miała Nobla”. „czyli to on się podwiózł. cwany staruszek”. „heloł, ona też była stara”. „dobra tam, na stówę był boomerem, a to jego nazwisko znasz”.

dwie z grubsza sześćdziesięcioletnie w 503: „to ślub będzie!”. „za dwa lata, jak dożyję”. „eee, co się martwisz”. „bo coś ta moja za często do spowiedzi gania”. „nie mów! żeby się w dziecko nie wplą-

tała przed ślubem!”. „albo w co gorsze...”. „a co może być gorsze?”. „pigułki”. „nie!”. „nic mi nie mówi, księdza pytałam, ale mnie spławił tajemnicą spowiedzi”. „nie przypieraj go, Marysia, to sam Pan Bóg wymyślił”. „Bóg nie zna realiów”. „i co teraz?”. „nic, pokuty za nią biorę na zapas”. „to tak można?”. „wszystko zostaje w rodzinie”.

Sielce, na Gagarina spotykam koleżankę. ona z synkiem i jeszcze jednym chłopcem. syn Piotrek wita się ze mną, tamten uśmiecha się niepewnie. na lewym oku przepaska. syn: „mamy nowego kolegę, z Ukrainy, ze Lwowa. rodzice mu zginęli w maju” – matka szturcha Piotrką w bok, by nie o tym. „przepraszam” – stropił się Piotrek. „nie szkodzi” – mówi tamten. koleżanka: „słuchaj, to jest Dmytro, zostawie was, a my z Piotrkiem skoczmy do sklepu”. stoimy, odzywa się pierwszy: „cześć, jestem Kaj”. „o – uśmiecham się – zmieniłeś imię”. „dla mnie tamto zostało we Lwowie, z tatą. mama mi mówiła Tadek, po dziadku”. świetnie mówi po polsku, tylko akcent. „Kaj z »Królowej śniegu«?” – dopytuję. „tak, bo odłamek mi wpadł. ale wypadł z oczkiem” – śmieje się. „w serce nie dostałeś”. poważnieje: „tak, wiesz, bomby są gorące, ale po bombardowaniu jest straszny lód, straszny lód”. z momentalnego letargu wyrwało nas „no to co, idziemy?”. wrócili ze sklepu, pomachaliśmy sobie, poszli.

Okolica parku Morskie Oko, idę od Promenady. przecznice przede mną gość z rudawym, wypłowiałym, przyziemnym kundlem z sierścią typu przetarty miejscami papier ścierny. pies opóźnia, odwleka, kuca. gość przysiadł przy nim nerwowo z torebką. parę metrów i znów to samo. ja z komórką, rozmawiam, więc ciągle za nimi, niedyskretnie. co kilka kroków powtarzają cykl; gość rozgląda się bezradnie. wchodzi w park, mijam ich. gość na bezradności, głośno: „no kończ już, bo się wstydzę!”.

dostaje się korespondencyjnie na fb. „Szanowna Pani, czy mogłaby się Pani ze mną spotkać”. zapomnia się odpisać. po godzinie: „Czy mogłaby Pani zareagować na zapytanie? Fejsbuk wyświetlił mi Pani czynności i wiem, że widziała Pani moją wiadomość”. odpisuję, że proszę bardzo, ale i w czym rzecz. „Szanowna Pani, jest to wysoko niedelikatne drażnić człowieka w takiej sprawie. Czy nigdy nie dostała Pani od mężczyzny oferty spotkania? A może ucieka się Pani do tzw. trzeciej płci i według aktualnej mody nie bierze Pani udziału w spotkaniach z mężczyzną jak wiele dziś tzw. intelektualistek?”. ach, no tak, nie odpisuję. po kwadransie: „Szanowna Pani, w takim razie życzę powodzenia. Proszę jednak pamiętać, że ma Pani już wiek średni i dla mężczyzn szanujących zasady pozostaje Pani starą panną. Poeta Zbigniew Herbert, którego najwyższej cenie, pisał o kwestii smaku. Pozostawie to bez komentarza. Może się Pani domyśli mimo prymitywizmu Pani postawy”. ©

MAMIE NIE JEST ZIMNO

78 lat temu w marszu śmierci Niemcy pognali z Neusalz na zachód tysiąc żydowskich więźniarek; przeżyło dwieście. Społecznik z Nowej Soli sprawił, że ich los upamiętnił pomnik.

MATEUSZ POJNAR

JEST STYCZEŃ, OSIEM LAT TEMU. W REDAKCJI nowosolskiego „Tygodnika Krąg” Marek Grzelka robi korektę tekstu Tomasza Andrzejewskiego, dyrektora tutejszego muzeum, o obozie w dawnej Neusalz. Na początku 1945 r. Niemcy wysłali prawie tysiąc kobiet w marszu śmierci – celem ich pieszej wędrówki był obóz w bawarskim Flossenbürgu, a potem Bergen-Belsen. Przeżyło najprawdopodobniej tylko około dwustu z nich.

Grzelka pyta sam siebie, jak to było możliwe. Styczniowego, mroźnego wieczoru tysiąc dziewczyn pognanych w drogę? Bez ciepłych butów, bez kurtek? Poszły w drewniakach, owinięte w pledy. Były zabijane, umierały z chorób, wycieńczenia i głodu. Zamarzały.

Na chwilę odkłada długopis, korekta zaczeka. Jeszcze nie wie, że ta historia odciśnie na nim aż takie piętno.

Obóz w Neusalz

Obóz pracy przymusowej przy fabryce Gruschwitza w Neusalz (dziś Nowa Sól w województwie lubuskim) zaczął funkcjonować w listopadzie 1939 r. Najpierw powstał tu obóz dla stu Polek w wieku 14-20 lat. Potem, 30 stycznia 1942 r., przyjechał pierwszy transport Żydówek z getta w Sosnowcu. Młode dziewczyny, 16-20 lat.

W tym transporcie była 16-letnia Wera Siegman. Tak wspominała: „Za niedługo miałyśmy zobaczyć, co nam miało zastąpić dom rodzinny, rodziców, świat nauki,

jednym słowem – wszystko. Pociąg stanął. Ciemno, głucho, beznadziejnie. Oczekiwała nas kobieta po spartańsku ubrana. Wyraz twarzy ostry i despotyczny. Włosy gładko zaczesane z tyłu w węzeł germański, okulary na nosie. Prowadzi nas do domu, na którym wyryte są słowa »*Es ist nicht nötig, daß ich lebe, wohl aber, daß ich meine Pflicht tue*« (Nie jest konieczne, abym żył, ale bym wypełnił swój obowiązek). Zdawało mi się, że czytam wyrok śmierci na siebie. Słowianie witali ludzi chlebem i solą, w obozie witają nas łaźnią. A potem w samej koszuli na styczniowe powietrze”.

Przyjeżdżały kolejne transporty żydowskich dziewczyn, rosły następne baraki. Warunki w nich były tragiczne.

Marek Grzelka tak opisywał w „Kręgu” pracę więźniarek: „12 godzin, dwie zmiany, 6.00-18.00 i 18.00-6.00. Rano pobudka o 4.00, apel, zbożowa kawa i sto gramów ciemnego chleba. W fabryce na obiad miska zupy z brukwi, pokrzyw, resztek warzyw, odpadów. Po powrocie kubek tej samej niby-kawy, chleb. Kalorycznie to ćwiartka zapotrzebowania dla osób wykonujących tego typu pracę. Nic dziwnego, że po kilku miesiącach wyglądały jak obleczone skórą szkielety”.

I dalej: „Śmiertelne wypadki były częste. Więźniarka w obozie w Neusalz została skazana na transport do Auschwitz po tym, jak jej ręka została zmiażdżona przez maszynę, bo każdy wypadek



z udziałem żydowskiego więźnia był postrzegany jako próba sabotażu. Codzienny strach, by nic sobie nie zrobić, bo to wyrok. Z drugiej strony były wycieńczone głodem, stąd nieustanny brak sił, a efektem nieuwagi i wypadki przy maszynach. I brak czasu na jakąkolwiek regenerację. Wyniszczyć, zająć pracą jak najniższym kosztem. Te, którym nie wrócono szans na wyleczenie, wysyłano do Oświęcimia. A te, których nie zdążono wysłać i umierały, drewnianym wozem jeńcy wywozili na cmentarz”.

Mam na tym punkcie obsesję

Grzelka krok po kroku szukał więcej informacji na temat obozu. W 2015 r. samotnie przeszedł nawet trasę tamtego marszu śmierci – 470 km. Spakował najpotrzeb-



AKG / BE&W

Obóz w Bergen-Belsen tuż po wyzwoleniu przez brytyjską 2. Armię, kwiecień 1945 r.

niejsze rzeczy i ruszył w drogę. Dlaczego? Mówi, że „po prostu tak należało”.

W 2016 r. zaczął organizować w Nowej Soli obchody rocznicowe. Pięć lat później ich uczestnicy, których z roku na rok było coraz więcej, mogli wysłuchać listów potomków kobiet, które przeżyły marsz śmierci.

„Dobry wieczór, nazywam się Judy Patterson, jestem córką Pauli Zyto, Żydówki, która ocalała z Holocaustu, przeżyła obóz niewolniczej pracy przy fabryce Gruschwitz i marsz śmierci z Neusalz do Flossenbürga – pisała jedna z nich. – Moja mama prawie nigdy nie mówiła o Holocaustcie. Ale kiedy wspomniała ojcowi nazwę Neusalz, a on wyjaśnił mi, że to miasto nad Odrą. Nie znałam pisowni tej nazwy, myślałam, że to może być nazwa

obozu. W 1994 przejrzałam książkę Gilberta »Atlas Holocaustu« i po raz pierwszy natknęłam się na słowo Neusalz w piśmie. Strona zawierała mapę i pierwszy opis, jaki kiedykolwiek czytałam o tym, przez co przeszła moja matka: 42-dniowy marsz śmierci, od 26 stycznia do 11 marca 1945, kończący się w Bergen-Belsen”.

Kilka lat później Judy Patterson odważyła się zapytać mamę, czy brała udział w tym marszu.

„Tak” – odpowiedziała. Po chwili dodała: „Teraz wiesz, przez co przeszłam”.

Na pytanie córki, jak to wszystko przeżyła, odparła: „Po prostu żyj dalej”.

„Nadal bardzo trudno mi zrozumieć, jak te kobiety mogły przeżyć w ekstremalnym zimnie, z głodowymi racjami żywności, bez odpowiednich ubrań, śpiąc w sto-

dołach i nieogrzewanych miejscach, a wokół inne kobiety umierały lub były zabijane, walcząc dzień za dniem, nie wiedząc kiedy i gdzie ta szczególna forma tortur się skończy. Czasami mam na tym punkcie obsesję” – przyznała Judy Patterson.

Dalej czytamy w jej liście: „Chcę uhonorować moją matkę Paulę Zyto, która zmarła w 2012 r. (...) Kiedy dorastaliśmy w Chicago, tata zawsze żartował, że mamie nigdy nie jest zimno. To prawda, zimy w Chicago nigdy jej nie przeszkadzały. Zawsze zastanawiałam się, czy przypominają jej tamten straszny chłód z 1945. Niestety, nigdy nie była w stanie nam o tym powiedzieć”.

Z kolei Barbara Rylko-Bauer, także córka kobiety, która brała udział w marszu śmierci, napisała w liście do uczestników



Po lewej:
Obóz w Neusalz

Po prawej:
Marek Grzelka podczas
odsłonięcia pomnika,
Nowa Sól,
23 stycznia 2023 r.

→ obchodów: „W obozie w Neusalz przebywało około tysiąca więźniarek – kobiety wyznania żydowskiego i jedyna katoliczka, dr Jadwiga Lenartowicz, która jako więzień polityczny pełniła funkcję lekarza obozowego. Dr Lenartowicz była moją matką i szczęśliwie przeżyła niemieckie obozy koncentracyjne i ten marsz śmierci. Po wojnie wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych”.

Z kostek brukowych

Jak to było z upamiętnieniem?

10 kwietnia 1987 r. na budynku dyrekcji Nowosolskiej Fabryki Nici Odra, następczyni zakładu Gruschwitza, odsłonięto tablicę: „Pamięci kobiet polskich i innych narodowości męczonych i wymordowanych w tutejszej filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w latach 1944-1945”. Fundatorem była fabryka. Ale na początku XXI w. tablicę ukradli złodzieje. „Wraz z nią skradziona została także pamięć” – pisał Andrzejewski.

W kwietniu 2010 r. powstała nowa tablica, tym razem na budynku internatu „Nitek”, dziś jednej z nowosolskich szkół. Z tym samym napisem, dodano jeszcze ilustrację symbolizującą marsz śmierci. Bez informacji o żydowskim pochodzeniu więźniarek.

Przełom nastąpił w styczniu 2021 r. Wówczas w rocznicy wzięła udział oficjalna delegacja urzędu miasta. – Wtedy też chyba, zapewne w kulisach rozmów, musiał pojawić się plan, że trzeba z tym miejscem coś faktycznie zrobić – mówi Marek Grzelka.

W październiku 2021 r. na spotkanie w nowosolskiej bibliotece przyjechała reporterka Agnieszka Dobkiewicz, autorka książki „Dziewczyny z Gross-Rosen. Zapomniane historie z obozowego piekła”. „Nie ma na tablicy ani słowa o tym, że to były żydowskie dziewczyny. Dodatkowo jest tam krzyż – zwróciła uwagę Dobkiewicz. – Tak sobie myślę po historiach tych kobiet, które poznałam, że to mogłoby być dla nich dzisiaj bardzo trudne do zrozumienia”.

Wtedy padła deklaracja ze strony szefa rady miasta Andrzeja Petreczki, że Nowa Sól na nowo upamiętni miejsce dawnego obozu.

„Nasza historia pamięci o tych wydarzeniach jest bardzo okaleczona – przyznał podczas spotkania Andrzejewski. – Upamiętnienie w 2010 r. nie do końca było takie, jak powinno być. Marek robi wszystko, żeby to zmienić. I mam nadzieję, że uda nam się to wyprostować”.

– Wczesną wiosną 2022 r. dostałem zaproszenie na spotkanie w sprawie upamiętnienia obozu – dopowiada Grzelka. Zaangażowali się w to prezydent Nowej Soli Jacek Milewski i starosta powiatu nowosolskiego Iwona Brzozowska.

Prace ruszyły w październiku. Koncepcję pomnika przygotował nieodpłatnie artysta Bogumił Sydor. Sam pomnik i droga prowadząca do niego powstały z kostek brukowych, które w czasie rewitalizacji terenów pofabrycznych zostały zdjęte i zamienione na nową nawierzchnię. Tych samych kostek, po których chodziły więźniarki.

Monument stanął na wprost dawnej bramy wjazdowej do fabryki. Teraz ma dwie tablice: tę starą i nową z napisem: „W hołdzie żydowskim więźniarkom obozu pracy przymusowej w Neusalz, późniejszej filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, które niewolniczo pracowały tu w latach 1942-1945, wysłanym w styczniu 1945 w »marsz śmierci« do KL Flossenbürg w Bawarii. Mieszkańcy Nowej Soli, 26.01.2023”.

Rodzinna relacja

26 stycznia 2023 r. na uroczystość odsłonięcia pomnika przyszło ok. 150 osób. Trzy dni później kolejnych dwadzieścia, w dużej części młodzież, przeszło symbolicznie niewielką część trasy marszu.

– Wiele osób jest w tym od samego początku. Im jestem najbardziej wdzięczny. To bardzo specyficzna, wręcz rodzinna relacja, bo los dziewczyn tych bardziej wrażliwych nie pozostawia obojętnymi i w przedziwny sposób nas to bardzo zbliża – mówi Grzelka.

Odkąd zainteresował się tym tematem, zależało mu, by wiedza o obozie była powszechna.

– Zazwyczaj, kiedy spotykaliśmy się styczniowego wieczora, przechodzący ludzie pytali, czy w szkole stała się jakaś tragedia, że palimy świeczki – wspomina. – Tak, stała się, ale prawie 80 lat temu, niewyobrażalna. Bo pomyśl, że w getcie w Sosnowcu jest łapanka, zbierają wszystkich na boisku sportowym pod lufami karabinów i wybierają, kto się Rzeszy przyda, a kto nie. I wtedy ostatni



TYGODNIK KRĄG / MATERIAŁY AUTORA

raz widzisz mamę i małą siostrę, bo są nieprzydatne i idą do gazu do Oświęcimia, a ciebie i 150 innych dziewczyn los rzuca do Neusalz, do baraków i niewolniczej pracy. I ktoś wpada na pomysł, żeby cię przegonić w drewniakach niemal 500 km i te twoje koleżanki niedoli padają po drodze zatłuczone kolbą karabinu maszynowego albo zastrzelone.

Od kilku lat styczeń jest dla Grzelki trudny: – Bardzo emocjonalnie angażuję się w obchody, a teraz mieliśmy kwintesencję, bo został odsłonięty pomnik. Nigdy nic na tych obchodach nie mówiłem. Nie jestem krasomówcą i oratorem, to nie jest mój świat. Wolę pisać, niż mówić. Na odsłonięciu też miałem coś mówić, ale cokolwiek robiłem na próbę, dostawałem kluch w gardło i lzy mi napływały do oczu. Bo jak się obcuje z tym złem przez tyle lat... Przecież gdyby nie zrzucenie losu, dziś nie pisałbym z córkami tych dziewczyn. Ich by po prostu nie było, bo nie miałyby szans na istnienie, gdyby ich mamy w tym marszu umarły.

Bez polityki

– Bardzo się cieszę, że nasze miasto mogło pomóc w upamiętnieniu – mówi prezydent Nowej Soli. Jacek Milewski zaznacza, że kluczowe było zaangażowanie Grzelki: – Od wielu lat jest orędownikiem pamięci o więźniarkach. Cierpliwość, upór i konsekwencja w dążeniu do celu – te słowa oddają to, czego dokonał.

Rada miasta na pomnik przeznaczyła 100 tys. zł. Podczas głosowania wszyscy

radni byli jednomyślni, bez względu na przynależność partyjną. – Marek zrobił gigantyczną robotę, którą doprowadził do finału. A my jako radni zrobiliśmy to, co powinniśmy – mówi przewodniczący rady Andrzej Petreczko. – Nikt ani przez chwilę nie miał wątpliwości, nikogo nie musieliśmy przekonywać. Nie było polityki. Może i ten pomnik powinien być już dawno temu, ale w końcu powstał. To musiało się wydarzyć. Trzeba oddać hołd kobietom, które przeszły piekło.

Radny Jan Hanusz o dramacie żydowskich dziewczyn usłyszał dzięki Grzelce. – Pomniki są po to, by przypominały historię. Możemy dzisiaj zwracać pamięć tym kobietom, choćby zapalając znicze, kładąc tam kwiaty – mówi Hanusz. – Kolejni ludzie zainteresują się tym, co się tutaj działo.

Tomasz Andrzejewski pod pomnikiem podkreślał, że to szczególny dzień: – W 2015 r. Marek rozpoczął swoją drogę. Bardzo długą, ale doprowadziła nas do tego miejsca. Zwrócił uwagę na bardzo ważny aspekt naszej pamięci. Dostrzegł luki, które trzeba wypełnić.

– Złe czasy mamy też dziś – mówi historyk. – Każde działania przypominające o okropieństwach wojny, choćby w kontekście Ukrainy, są potrzebne. Musimy pamiętać.

Podczas uroczystości podszedłem do dwóch mężczyzn, którzy jak tych stu kilkudziesięciu innych nowosolskich przyszli oddać hołd więźniarkom. – Dowiedziałem się o tej historii od Marka, kiedy zaczął ją opisywać – mówi Witold Łuszczki.

– Zainteresowałem się tym, w końcu jestem stąd.

– Urodziłem się w Nowej Soli, tu wychowałem, od dzieciństwa interesuję się przeszłością miasta – dodaje jego kolega Wojciech Dąbrowicz. – Czuję żal, że coś takiego miało miejsce. I patrząc na to, co dzieje się na świecie, jest nadal możliwe. Z jednej strony pamięć, zaduma, ale ten pomnik jest też przestrożą.

Ciąg dalszy trwa

W Lubuskiem nie tylko w Nowej Soli pamiętali o marszach śmierci. W Zielonej Górze obchody 78. rocznicy marszu z obozu FAL Grünberg trwały dwa dni. W muzeum odbył się wykład Aleksandry Mrówki-Łobodzińskiej. Autorki książki „One szły do maja. Historia najdłuższego marszu śmierci II wojny światowej” słuchało 50 osób.

Był też pierwszy zielonogórski marsz pamięci. Ponad 40 osób wyruszyło spod pomnika w miejscu synagogi, spalonej w czasie Nocy Kryształowej, na żydowski cmentarz. – Trasa prowadziła przez ul. Wrocławską, gdzie był obóz koncentracyjny – mówi dziennikarz i społecznik Szymon Płociennik, który współorganizował obchody.

Tymczasem Marek Grzelka pracuje nadal. – Nie uważam tego pomnika za jakąś formę spełnienia czy sukcesu, to nie jest ta kategoria – tłumaczy. – Powstała strona ALNeusalz.eu, żeby tę wiedzę pokazać szerzej. Współpracujemy z rozmaitymi osobami i instytucjami, żeby ją upowszechnić. Pomnik jest początkiem działań edukacyjnych. Stoi, ludzie go widzą, i za tym musi pójść szersza wiedza.

– Dlaczego się tym zajmiesz? – zadaje dość oczywiste pytanie.

– Żeby te dziewczyny wiedziały, że ktoś pamięta. Że pewnym gestem – jak odczuwanie trudu drogi, zimna – ktoś się z nimi łączy – odpowiada. – Skoro siedzą teraz i moczą nogi w ciepłych niebiańskich sadzawkach, niech widzą z góry, że ktoś pamięta.

Podczas odsłonięcia pomnika Marek Grzelka stanął dyskretnie z boku i patrzył, jak kolejne delegacje i mieszkańcy składają kwiaty i zapalają lampki. Obserwował ich poruszenie. Zauważył, że niektórzy płakali.

© MATEUSZ POJNAR

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika Krąg”, który ukazuje się w powiecie nowosolskim koło Zielonej Góry.

NAJWIĘKSZY Z NAJMNIEJSZYCH

Mimiwirus pod wieloma względami przypomina pasożytnicze mikroorganizmy. Może więc jego przodkiem były żyjące komórki?

MARIUSZ GOGÓŁ

WYDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO, ŻE WSKAZANIE organizmów żywych wśród otaczających nas przedmiotów nieożywionych nie powinno stanowić problemu. Jednak nawet biolodzy, którzy przecież zawodowo zajmują się życiem, nie są zgodni co do jego definicji.

Prostej klasyfikacji tego, co nas otacza, na rzeczy żywe i nieożywione, można dokonać na podstawie kilku cech. Po pierwsze, to, co żyje, ma budowę komórkową. Komórki mają zaś bardzo podobny schemat konstrukcyjny. Dotyczy to wszystkich grup organizmów – od bakterii, przez archeony, pierwotniaki, grzyby, po rośliny i zwierzęta, a te podobieństwa świadczą o tym, że schemat ten jest bardzo stary i został odziedziczony po wspólnym przodku wszystkich żywych istot.

Ponadto, wszystko, co żyje, powinno reagować na zmieniające się warunki otoczenia. Np. uruchamiać naprawcze procedury, gdy zostanie uszkodzone. Powinno też utrzymywać homeostazę, czyli względnie stałe parametry wewnętrzne. Życie charakteryzuje również zdolność do wzrostu i rozmnażania. A każdy aspekt jego funkcjonowania opiera się na skomplikowanych reakcjach biochemicznych. Przemiany te napędzane są energią, którą organizmy potrafią przetwarzać w procesach komórkowych.

Gdy wirus ożywa

Tych kryteriów nie spełniają wirusy – przynajmniej przez większość czasu. Wirusy nie mają budowy komórkowej. Ich cząsteczki – wiriony – składają się z trzech podstawowych elementów. Pierwszym jest materiał genetyczny zawierający głównie informacje na temat budowy wirusa. Drugim jest białkowa osłonka chroniąca materiał genetyczny, a także cząsteczki istotne w procesie infekcji gospodarza. U niektórych grup wirusów całość wzbogaconą jest o trzeci element: dodatkową warstwę ochronną zbudowaną z lipidów. Zamknięty w otocze materiał genetyczny jest nieaktywny, dopóki nie trafi do komórki gospodarza. Nie zachodzą z jego udziałem żadne przemiany ani nie jest kopiowany. Nie tworzą się również na jego bazie żadne białka. Wirus nie żywi się i nie rozmnaża.

Ameba Korotnevela, zaliczana do pierwotniaków (protistów), pod mikroskopem elektronowym.

Dopiero gdy dojdzie do infekcji i cząsteczki wirusa znajdą się w komórce gospodarza, wówczas z ich udziałem zaczynają się przemiany przypominające procesy życiowe. Wirusy przejmują kontrolę nad reakcjami zachodzącymi w komórkach i rozpoczynają kopiowanie swojego materiału genetycznego. Na jego bazie tworzone są także białka składające się na cząsteczki wirionów, z których powstanie nowe pokolenie wirusa. W tym szczególnym sensie więc wirusy się rozmnażają.

Wirusy przypominają organizmy także tym, że podlegają doborowi naturalnemu i ewoluują. Rodzi to pytanie o to, skąd się wzięły – jak wyglądali ich odlegli przodkowie. Czy cechy, które stawiają wirusy na granicy tego, co ożywione, mogą być pozostałościami po przodku, który był organizmem żywym?

Znalezisko z wnętrza ameby

W 1992 r. brytyjscy naukowcy próbowali wskazać przyczyny lokalnej epidemii zapalenia płuc. Doświadczenie z innych badań zaprowadziło ich do wieży chłodniczej jednego ze szpitali. Wiedzieli, że w jej wodach żyją patogeny wywołujące legionellozę – chorobę, która również atakuje drogi oddechowe. Patogeny te zamieszkują we wnętrzach komórek różnego rodzaju ameb. I wewnątrz jednej z nich – w amebie o nazwie *Acanthamoeba polyphaga* – badacze zlokalizowali nieznanego wcześniej organizm.

W próbkach umieszczonych pod mikroskopem optycznym można było zobaczyć osobniki o średnicy ok. 400 nm, porośnięte włóknami, które niemal podwajały tę objętość. To więcej niż mają najmniejsze znane bakterie. Znalezisko poddano standardowemu badaniu mikrobiologicznemu – tzw. barwieniu metodą Grama. Ta opracowana pod koniec XIX w. procedura pozwala rozstrzygnąć, do której z dwóch grup bakterii należy testowany organizm. Rozróżnienie to jest istotne m.in. dlatego, że obie grupy wykazują różną podatność na antybiotyki. O klasyfikacji mikroorganizmu decyduje efekt wizualny. Kolor różowy przybierają bakterie Gram-ujemne, które mają dodatkową błonę komórkową. Zabarwienie fioletowe jest zaś charakterystyczne dla bakterii Gram-dodatnich, o nieco mniej skomplikowanej strukturze powierzchniowych warstw.

Nowy organizm zabarwił się na fioletowo, więc sklasyfikowano go jako bak-

terię Gram-dodatnią (podobnie jak gronkowiec złocisty czy prątek gruźlicy). Nadano mu nazwę *Bradfordcoccus*, na cześć miasta Bradford, gdzie stała wieża chłodnicza, z której pobierano wodę do badań. Standardowa metoda analizy genów nie pokazała jednak żadnych bakteryjnych krewniaków nowo odkrytego organizmu. Pierwotne ustalenia trzeba więc było zweryfikować.

Udało się to zrobić w 2013 r. w Marsylii, gdzie przechowywano próbkę z Bradford po kolejnych nieudanych próbach opisanie jej cech. Rozstrzygnięcie przyniosło badanie z wykorzystaniem mikroskopii elektronowej – nowy organizm okazał się wirusem. Ponieważ wydawał się naśladować mikroorganizm, nazwano go mimiwirusem.

Rozmiary wirusa, wynik uzyskany metodą Grama, a także rozmiary materiału genetycznego rzeczywiście były charakterystyczne dla bakterii. Genom mimiwirusa składa się z ok. 1,2 mln par zasad azotowych. Dla porównania: wirus SARS-CoV-2 ma genom o długości 30 tys. par zasad, wirus grypy – niecałych 14 tys. I tyle zwykle wystarczy, aby zapisać informacje potrzebne wirusowi do zrealizowania swojego podstawowego, dość prostego zadania: wytworzenia swojej własnej kopii wewnątrz komórki zaatakowanego organizmu. Milion par zasad to już zasób, który pozwala na zapisanie instrukcji genetycznej dla całego w pełni samodzielnego organizmu, który reaguje na sygnały środowiskowe, komunikuje się z innymi osobnikami, znajduje, przyswaja i trawi pokarm, rozmnaża się i wykonuje setki innych czynności, których wirusy, jak się wydaje, nigdy się nie podejmują. Genomy o milionowej długości są już typowe dla bakterii – ba, genom mimiwirusa jest prawie dziewięciokrotnie dłuższy niż genom pasożytniczego i całkiem żywego mikroorganizmu *Hodgkinia cicadicola*.

Skąd więc tak długi genom u wirusa? Jedna z narzucających się hipotez mówi o tym, że przodkowie mimiwirusa byli żywi. Przemawia za nią także to, że wśród genów mimiwirusa są i takie, które wcześniej kojarzono z organizmami żywymi – m.in. sekwencje związane z metabolizmem cukrów.

Po długim upraszczaniu

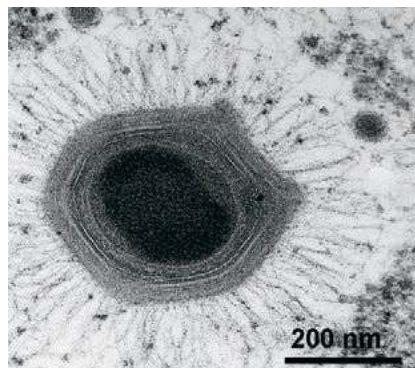
Powstanie mimiwirusów z organizmów komórkowych może wyjaśniać hipoteza →

→ redukcji. Jest ona znacznie starsza niż historia odkrycia tego wirusa. Zgodnie z nią pewien mały organizm jednokomórkowy został wchłonięty przez większego jednokomórkowego drapieżnika. Niedoszła ofiara nie została jednak strawiona po pożarciu – przeżyła i nawiązała współpracę ze swoim nowym gospodarzem. Będąc pod opieką większego organizmu i korzystając z prowadzonych przez niego reakcji chemicznych, ten mniejszy stopniowo tracił geny, które przestały mu być potrzebne. Zniknęły głównie te zaangażowane w proces tłumaczenia materiału genetycznego na białko oraz te konieczne do produkcji paliwa komórkowego. W ten sposób mniejsza komórka stopniowo uzależniała się od większej i stawała coraz prostsza. Następnie, dzięki nabyciu umiejętności poruszania się między komórkami gospodarzy, mogła się rozprzestrzeniać i tworzyć nowe pokolenia. Tak stała się przodkiem wirusa.

Za takim scenariuszem przemawia struktura tworzona przez mimiwirusa w komórce gospodarza. Pojawia się ona po około czterech godzinach po jej zainfekowaniu. Mowa o tzw. fabryce, w której powstają nowe pokolenia mimiwirusa. To labirynt membran, w którym znajdują się elementy cytoszkieletu, rybosomy (odpowiedzialne za produkcję białek), a czasem nawet mitochondria (komórkowe elektrownie). Według niektórych naukowców fabrykę tę można traktować jak odbudowanego wirusa, który po pożyczeniu elementów komórkowych od gospodarza staje się specyficzną formą organizmu.

Fabryka mimiwirusa przypomina żywe, wewnątrzkomórkowe pasożyty, takie jak *Rickettsia prowazekii*. Ten mikroorganizm atakuje bakterie *Bacillus*, które powodują dur brzuszny. *Rickettsia* ma podobny do mimiwirusa rozmiar genomu i podobnie jak on nie posiada wszystkich genów potrzebnych do samodzielnej egzystencji. Innym podobieństwem jest sposób rozmnażania – w cytoplazmie komórek gospodarza.

Kolejną komórkową cechą mimiwirusa jest to, że sam ulega atakowi przez innego wirusa (takie twory określa się jako wirofagi). W 2008 r. znaleziono obiekt przyczepiony do włókien mimiwirusa, który razem z nim przemieszczał się po wnętrzu ameby. Nazwano go sputnikiem – czyli towarzyszem podróży. Ten wirofag dotrzymuje mimiwirusowi kroku aż do końca: namnaża się również



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Genom mimiwirusa (na zdj.) składa się z ok. 1,2 mln par zasad azotowych.

To dużo.

Dziewięciokrotnie krótszy genom ma pasożytniczy i całkiem żywy mikrob Hodgkinia cicadicola.

w fabrykach wirusowych, redukując przy tym liczbę wytworzonych cząsteczek mimiwirusa. Następnie oba wirusy wypełniają cytoplazmę ameby.

Pożyczki i ucieczki

Znalezione geny związane m.in. z fałdowaniem białek sugerują, że mimiwirusy faktycznie mogą pochodzić od komórki, która kiedyś została uwieczona we wnętrzu innego organizmu. Jednak w teorii wirus mógł otrzymać tego typu geny także przez tzw. poziomy transfer genów. Zjawisko to, popularne wśród mikroorganizmów, ale zdarzające się także u zwierząt czy roślin, polega na „przekazywaniu” genów między organizmami należącymi do różnych gatunków (a nie między rodzicami i dziećmi, jak dzieje się to w przypadku pionowego transferu genów), które łączy jakaś relacja biologiczna. Mimiwirus mógł pozyskać geny sugerujące jego komórkowe pochodzenie od ameby, a także od bakterii, które w niej pasożytowały.

Uzupełnieniem tego kontrargumentu mogą być informacje na temat genomu kolejnego wielkiego wirusa, który został znaleziony w wodzie morskiej u wybrzeży Chile. *Pandoravirus* to następny gigant, którego aż 93 proc. genów nie przy-

pomina genów żywych organizmów. Czy gdyby pokrewieństwo wielkich wirusów z komórkami miało być faktem, to podobieństwo nie powinno być wyższe?

Teoria redukcji ma dwie główne konsekwencje. Według pierwszej z nich przodkiem wirusów miały być cząsteczki RNA obecne w pierwotnej zupie. Tą kulinarną nazwą określa się mieszaninę związków organicznych występującą na młodej Ziemi, z której mogło wyłonić się życie. Zgodnie z tą hipotezą „pierwszeństwa wirusów” ich przodkowie powstałi wcześniej od życia komórkowego – i dopiero z czasem wyspecjalizowali się w infekowaniu go.

Według drugiej teorii wirusy powstały po pojawieniu się komórek i pochodzą z różnych cząsteczek z nimi związanych. Takich jak tzw. retrotranspozony. To ruchome elementy genomu, które potrafią przeskakiwać z jednej lokalizacji do drugiej. Mają zdolność powielania swojej sekwencji i wbudowywania jej w innym miejscu genomu.

Mimiwirus wydaje się jednak zbyt skomplikowany, a jego genom zbyt długi, żeby któraś z tych dwóch teorii odpowiadała jego drodze ewolucyjnej. Przypuszcza się natomiast, że bezpośrednimi potomkami pierwotnych cząsteczek RNA mogą być wiroidy. Są to cząsteczkowe patogeny, które atakują niektóre rośliny, takie jak pomidory, ziemniaki czy chmiel. Mają bardzo krótki materiał genetyczny (zbudowany z RNA). Nie zawierają informacji na temat białek. W odróżnieniu od wirusów nie osłania ich także żadna otoczka.

Druga teoria być może pasuje do procesu formowania retrowirusów. Do tej grupy należą np. wirus białaczki ludzkiej czy wirus HIV. Sposób przemieszczania się tych wirusów przypomina mechanizm działania retrotranspozonów – opiera się na wykorzystaniu tych samych enzymów. Różnica polega natomiast na tym, że retrotranspozony zmieniają lokalizację w obrębie jednej komórki, a retrowirusy mają zdolność do przenoszenia między komórkami.

Niewykluczone zatem, że różne grupy wirusów mają odmienne pochodzenie ewolucyjne. A przodkowie tych największych rzeczywiście kiedyś żyli. Możliwe też jednak, że ciągle zbyt słabo rozumiemy, czym jest życie. I dopiero gdy to się zmieni, uda się nam wyjaśnić zagadkę pochodzenia wirusów.

© MARIUSZ GOGÓL



DAVID CHIKHIVISHVILI / REUTERS / FORUM

Stanowisko archeologiczne, na którym w warstwach skał sprzed 1,8 mln lat odkryto ząb należący do *Homo erectus*.
Orozmani, Gruzja, 8 września 2022 r.

Jak było na początku

GIORGI BIDZINASZWILI, PALEOANTROPOLOG:

Kości *Homo erectus* znalezione w Dmanisi i Orozmani należą do pierwszych ludzi, którzy wyszli z Afryki do Eurazji ok. 1,8 mln lat temu. Być może była wcześniejsza migracja, ale nie ma na nią mocnych dowodów.

JAKUB MEJER: Zeszłego lata podczas wykopalisk w Orozmani na południu Gruzji odkryliście ząb człowieka sprzed 1,8 mln lat. Co można powiedzieć na podstawie tak małego znaleziska?

GIORGI BIDZINASZWILI: Wiemy, że to *Homo erectus*, a więcej pokażą badania, których efektem będzie publikacja naukowa. Zajmuje to około dwóch lat. Wtedy też ząb zostanie wystawiony publicznie w muzeum. Może przez ten czas odkryjemy więcej szkieletów lub ich części. Znajdujemy dużo kości połączonych anatomicznie, pełnych szkieletów zwierząt. Np. całą nogę czegoś, co moglibyśmy nazwać dawną antylopą.

Takich szkieletów ludzi jeszcze nie znaleźliśmy, ale przekopaliśmy teren dopiero na głębokości 50 centymetrów. Pracy dla paleontologów jest tu dużo więcej – na setki lat. Znaleźliśmy m.in. najbardziej kompletny szkielet wilka etruskiego na świecie. To miejsce z dużym potencjałem dla odkryć naukowych, ponieważ zachodziła tu bardzo szybka sedymentacja. Po śmierci zwierzęcia było ono pokrywane osadem, a to daje nam większe szanse znalezienia szkieletów w połączeniach anatomicznych. Także ludzi.

Właściciela tego zęba nazywacie kuzynem szkieletów znalezionych wcześniej, w oddalonym 20 kilome-

trów Dmanisi. To miejsce, w którym znaleziono najstarsze szczątki ludzi poza Afryką.

Na pierwszy rzut oka ząb jest bardzo podobny do tych znalezionych w Dmanisi. Skamieniałości te są również w podobnym wieku. Nie wiemy, które znalezisko jest starsze. Różnice mogą być niewielkie, sięgać setek czy tysięcy lat.

Co wiadomo o tych prehistorycznych ludziach z Gruzji?

Homo erectus z Dmanisi, czasem nazywany *Homo georgicus*, jest bardzo specyficzny. W Dmanisi w dobrym stanie zachowało się m.in. pięć czaszek niewielkich rozmiarów – o pojemności od 560 do 760 centymetrów sześciennych. Podobnej wielkości czaszki miał występujący w Afryce *Homo habilis*, który pojawił się przeszło 2 mln lat temu, choć dożył jeszcze czasów, gdy występował wczesny *Homo erectus*. Czaszki z Dmanisi są więc małe, ale przypominają już czaszkę *Homo erectus*. Kiedyś popularna była teoria, zgodnie z którą ludzie wyszli z Afryki i skolonizowali Eurazję, gdy ich mózgi stały się większe. Jednak odkrycie z Dmanisi tę koncepcję pogrzebało. Oni wyszli z Afryki z małymi mózgami!

→ To byli prości ludzie. Nasze mózgi mają objętość ok. 1400-1500 centymetrów sześciennych. Człowiek z Dmanisi i z Oromani to najprawdopodobniej ten sam gatunek. W tym czasie obserwujemy u ludzi regionalne różnice. Np. azjatycki *Homo erectus*, znaleziony w Chinach i datowany na ok. 1,6 mln lat temu, ma większą czaszkę i grubsze kości. Są też trochę młodsze znaleziska z Izraela, które różnią się od jednych i drugich. Te dwa znaleziska prawdopodobnie reprezentują późniejszą migrację człowieka niż skamieniałości z Gruzji – tamci ludzie raczej nie są potomkami człowieka z Dmanisi. Wydaje się, że w tym czasie żyło wiele grup ludzi o różnych cechach, które były wynikiem adaptacji do lokalnego środowiska.

A jak się w tym miejscu żyło?

Terytorium obecnej południowej Gruzji musiało być pełne wczesnych ludzi. Były tu jeziora, miejsca do polowania. Nie wiemy nic o tym, by ci ludzie używali jakichś narzędzi do łowienia, ale mogli zjadać martwe ryby. Zwierzęta lądowe zmierzają do wodopojów, można więc było na nie polować. Klimat był przyjazny, wydaje się, że ci wcześnie ludzie bardzo długo zostali na tym terenie.

Zjadali wszystko – rośliny, zwierzęta. Nie byli dobrymi myśliwymi. Czasami dojadali resztki po innych zwierzętach. Gdy np. hiena zabiła antylopę, grupa ludzi mogła ją otoczyć, obrzucić kamieniami i przegonić – a wtedy oni dokonali jej posiłek. Analiza zachowanych zębów pozwala nam powiedzieć coś o tym, co jedli, ale nie zbyt dokładnie. Nie możemy stwierdzić: „o, ten osobnik jadł szpinak”, tylko np., że w ostatnich dwóch latach życia spożywał miękkie rośliny. Może w przyszłości nowe techniki badawcze umożliwią bardziej drobiazgową analizę.

Okolice Dmanisi to najlepsze miejsce na świecie do badania *Homo erectus*, bo mamy tu męskie i żeńskie osobniki w różnym wieku. Niektórzy naukowcy myślą, że szkielety, które zostały tu znalezione, reprezentują dwa różne gatunki człowieka. Ale większość uważa, że obrazuje to tylko różnice płciowe. Mężczyźni byli więksi, ale mieli mniejsze mózgi. Mamy też osobę starszą – „babcię”.

Czyli trzydziesto-, czterdziestolatkę?

Prawdopodobnie tak. Ona jest bardzo ważna, bo cała czaszka była pozbawiona zębów. Musiała je stracić za życia.

Kiedys uważano,
że ludzie skolonizowali
Eurazję, gdy ich mózgi
stały się większe. Odkrycia
z Gruzji temu przeczą.
**Homo erectus wyszedł
z Afryki z małym mózgiem.**

Jak więc przeżyła? Społeczność musiała przeżywać jedzenie dla niej co najmniej przez dwa ostatnie lata jej życia. Mówi się o tym, że to najstarszy udokumentowany przykład empatii. Nie wiemy, w jakiej strukturze jej pomagano. Czy decydowały więzy rodzinne, czy może grupa funkcjonowała inaczej, z dominującym samcem, jak choćby u szympanów.

Mówił Pan, że Dmanisi jest wyjątkowym miejscem. Ale czy da się znaleźć podobne w Gruzji?

Z pewnością.

Skąd pomysł, żeby zacząć kopać w Oromani?

Pracując w Dmanisi przez 20 lat, robiliśmy też prospekcję w okolicy. Przyjęliśmy założenie, że Dmanisi nie może być wyjątkiem. Populacje hominidów migrowały dolinami, trzymały się blisko rzek. W czasach prehistorycznych ci ludzie nie mieli specjalnych pojemników na wodę, więc nie mogli się od niej za bardzo oddalić. Bez pożywienia można wytrzymać dwa, trzy tygodnie, a bez wody po dwóch dniach jesteś martwy. Dlatego gdy szukamy miejsc interesujących paleoantropologicznie, przyglądamy się rzekom i jeziorom. To może być dawne jezioro, które istniało 2 mln lat temu, a teraz w tym miejscu nie ma już żadnego zbiornika. Ale jeśli geologia pokazuje, że tu było kiedyś jezioro, to warto badać teren wokół niego.

Z użyciem współczesnych map, zdjęć satelitarnych, a także map pokazujących, jak dany teren wyglądał dawniej, czasami odkrywamy takie stanowiska archeologiczne. W 2019 r. podczas rutynowego badania na południe od Dmanisi znaleźliśmy osad z dawnego jeziora. A w nim zęby tygrysa szablozębnego. To bardzo dobry znak, bo wiemy, że to zwierzę żyło

na Kaukazie 2,5-1,5 mln lat temu – a więc także w czasach, gdy występował tam już człowiek. Niedługo później znaleźliśmy wykonane ludzką ręką kamienne narzędzia. Po dwóch minutach od tego znaleziska wiedzieliśmy, że jesteśmy w ważnym miejscu. Później ustaliliśmy, że ten teren był datowany przez francuski zespół w 2010 r. na 1,84-1,77 mln lat temu, a więc bardzo podobnie jak w przypadku Dmanisi. Rok 2020 był trudny, ze względu na pandemię nie było wykopalisk. Poza tym na wykopaliska na stanowisku, które nie jest znane, nikt nie da ci funduszy. A bez nich trudno prowadzić badania.

Jak to rozwiązaliście?

Stworzyliśmy szkołę terenową. Umieściliśmy reklamy na specjalnych stronach internetowych, pisząc, że zespół z dwudziestoletnim doświadczeniem w Dmanisi odkrył nowe stanowisko. W pierwszym roku mieliśmy pięciu studentów z USA i Europy, a dzięki wniesionym przez nich opłatom mogliśmy rozpocząć badania, angażując też lokalnych uczniów. Pracowali w terenie przez kilka tygodni, słuchali też wykładów.

Rok 2022 również był trudny, bo przez wojnę w Ukrainie sporo osób się wycofało. W końcu mieliśmy piętnastu studentów zagranicznych. W lipcu natrafiiliśmy na dobre znaleziska – artefakty, faunę. W sierpniu, po tygodniu prac, student z Oksfordu znalazł ten słynny ząb. Szybko zidentyfikowaliśmy go jako ludzki, bo widzieliśmy wiele podobnych w Dmanisi. Na zakończenie wykopalisk była duża konferencja poświęcona wczesnym ludziom, zorganizowana we współpracy z afrykańskimi badaczami. Mamy duży potencjał naukowy, ale nie dysponujemy choćby narzędziami do datowania znalezisk. Potrzebujemy współpracy ośrodków zagranicznych.

Szkoła letnia jest dla nas bardzo ważna, bo zapewnia finansowanie. Większość studentów pracuje po niej w zawodzie. Zajęcia w Oromani teraz są tak samo prestiżowe jak te w Afryce. Dają podobne doświadczenie, a jest bezpieczniej, bo nie mieszkasz z krokodylami. Nie musisz robić szczepień. Jest wino i dobre jedzenie, wszystko jest też tańsze. Wielu naszych studentów przyjeżdża ponownie, chociaż program się nie zmienia.

Jak przebiegają Wasze badania?

To praca multidyscyplinarna. My, paleoantropolodzy, dysponujemy niewielkimi fragmentami układanki, trudno jest zrekonstruować tak odległe czasy. Typowa działalność archeologiczna zajmuje 30-40 procent czasu. Reszta to geologia, antropologia, paleobiologia, datowanie, później fizyka, genetyka. Nie jesteśmy więc klasycznymi archeologami epoki kamienia. Pracujemy narzędziami dentystycznymi, a nie łopatami. Badamy osady, mikrofaunę.

Gdzie jeszcze na świecie mogą trafić się podobnie obiecujące stanowiska z początków ludzkości?

Trzeba prześledzić to, co wiemy o ludzkiej migracji. *Homo erectus* wyruszył z Afryki na północ. Ci ludzie nie umieli pokonywać dużych akwenów, a jedynym miejscem łączącym Eurazję z Afryką jest półwysep Synaj. Dalsza droga prowadzi przez tereny obecnego Iraku, Iranu, Armenii. Góry północnego Kaukazu są naturalną granicą. Jest szansa znalezienia innych miejsc, ale to zależy również od geologii. Na naszym terenie najpierw była erupcja wulkanu, potem osadzenie się tych warstw, które badamy, i kolejna erupcja. To je zakonserwowało.

Te skamieniałości leżą między dwiema warstwami lawy?

Tak, w innych miejscach pozostałości po wczesnych ludziach mogły zostać zmyte. Tu, gdzie teraz kopujemy, wierzchnia warstwa bazaltu – skały wulkanicznej – została zmyta dawno temu, ale są jesz-



DAVID CHIKHISHVILI / REUTERS / FORUM

cze takie miejsca, które czekają na zbadanie, głębiej pod bazaltem. W Orozmani wierzchnia warstwa bazaltu, którą omijamy, kopiąc z boku, ma około metra grubości. Dolna warstwa bazaltu ma 60 metrów. Erupcje są datowane, dzięki temu wiemy, że nasze znaleziska pochodzą sprzed 1,83-1,77 mln lat temu.

Szczątki, które badacie, reprezentują pierwszą migrację z Afryki?

Tak, znaleziska z Dmanisi i Orozmani to skamieniałości pierwszych ludzi, którzy wyszli z Afryki do Eurazji.

W Chinach i Indiach znaleziono kamienne narzędzia, choć bez ludzkich szczątków ludzkich, które są jeszcze starsze – mają przeszło 2 mln lat.

GIORGI BIDZINASZWILI jest archeologiem i paleoantropologiem. Były pracownik Gruzińskiego Muzeum Narodowego w Tbilisi. Obecnie dyrektor gruzińskiego Narodowego Centrum Badań Archeologicznych i Prehistorycznych. Kieruje też ekspedycją badawczą na stanowisku w Orozmani.

Na zdjęciu: ze znalezionym tam zębem *Homo erectus*.

Cóż, im głębiej się cofamy, tym mniej rozumiemy. Z takimi znaleziskami jest pewien problem – bo to nie są kompleksowe stanowiska archeologiczne, brakuje w nich nie tylko szczątków ludzi, ale też zwierząt. A przecież czasem znajdujemy tzw. geofakty, czyli kamienie, które wyglądają jak stworzone ręką człowieka, ale powstałe w naturalnych procesach.

W Gruzji mamy skamieniałości *Homo erectus* sprzed ok. 1,8 mln lat. Nie wiemy nic o starszych ludziach, którzy mieliby żyć wtedy w Chinach. Może te narzędzia wykonały jakieś rozwinięte małpy? W Afryce australopiteki wytwarzały narzędzia. W Dmanisi i Orozmani jest bogaty kontekst – mamy szczątki ludzkie, zwierzęce, kości ze śladami ludzkiego użytkowania. Na tamtych stanowiskach ze środkowej i wschodniej Azji potrzeba znacznie więcej badań. Wierzę, że wcześniejsza migracja człowieka z Afryki była możliwa, ale na razie są na nią zbyt słabe dowody. © Rozmawiał JAKUB MEJER

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Rozmowy o człowieku

„Tygodnik Powszechny” i Centrum Kopernika zapraszają na cykl dyskusji o ludzkiej naturze w obliczu współczesnych wyzwań, zagrożeń i problemów społecznych, organizowany przez prof. Dominikę Dudek.

- **1 marca: Grzechy kościoła.** Gość: red. Marcin Gutowski
- **12 kwietnia: Czy jesteśmy bezpieczni?** Gość: gen. Mieczysław Bieniek
- **7 czerwca: Gospodarka wzrostu czy gospodarka dobrostanu?** Goście: prof. Jerzy Hausner, prof. Stanisław Mazur

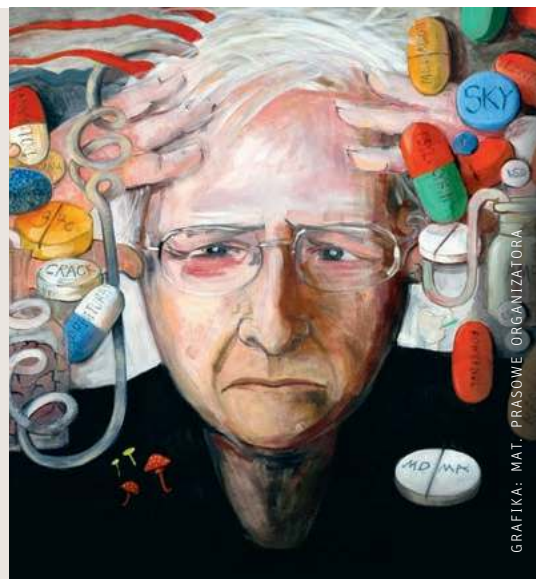
Wszystkie spotkania odbywają się w Krakowie, w Auli PAU, ul. Sławkowska 17, o godz. 18.

TYGODNIK
POWSZECHNY



Copernicus
Center

WSTĘP WOLNY



GRAFIKA: MAT. PRASOWE ORGANIZATORA

WIELKI ZDERZACZ OPOWIEŚCI

Italo Calvino uparcie i z przekonaniem realizował pomysł najambitniejszy z możliwych dla pisarzy, czyli opisanie świata. Udało się? Miłość nie zna granic.

MICHAŁ SOWIŃSKI

ZACZNIJMY OD SAMEGO POCZĄTKU, KIEDY nie było jeszcze nic, nawet słowa, więc Qfwfq się nudził. Nie miał wyjścia, wszak Wszechświat składał się wtedy wyłącznie z pustki. Aż nagle pojawił się (o ile w beczasie może pojawić się coś nagle) pierwszy atom wodoru, a potem kolejne. Można było więc coś robić, np. bawić się w rzucanie nimi. Potem poszło już szybko – powstały gwiazdy i planety, a na nich pierwsze żywe istoty.

Qfwfq nie tylko był świadkiem tego wszystkiego, ale sam zaczął podlegać liczny metamorfozom, stając się żywą częścią rodzącego się uniwersum. W pewnym momencie widzimy go, gdy jako jeden z pierwszych mięczaków trwa przyczepiony do podwodnej skały. Z jego perspektywy świat to bezkształtna masa, pozbawiona podziału na wewnątrz i zewnątrz, a wszystko, co może się wydarzyć, wciąż znajduje się w czystej potencjalności.

Wtem (znów...) pojawia się pierwszy sygnał, który zakłóca tę pozaczasową egzystencję – delikatne vibracje wody. Qfwfq odkrywa, że nie jest sam, że gdzieś tam istnieje Ona. A skoro jest Ona, to znaczy, że on też istnieje, jest samodzielnym bytem. Z kolei „gdzieś tam” oznacza relacje przestrzenne, istnienie świata. I wtedy wydarza się cud, jeden z wielu w tej serii kosmogonii – Qfwfq, przepełniony miłością i tęsknotą za Nią, postanawia zrobić „coś”.

Jeszcze nie wie, co to może być, ale liczy się sama intencja, pierwsza w dziejach ziemskiego życia. I tak oto powstaje muszla. Warstwa po warstwie wyłania się kształt i kolor, coś, co jest wciąż nim, ale jednocześnie jest też czymś innym. Pozostałe małże idą w jego ślady, kopiuja pomysł Qfwfq, ale Qfwfq kopiuje też od nich. Muszle są podobne do siebie w swojej muszlowatości, jednak można dostrzec subtelne różnice, bo każda komunikuje coś innego. W ten oto sposób rodzi się język, ale jednocześnie świat przez ten język opisywany. Jedno powstaje z drugiego, już na zawsze połączone, niemożące bez siebie istnieć.

Jajo i kura

Ta kosmogonia z ducha języka (i na odwrót) pochodzi z „Opowieści kosmimicznych” Itala Calvina, zbioru opowiadań wydanego w 1965 r. To był środkowy etap jego twórczości. Ale fenomen Calvina polega również na tym, że można i należy czytać go w dowolnym porządku. Po drugie, ważniejsze, „Opowieści kosmimiczne”, wraz z wydanym dwa lata później tomem „Jeżeli $t = 0$ ”, to dzieło, w którym jego styl i pomysł na literaturę łączą się w genialny sposób. Po trzecie, najważniejsze, opowiadanie „Spirala”, z którego pochodzi historia Qfwfq-mała, to chyba najpiękniejszy hymn pochwalny na cześć literatury, jaki kiedykolwiek powstał.

Zachodnia sztuka od swojego zarażania zmagą się z paradoksem jajka i kury. Co było pierwsze – świat czy jego przedstawienie? Instynktownie odpowiemy, że świat, ale skąd wiedzielibyśmy, czym jest świat, gdybyśmy nie potrafili go nazwać? W słynnym cytacie „Granice mojego języka oznaczają granice mojego świata” Ludwig Wittgenstein streścił podstawowy problem XX-wiecznej filozofii języka (a więc i całej sztuki). Czy obie te granice są tożsame, a jeśli tak, to jak można je przesuwac? Na to pytanie na różne sposoby próbowali odpowiedzieć najwięksi pisarze nowoczesności. A Calvino twierdzi, że jest to możliwe dzięki miłości, dzielonej po równo – do świata i do języka.

Qfwfq-małż wyciąga się z pierwotnego chaosu materii właśnie dzięki miłości – tworzy pierwszą w dziejach rzecz obdarzoną formą, muszlę, która jest jednocześnie pierwszym znakiem. Moment równie tajemniczy, jak powstanie pierwszej żywej komórki. Calvino nie przepadał za budowaniem prostych połączeń między swoim życiem a pisanem, jeśli jednak chce wskazać postać najbliższą *alter ego* autora, z pewnością byłby to Qfwfq.

→

Italo Calvino w Paryżu. 20 lutego 1981 r.



Bajkopisarz

→ Jeśli natomiast chciałoby się zacząć od początku, czyli pójść za czasem, to byłoby tak – Italo Calvino, Włoch, urodził się na Kubie w 1923 r., gdzie oboje jego rodzice pracowali jako botanicy (brat później został geologiem), co mocno wpłynęło na jego sposób myślenia o świecie. Sam przez krótki czas studiował na uniwersytecie rolniczym w Turynie. Od rodziców przejął także lewicowo-kosmopolityczne poglądy. W czasie II wojny światowej długo się ukrywał, aby uniknąć wcielenia do armii. W 1944 r. dołączył do komunistycznej partyzantki antyfaszystowskiej, a po wojnie został dziennikarzem komunistycznego dziennika „L'Unità”, pisywał również do innych ważnych tytułów. Z partii komunistycznej wystąpił w 1956 r. po sowieckiej interwencji wojskowej na Węgrzech.

Swoją wojenną przeszłość wykorzystał w częściowo autobiograficznej debiutanckiej powieści „Ścieżka pajęczych gniazd”. Nastoletni Pin, jeszcze zanurzony w dziecięcym świecie, zmuszony jest konfrontować się z brutalnymi i skomplikowanymi realiami wojny. Jednak nawet w tej opowieści, której najbliżej w całym dorobku Calvina do prozy realistycznej, widać już fascynację możliwościami, jakie oferuje baśń.

W 1956 r. ukazała się pod jego redakcją antologia „Baśnie włoskie”, we wstępie do której zwracał uwagę na ten szczególnie gatunek literacki. Zauważył, że chodzi w nim przede wszystkim o redukcję – budowanie opowieści z niewielkich, ale wysoce nasączonych sensem elementów. Co ważne, te znaczące całości są również skonwencjonalizowane i powszechnie obecne w zbiorowej wyobraźni. Dlatego też rola bajkopisarza polega na budowaniu z gotowych elementów (strukturaliści też na to wpadli).

To konstruowanie historii z dobrze zakorzenionych już w kulturze motywów, wątków i postaci bazuje na napięciu między zbiorową i indywidualną wyobraźnią. Wydana w 1947 r. „Ścieżka pajęczych gniazd” zapewne spotkała się z tak dobrym przyjęciem właśnie dlatego, że udało się w niej uchwycić świeże jeszcze doświadczenia wojny, szczególnie te związane z ruchem oporu. Mamy tu bowiem galerię postaci, którym bliżej do pikareskich łotrzyków albo bohaterów legend niż ludzi odmalowywanych z dbałością o historyczne czy psychologiczne detale.

Calvino odrzucał przymus oryginalności i pełnymi garściami czerpał z tego, co już było.

Fascynowały go możliwości,
jakie daje tasowanie i nowe
rozdanie elementów już
istniejących.

Kołem zamachowym fabuły są z kolei losy pistoletu, który główny bohater kradnie niemieckiemu oficerowi, aby wkupić się w łaski przywódcy lokalnego oddziału partyzantów. Później ukrywa go, gubi, odnajduje – broń staje się obiektem niemalże magicznym, pojawiającym się i znikającym w nieoczekiwanych momentach.

Opisanie świata

Łatka fantasty, którą często się temu pisarzowi przypina, przy uważniejszej lekturze okazuje się problematyczna. Bo tam, gdzie Calvino wydaje się bliski realizmowi, subtelnie, niemniej konsekwentnie podminowuje neutralne, wydawałoby się, zasady przedstawiania świata. I odwrotnie, w jego fantastycznych opowieściach, za sprawą olśniewającej wyobraźni autora, łatwo przeoczyć ich rygorystycznie konstruowaną strukturę i wewnętrzną logikę, mocno zakorzenioną w bieżącej rzeczywistości.

Słychać tu także echa zarówno filozofii naturalnej, jak i coraz silniej przesiąkających do zbiorowej świadomości postulatów fizyki po Einsteinie, rozbijającej nasz uporządkowany i w miarę zrozumiały obraz rzeczywistości. Calvino studiował uważnie prace Maxa Plancka i Wernera Heisenberga, a także prace współczesnych mu matematyków, szczególnie dotyczące kombinatoryki i możliwości, jakie daje ona w konstruowaniu opowieści.

Nie chodzi tu jednak ani o zabawę, ani o erudycyjne popisy. Calvino od początku realizuje konsekwentny, poważny w swoich założeniach pomysł – najambitniejszy z możliwych, który przyświecał największym pisarzom XX wieku, czyli opisanie świata. Ale w drugiej połowie XX wieku było to już zadanie niełatwe, wymagające nie tylko talentu i formalnej oryginalności, ale przede wszystkim wiary w samo pisarskie medium.

Dlatego też Calvino wskazywany jest, i słusznie, jako jeden z najważniejszych europejskich postmodernistów. Ten niemodny już dziś sposób myślenia o sztuce i świecie, któremu powszechnie przypisuje się najróżniejsze wyssane z palca winy i ograniczenia, charakteryzował się (i do dziś tak jest) szczerym i głębokim szacunkiem do tradycji. W przypadku Calvina – literackich. Odrzucając bowiem przymus oryginalności i kreacji, postmoderniści pełnymi garściami czerpią z tego, co już było. Ale nie dlatego, że sztuka się wyczerpała, tylko z oszołomienia i fascynacji możliwościami, jakie daje tasowanie i nowe rozdanie elementów już istniejących. Nasączone rozmaitymi sensami, nie tylko zwiększają ergonomię budowania opowieści, ale zderzane ze sobą w nieoczywisty sposób, tworzą nadatki sensu, których nie dałoby się uzyskać w inny sposób.

Formy przerośnięte

Niczym Qfwfq, zderzający atomy wodoru i w ten sposób, przypadkowo, tworzący atomy helu (nie tylko on to potrafi, wynika z fizyki), Calvino w swojej prozie nieustannie korzysta z wielkiego zderzacza opowieści. Weźmy np. trylogię „Nasi przodkowie”, czyli powieści „Wicehrabia przepołowiony”, „Baron drzewołaz” i „Rycerz nieistniejący”. Każda część jest ułożona w innej epoce (kolejno: XVII wiek, koniec XVIII i czasy Karola Wielkiego), choć równie dobrze mogłyby się dziać w tej samej, bo nie o przeszłość tu chodzi, ale o zonglowanie różnymi gatunkami i stylami historycznymi. Każda też w baśniowy sposób opowiada o wojnie, o bezsensownej przemocy, która u Calvina każdorazowo wywodzi się ze zwyrodniałych, przerośniętych form racjonalności.

Wicehrabia Medardo di Terralba to człowiek dosłownie rozdarty na pół przez pocisk armatni. Cosimo-drzewołaz to z kolei parodia (ale niewyśmiewająca) człowieka oświecenia, wspierającego rewolucyjne wojska francuskie, które na długie miesiące grzęzną w puszczy (obrabiają nawet mchem) z powodu wewnętrznie sprzecznych postulatów epoki racjonalności. A nieistniejący rycerz Agiluf (jego obecność podtrzymuje wyłącznie siła woli) walczy w niekończących się kampaniach Karola Wielkiego, co do sensu których nawet sam władca ma poważne wątpliwości. Dlatego też cała trylogia, jako kolejny wariant opowieści o woj-

nie, doskonale rymuje się z „Ścieżką pajęczych gniazd”.

Tym razem jednak Calvino sięga po baśnie, legendy i mity, bo te style opowiadania mają jedną kluczową przewagę nad innymi. Zbudowane są na wyrazistym obrazie, fundującym kaprysy wyobraźni (np. człowiek, który całe życie nie schodził z drzewa), bogatym w różnorakie sensory, których jednak nie da się łatwo wyodrębnić i zinterpretować. Obraz fundujący baśń wyłania się podczas lektury w naszej wyobraźni, a z niego, niczym ze skorupy małża, wyrastają kolejne postaci i historie.

W ten sposób zyskujemy lekkość, szybkość, dokładność, przejrzystość i wielorakość – pięć kluczowych kategorii każdej narracji, o których Calvino pisał w „Wykładach amerykańskich”. To niezwykle literackie *credo* domagałoby się osobnego, obszernego tekstu. Upraszczając, chodzi w nim o wielką pochwałę literackości literatury, wyjątkowych właściwości tego medium, dzięki któremu mamy szansę uchwycić świat w całym jego bogactwie i różnorodności – uprawiać komunikację, w której jednocześnie zachowuje się wyjątkowość pojedynczej rzeczy i pokazuje się uniwersalne mechanizmy rządzące światem i jego przedstawieniem.

Metropolie

O tym właśnie opowiadają „Niewidzialne miasta” – o samym opowiadaniu, ale też o słuchaniu, o intensywnej i złożonej relacji, jaka zawiązuje się między ludźmi, którzy nawzajem obdarowują się historiami. Przyjmuje się, że oryginalny tytuł dzieła Marco Polo brzmiał „Opisanie świata”, i to właśnie próbuje zrobić bohater „Niewidzialnych miast”. Zadanie, wydawałoby się, karkołomne, bo imperium Wielkiego Chana rozciąga się poza granice poznania pojedynczego człowieka i usiane jest setkami miast, z których każde jest otchłanną studnią opowieści. Zdaje sobie z tego sprawę Marco Polo, podobnie Chan, a mimo to nie poddają się. Wiedzą, że najpewniej nie starczy im życia, aby ukończyć ten projekt, ale są z tym pogodzeni.

Bo czym są miasta, których kolejne wije rozsnuwa przed Chanem Marco Polo? W prozie Calvina pojawia się wiele metropolii, najczęściej pozbawionych nazw, kipiących konglomeratów ulic, budynków i ludzi, gdzie wydarzyć może się wszystko. Miasto dla Calvina to jedna z wielu narra-

Najnowsze przygody z Calvinem



■ Właśnie ukazał się zbiór opowiadań „Trudne miłości” Itala Calvina w przekładzie Anny Wasilewskiej. Teksty zebrane w tym tomie (oryginalnie

wydanym w 1979 r.) pochodzą z lat 1949-1967 i, jak na Calvina, wydają się dość zwyczajne, jako że nie ma tu eksperymentów fabularnych ani żadnego wyrazistego konceptu organizującego całość. Nie oznacza to jednak, że scenki rodzajowe z życia zwykłych przedstawicieli ówczesnego włoskiego społeczeństwa nie mają właściwego autorowi ciężaru gatunkowego. Każde z opowiadań ma w tytule słowo „przygoda”, które może oznaczać zarówno przypadkowy flirt w pociągu czy kąpiel w morzu, jak obsesyjną próbę uchwycenia istoty rzeczywistości przez kompulsywne robienie kolejnych zdjęć.

Prawdziwe przygody przeżywa tu sam autor, który każdorazowo wymyśla sposób na opisanie nieuchwytnych, zdawałoby się, niuansów, od jakich skrzą się najprostsze nawet międzyludzkie interakcje. U Calvina cała rzeczywistość złożona jest z nieskończonej ilości potencjalnych kombinacji i możliwości. Spod tej przytłaczającej, ale jednocześnie olśniewającej (czyli jak zwykle) lawiny sensów wygrzebać się musimy już sami.

„Trudne miłości” to już kolejna książka Calvina wznowiona w ostatnich latach nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. W 2021 r. ukazał się tom opowiadań „Jeżeli $t = 0$ ”, czyli uzupełnienie słynnych „Opowieści kosmimiczych”, a rok wcześniej zbiór esejów „Po co czytać klasyków”, czyli 35 tekstów o pisarzach (od Homera i Owidiusza do Borgesa i Queneau), których Calvino cenił najbardziej. ©©MS

cyjnych machin, być może najwydajniejsza, dzięki której okiełznać można chaos Wszechświata. Jeżeli każde miasto jest nieskończonym rezerwuarem opowieści, a samych miast może być również nieskończenie wiele, osiągamy nieskończoność podniesioną do potęgi. Zyskujemy więc narzędzie do opisania nie tylko wszystkiego, co istnieje, ale też wszystkiego, co mogłoby zaistnieć. Rzeczywistość staje się wypadkową literatury.

Wielcy pisarze nowoczesności – Proust, Musil, Joyce – których Calvino niezwykle cenił, również chcieli zbudować całościowy obraz świata. Ale przeładowane do granic możliwości literackie medium nie mogło wytrzymać tej próby i pękało w szwach. A Calvino? Idzie jeszcze krok dalej.

Chyba najpełniej widać to w jednej z ostatnich powieści Calvina, wydanej w 1979 r. arcydziele „Jeśli zimową nocą podróżny”. Już sam tytuł to zawieszone w próżni zdanie podrzędne, rozpoczynające się od niezwykle ważnego dla Calvina spójnika „jeśli” (włoskie „se”). Dostajemy niekończący się ciąg urwanych fabuł, który rozrasta się we wszystkie strony niczym kłacz.

Główny bohater (którym *de facto* jesteśmy my, czytelnicy) otwiera nową powieść Calvina, również zatytułowaną „Jeśli zimową nocą podróżny”, i odkrywa, że to tylko urwany fragment, po którym następuje kolejny, zupełnie innego autora („Poza osadą Malbork”, rzekomo autorstwa polskiego pisarza Tazia Bazakbala). Nowa historia wciąga go jednak na tyle, że chce poznać jej dalszy ciąg. Rozpoczyna śledztwo, trafia na kolejne niepasujące do siebie fragmenty, ale niestrudzenie brnie dalej. A my razem z nim. Szybko gubimy się w tym coraz bardziej groteskowym gąszczu wątków i postaci, które coraz bardziej na siebie nachodzą, aż przestajemy rozumieć, kto i co właściwie nam opowiada.

Dlaczego więc czytamy dalej? To chyba kluczowe pytanie, na które odpowiedzieć musimy już sobie sami. Wydaje mi się, że chodzi o rozkosz, której nie zrozumie ten, kto nie kocha czytania. Ta miłość, która przepelnia prozę Calvina po brzegi, jest zaraźliwa. Wszystko inne – rozmaite sensory, filozoficzne koncepty, polityczne i społeczne komentarze – choć niezwykle ważne, schodzą na dalszy plan. Liczy się tylko to, by opowiadać dalej. I dalej.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Totalny underground

GRZEGORZ NAWROCKI, MUZYK:

To nie jest sexy, żeby o depresji albo o alzheimierze śpiewać piosenki. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy puściłem „Moja mama ma depresję” kilku bliskim mi osobom, zupełnie ich zamurowało.

JAN BŁASZCZAK: Czy Twoja mama miała artystyczne zacięcie?

GRZEGORZ NAWROCKI: Powiedziałbym raczej, że miała niepohamowaną, zupełnie nieokrzesaną potrzebę ozdabiania rzeczywistości wokół siebie. Konstruowała niewiarygodne ołtarzyki, nosiła ciężkie kamienie, żeby ozdabiać ogródek, dużo szydełkowała. Kuzynka śmiała się z niej, że mogłaby dziergać pokrowce na auta. To szydełkowanie wyniosła zapewne ze swojej młodości z Kaszub.

Jako pierwsza z rodziny przeprowadziła się do Gdańska?

Kiedy była dzieckiem, zafascynowała się nauczycielką, która trafiła do ich wsi z Kresów, założyła szkołę i uczyła wszystkich przedmiotów. Moja mama była w nią tak wpatrzona, że Aniela została później moją matką chrzestną. I postanowiła, że nie będzie chłopką – też będzie nauczycielką. Aby nią zostać, zaczęła się bardzo przykładać do nauki. W wieku lat trzynastu udało jej się wyjechać z ukończonych Kaszub. Ukończyła liceum pedagogiczne w Gdańsku. Tu poznała też mojego tatę, który był mechanikiem samochodowym i zawodowym kierowcą.

Dom rodzinny?

Spędziłem dzieciństwo na nowym osiedlu, w Gdańsku Oliwie. Nasze mieszkanie miało 36 metrów kwadratowych. Dzieliłem z bratem mikroskopijny pokój, w którym znajdowała się wielka trzydrzwiowa szafa, stół do odrabiania lekcji i tapczan. Przez kilka lat pomieszkiwa-

łem też z nami starszy kuzyn, który dojeżdżał z Kaszub do Gdańska. Mieszkaliśmy na kupie, jak jakieś plemię, ale było pięknie.

Pamiętasz muzykę w domu?

Bardziej książki. Mój ojciec i starszy brat wciągali literaturę. Ja jako dzieciak miałem totalny odjazd, żeby grać na pianinie. Nasz pokój był jednak za mały. Cierpiełem straszliwie z tego powodu i ostatecznie wymusiłem na rodzicach, żeby zapisali mnie na lekcje muzyki. Chodziłem grać do wspaniałego człowieka, profesora z prawdziwego zdarzenia. Nazywał się Rakowski – przeżył obóz koncentracyjny, jeździł na wózku inwalidzkim i palił hurtowo papierosy w szklanej lufce. Żeby się u niego uczyć, musiałem przejść casting, podczas którego sprawdził, czy mam słuch i poczucie rytmu. Nie przyjmował każdego. Dużo rozmawialiśmy, oglądaliśmy razem Wyścig Pokoju. Uczył mnie gry na akordeonie, czytania nut, a nawet trochę mnie podszkolił na tym pianinie.

Rodzicom zależało, żebyś rozwijał się w tym kierunku?

Wiedzieli, że mam dryg. A poza tym... z natury byłem bardzo porywczy i już wtedy dużo łobuzowałem. Rodzice musieli więc uznać, że będzie lepiej, jeśli zajmę się muzyką, a nie chuliganerką. W połowie lat 70. takie lekcje to musiał być duży wydatek, poświęcenie. Jestem im za to bardzo wdzięczny.

Piosenki, które pisałeś przez lata z zespołem Kobiety czy solo, wcale nie są chuligańskie.

Mój wieloletni przyjaciel Olaf Deriglasoff często powtarza, że ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jakim byłem zwierzęciem. Przez długie lata miałem w sobie silny destrukcyjny element. A może nawet autodestrukcyjny? Sam raczej nie zaczynałem, ale jak się mnie czepiali, to reagowałem i nawet lubiłem oberwać. W czasie, kiedy zakładaliśmy Kobiety, to jest pod koniec lat 90., powoli zaczynałem





GRZEGORZ NAWROCKI

jest gitarzystą, wokalistą i autorem tekstów. Kluczowa postać trójmiejskiej sceny alternatywnej. Twórca i wieloletni lider rockowej grupy Kobiety, z którą nagrał pięć dobrze przyjętych albumów. Można go usłyszeć także na płytach Kur, Yugotonu i Olo Walicki Kaszëbë. W grudniu 2022 r. ukazała się jego solowa płyta „Moja mama ma depresję i siedem innych piosenek o miłości”.

LUKASZ SUPRUN / MATERIAŁY PRASOWE

się z tego bagienka wydobywać. Powoli się uczłowieczałem.

„Marcello”, „Pozwól sobie”, „Łajka”, „Bohater gorących romansów” – to wszystko utwory ciepłe, subtelne, pełne delikatności.

Być może właśnie dlatego, że dorastałem w takim środowisku, gdzie bójkę były na porządku dziennym. Moi koledzy z podwórka byli brutalni i często pochodzili z patologicznych rodzin. Nie musiałem potwierdzać swojego męstwa mocną, agresywną muzyką. Raczej śmieszyły mnie polskie zespoły z lat 90.: kocznie bródki, przepocone flanelowe koszule – nie gustowałem w męskiej szatni. Ponieważ w podstawówce trenowałem judo i chodziłem do szkoły sportowej, aż za dobrze znałem zapach testosteronu. Estetycznie to było dla mnie nieznośne.

Z drugiej strony taki rodzaj ekspresji zawsze miał liczne grono odbiorców. Kobiety od początku były przede wszystkim

ulubionym zespołem dziennikarzy działów kulturalnych.

Śpiewaliście o Fellinim, do tego – wpadające w ucho melodie.

Przestałem się doszukiwać przyczyn, dlaczego z Kobietami nie osiągnęliśmy większego sukcesu. Nigdy nie będę tego wiedział... i może dobrze. Ale nie żałuję. Oczywiście, wchodziłem w dorosłość z pewnym mitem rock’n’rollowca: chciałem być piękny, zdolny, bogaty i podbić świat, jak Jim Morrison. Przez kilka lat się nawet na to nabierałem. Na szczęście później zrozumiałem, że nie jestem tak przystojny i zdolny, pogoń za sławą jest dość żenująca, a ludzie, których poznałem w branży, mieli zupełnie inne priorytety niż ja. Odczarowanie przyniosło mi niewyobrażalną ulgę. Teraz inaczej pojmuję tworzenie muzyki, uprawianie sztuki.

Czyli jak?

Jednym z moich idoli jest Paweł Alt-hamer. Nie znam go osobiście, ale to jest gość, który otworzył mi czaszkę. Dotarło do mnie, że można uprawiać sztukę jak rolnik uprawia ziemię. Można bratać się z ludźmi, stwarzać więzi społeczne. Codzienne czynności mogą stać się formą spełnienia. Chcę robić to bezceremonialnie, z potrzeby serca.

Jak mama?

Ona nawet kiedy podawała nam mielonego z ziemniakami, starała się nadać temu daniu jakąś estetyczną formę, może i kiczowatą, ale dla niej piękną. Gdyż uprawianie sztuki – nieważne czy masz rozbuchaną wystawę w hipsterskiej galerii, czy pomalujesz garnek – mamy wpisane na twardym dysku jako pierwotną potrzebę. Wydaje mi się, że kapitalizm nam to odebrał, wmawiając, że mogą się tym zajmować jedynie ci najbardziej uzdolnieni, najpiękniejsi. Bo wtedy to się może opłacać.

Rodzice śledzili Twoją muzyczną drogę?

Mama bardzo się cieszyła, kiedy piosenki Kobiet pojawiały się w radiu. Była wzruszona i dumna, kiedy transmitowano nasze koncerty. Teraz mój brat puszcza jej czasami teledyski i mówi, że to ja, jej syn. Ponoć mama czasem się uśmiechnie. Zaświecą jej się oczy, ale nic więcej.

Kiedy zachorowała?

W 2011 r., zaraz po śmierci mojego taty. Wydawało mi się wtedy, że będzie mogła się wreszcie zająć sobą i spokojnie sobie pożyć, ale momentalnie wpadła w depresję. Nie mogłem nic z tym zrobić i ta bezradność kompletnie mnie wykańczała. Oczywiście, podejmowałem różne próby. Przede wszystkim spędzaliśmy ze sobą więcej czasu. Jeździliśmy na Kaszuby. Pisałem tam pracę licencjacką z filozofii, a mama uprawiała ogród albo ćwiczyła jogę. Tak miały nam tygodnie. Czuła się trochę lepiej, kiedy nie była sama. Bo jak umarł ojciec, życie nagle straciło dla niej sens. Niedługo potem zaczęła się demencja.

Pamiętasz, jak się to zaczęło?

Tak, to był rozwalający moment. Zawiozłem ją do domu z tych Kaszub i podrzuciłem pod blok. Poczekaliśmy chwilę w samochodzie i zobaczyłem, że ona nie

→ może wejść do środka, nie pamięta kodu do domofonu. Kiedy do niej podszedłem, trzymała klucze w ręce i powtarzała zdenerwowana: „gdzie są klucze, gdzie są klucze, gdzie są klucze?!”. Mocne przeżycie. Pamiętam też, jak trudne było tłumaczenie innym, że coś jest nie tak. Wiele osób nie wierzyło, że mama zaczyna chorować. Mówili, że to pewnie stres. A ja wiedziałem, że to już nie jest tylko depresja. Udało mi się zapisać ją do psychiatry. Bardzo nie lubiła tych wizyt, były dla niej dość wstydlive. Może zostało jej to po moich doświadczeniach? Jako nastolatek wyładowałem na pół roku w szpitalu psychiatrycznym. Chciałem sobie załatwić kategorię E, ale trochę przesadziłem.

Jak?

Próbując uniknąć wojska, zrobiłem sobie realną krzywdę. Dostałem instrukcję od starszych kolegów, co trzeba zrobić, żeby nie pójść do wojska. Już w wieku szesnastu lat zacząłem więc chodzić do psychologa, a w tamtych czasach to oznaczało, że jesteś kompletnie stuknięty. Dostawałem jakieś zwolnienia i myślałem, że to wystarczy, żeby mnie nie wzięli. Okazało się jednak, że w moim roczniku to już tak nie działa. Aby dostać kategorię E, musiałem mieć potwierdzony pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Trafiłem tam, kiedy miałem 17 lat. Na szczęście na oddział dzienny, bo byłem młody. Wszyscy mi mówili: „Wyolbrzymiaj, co przeżywasz, to wtedy nie wpadniesz na kłamstwie”. Miałem zdiagnozowane coś w rodzaju choroby dwubiegunowej i w rezultacie pobytu ten stan bardzo się pogłębił. Wyszedłem ze szpitala tuż przed osiemnastymi urodzinami, zostałem zwolniony ze służby wojskowej, ale byłem wrakiem.

Co było najtrudniejsze w momencie, w którym zachorowała mama?

Jeżeli ktoś tego nie zna, nie przeżywa, to nie jesteś w stanie się tym podzielić. No bo co możesz powiedzieć? Pchają się nam do oczu osiedla dla klasy średniej i eleganckie kawiarnie. Kredyty i spotkania w galeriach handlowych. Nowe samochody i bajeranckie wózki dziecięce. Ale świata starszych ludzi, domów opieki, hospicjów i zakładów pogrzebowych jakby w ogóle nie było. Totalny *underground*. Starsi ludzie są *passé*, są jedynie dobrymi klientami przemysłu farmakologicznego. Siedzą sami w domach albo w ja-

Bardzo się cieszyła, kiedy piosenki Kobiet pojawiały się w radiu.

Była wzruszona i dumna. Teraz brat puszcza jej nasze teledyski i mówi, że to ja, jej syn. Ponoć mama czasem się uśmiechnie. Zaświecą jej się oczy, ale nic więcej.

kichś ośrodkach, szpitalach, umierają. Po co to komu?

Myśleliście z bratem o takich miejscach?

Na początku próbowaliśmy jakoś mobilizować mamę, żeby wybrała się czasem do klubu seniora, spędzała czas z ludźmi. Potem, kiedy pojawiła się demencja, myśleliśmy o jakimś miejscu, do którego moglibyśmy ją codziennie zawozić. Nie tak na stałe, ale żeby spędzała tam trochę czasu, miała ciut inny krajobraz. Ona jednak wykazywała duży opór, nie chciała nigdzie wychodzić. Inna sprawa, że takich miejsc nie ma zbyt wiele. Kiedyś poszliśmy z bratem do takiego państwowego, dziennego domu opieki, żeby zrobić mały wywiad... Cóż, nie wyglądało to nazbyt dobrze. W tej chwili mój brat mieszka z mamą i się nią opiekuje. Staram się go w tym wspierać, ale to on jest z nią na co dzień, karmi i pielęgnuje. O takich rzeczach się prawie w ogóle nie mówi, w przestrzeni publicznej to niewygodny temat. Był taki gość, który rzucił pracę, żeby zajmować się rodzicami...

Marcel Velez – były wicedyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

No właśnie, spróbował wydobyć ten temat na światło dzienne, ale media szybko się znudziły. To nie jest sexy, te problemy nie są atrakcyjne. Żeby o depresji, o chorobie Alzheimera śpiewać piosenki? Kiedy po raz pierwszy puściłem „Moja mama ma depresję” kilku bliskim mi osobom, zupełnie ich zamurowało. Stwierdzili, że koniecznie powinienem coś z tym zrobić. Prawdę mówiąc, byłem tą reakcją zdziwiony.

„Moja mama ma depresję / żyć się jej już dłużej nie chce” – takimi słowami zaczyna się ta piosenka. A jednak jest w niej tyle samo smutku i bólu, co ciepła i miłości. W refrenie wspominasz, jak karmiła Cię „swoją wielką, czutą piersią”. Montaż jak z Felliniego.

Fellini, którego filmy namiętnie oglądałem w kinie Delfin – śpiewam o nim w utworze „Marcello”, to było rzeczywiście duże przeżycie. W tamtych czasach zobaczenie pisma pornograficznego rozwalalo psyche na wieki. Zanim jednak starsi koledzy wprowadzili mnie w świat niemieckich świerszczyków, miałem już za sobą kilka filmów Felliniego. Nie były przecież pornograficzne. Cały ten seks, namiętność i chuć przedstawiały w bardzo poetycki sposób. Obcowanie z taką sztuką sprawiło, że stałem się ciut lepszy. A co do smutku, to po pierwsze nie chciałem, żeby ta płyta nazywała się jak piosenka „Moja mama ma depresję”. Tytuł dopełniłem słowami: „i siedem innych piosenek o miłości”. Według mnie to nie są dołujące utwory. Na pewno nie taki był mój zamiar. To są piosenki podszyte miłością, nie tylko romantyczną.

Jak powstawała ta piosenka? Czy proces jej pisania pozwolił poukładać w głowie te trudne sprawy?

Miliardy impresji gromadzą się w tajemniczych magazynach naszych umysłów. Kiedy system się rozpieprza, kiedy bliska osoba cię już nie poznaje i nie może cię połączyć z miejscami, zdarzeniami z przeszłości, to poukładanie sobie tych spraw nie jest rzeczą prostą.

O czym myślałeś, kiedy wybierałeś te obrazy?

Słowa wylały się ze mnie podczas brzdąkania na gitarze. Nie miałem nad tym kontroli. Przez głowę przelatywały mi nieruchome obrazki, krótkie filmiki, zdarzenia. Migające momenty, odtwarzane z twardego dysku podświadomości, iskry wspólnych przeżyć. Moja pamięć operacyjna jeszcze funkcjonuje, jej już raczej nie. Fizycznie przebywamy ze sobą w jednym pokoju, ale są to światy równoległe. Tak wygląda nasze życie z mamą. Tyle się w nim zdarzyło! Może dlatego, że jesteśmy tylko chwilowym zjawiskiem, jest to tak piękne i bolesne zarazem. © Rozmawiał JAN BŁASZCZAK



ARCHIWUM SIERGIEJA LINEWYCZA / ARCHIWUM VEHA

Krasynicze, rejon Gancewicki, obwód brzeski, 1977-78 r. Archiwum Siergieja Linewycza

Kim jest ten las

URSZULA PIECZEK, MACIEJ TOPOLSKI

Tereny Białorusi są zajęte w znacznej części przez puszcze – niezamieszkałe. Ale to one stanowią oparcie dla tożsamości.

TWÓRCZYNIĘ KSIĄŻKI „LUDZIE LASU”, zajmujące się opracowywaniem białoruskich rodzinnych archiwów fotograficznych w ramach projektu VEHA, przekonują, że tamtejsza puszcza pozostaje – mimo dokonanych przez człowieka spustoszeń – przeciwieństwem pustki. Las wypełnia pole widzenia Białorusinów i Białorusinek, to w nim zakorzeniła się białoruska tożsamość, zapisała się wschodnioeuropejska historia, znalazły schronienie zwierzęta, ukrywają się ludzie.

Budowanie wspólnoty

Fotografia wykonana w rejonie smolewickim (obwód miński) w 1963 r.

przedstawia mężczyznę, Georgija Mazajskiego, stojącego profilem do obiektywu, pośród drzew i w snopie światła, które przedziera się pasmami przez gałęzie i wyławia z ciemności pojedyncze liście, drobne igły, wysokie krzewy, czapkę z daszkiem, zarys twarzy, plecy. Jest to jedno z tych zdjęć, które realnie oddziałuje na to, w jaki sposób widzimy rzeczywistość. Ukazuje las nie jako tło dla ludzkich zachowań, nie jako kontekst, w którym człowiek się pojawia, nie jako nieistotną płataninę elementów, lecz jako żyjący, różnorodny, połączony skomplikowanymi sieciami organizm.

Na fotografii z 1957 r. widać to jeszcze lepiej. Uśmiechnięta dziewczyna w białej

bluzce i spódnicy z nierozpoznawalnym geometrycznym wzorem oplata ramionami wysokie, bezlistne drzewo. W tej scenie tłum drzew na drugim planie, gęsta roślinność wokół, podszycie, ciemność w głębi – ustawiają się do zdjęcia razem z kobietą. Las pozuje – oddycha, żyje, rozwija się, czuje – wraz z człowiekiem. I nie mieści się w kadrze.

„Ludzie lasu” to czwarta książka z archiwum VEHA. Na trzy poprzednie składają się kolekcje XX-wiecznych fotografii Białorusinek i Białorusinów na tle tkanych dywanów, zdjęć z pogrzebów oraz z wieczorów panieńskich i ceremonii zaślubin. Kuratorką i pomysłodawczynią projektu archiwum jest Łesia Pczółka, białoruska artystka interdyscyplinarna, która w związku z udziałem w protestach w 2020 r., a także ich dokumentowaniem i fotografowaniem, musiała opuścić Białoruś, nie chcąc paść ofiarą reżimu Łukaszenki. Artystka od 2017 r. kontynuuje projekt archiwum VEHA wraz z socjologką Lidzią Martynowycz oraz badaczką i bibliofilką Anastasią Walkowicz.

Twórczyniom archiwum, co potwierdzają wydane publikacje, chodzi



ARCHIWUM STANISŁAWA NAJDOWICZA / ARCHIWUM VEHA

Emma Lipień ur. Czerwień, rejon Czerwieński, obwód miński, 1957 r.



ARCHIWUM MUZEUM HOMELSKIEGO ZESPÓŁU PAŁACOWO-PARKOWEGO / ARCHIWUM VEHA

Szef sztabu homelskiej jednostki partyzanckiej Emeljan Ignatowicz Barykin, 2 listopada 1943 r.



ARCHIWUM EVELINY BYLICH / ARCHIWUM VEHA

*Kristina Bylich (Sidarowicz), rejon borysowski, obwód miński, 1980 r.
Archiwum Eweliny Bylich*

→ przede wszystkim o budowanie wspólnoty, partycypację i znalezienie języka wizualnego, który posłuży do opowiedzenia tożsamości białoruskiej, odrębnej od tej, którą narzuca dyktatura łukaszenkowska. Badaczki, zapraszając do udziału w projekcie osoby prywatne, poszukują w kolekcjach rodzinnych fotografii i w amatorskich albumach odpowiedzi na pytanie: „kim jako Białorusini jesteśmy i czym jest dla nas doświadczenie wspólnoty?”

Lidzia Martynowycz w esej „Białoruski las jako krajobraz kulturowy” stwierdza, że kolejne pokolenia Białorusinów dzielą to samo pragnienie „bycia pośród drzew”, włączenia się w leśne społeczeństwo tworzone przez mnogie, połączone ze sobą, pełne życia obiekty. Las według badaczki stanowi nie tylko odrębny, niezależny ekosystem, ale jest też obiektem kulturowym „wypełnionym znaczeniami, wartościami i symbolami”, obejmuje ludzi, którzy go zmieniają, korzystają z jego zasobów, o którym śpiewają i który darzą miłością. „Las – kontynuuje Martynowycz – posiada swoją historię, mitologię i wygląd, który zmienia się wraz z pokoleniami Białorusinów żyją-

cych z nim w interakcji”. Wtedy las jawi się na zdjęciach jako przestrzeń spokoju, odpoczynku i szczęścia, ludzie jako umiejętnie korzystający z leśnych dóbr, flora jako bogata, hojna i piękna.

Pełen zniknięć

W tej publikacji kolor obecny jest wyłącznie na obwolucie i na kilku ujęciach. Przygotowane do wywózki bale zostały zaślepione w miejscach, w których powinniśmy dostrzec słoje. Nie dowiemy się, ile lat przeżyły drzewa. Po czternaśtu zubrzych stojących w zagajniku pozostały jedynie zielone kontury. Kolor w przypadku tych zdjęć niczego nie dodaje. Albo jest dodatkiem, który coś nam zabiera, przesłania, zwraca uwagę na mający nadejść brak.

Z roku na rok na świecie maleją tereny zalesione. Ludzie przez swoją działalność stają się – jak mawiają ekolodzy – agentami wprowadzającymi w przestrzeń leśną niepokój, zakłócenie i brak. „Agenci niepokoju” zmienili białoruski las. Uładzimir Hramowicz w esej „Las-obronca, las-wróg” zwraca uwagę na podwójną naturę lasu w kontekście podejmowanych w XX wieku działań zbrojnych – las był

schronieniem dla białoruskich partyzantów i ruchu oporu, ale mógł też stanowić zagrożenie.

Potwierdzają to fotografie pisarza Alesia Adamowicza zrobione w tym samym roku, w którym oddziały partyzanckie na dobre opuszczały las. Oglądamy też kilka zdjęć przedstawiających Elema Klimowa i Alesia Adamowicza na planie filmu „Idź i patrz” (1985), opowiadającego o 16-letnim Florze, który wbrew sprzeciwowi matki postanawia w 1943 r. wstąpić do białoruskiej partyzantki. Jego przepustką jest znaleziony w lesie karabin. Jednocześnie na jedynym zachowanym zdjęciu partyzantów – pochodzącym z czasopiśma „Literatura i Sztuka” z 1967 r. – broń jest niewidoczna. Autor fotografii zanotował, że któryś z partyzantów poprosił kolegów, żeby usunęli broń z kadru, ponieważ chciał to zdjęcie pokazać mamie. W „Ludziach lasu” broń pojawia się tylko na fotografiach z polowań.

Kolekcja kończy się ujęciami z początku lat 80. W 1986 r. po wybuchu w elektrowni jądrowej w Czarnobylu znaczenie białoruskiego lasu zmienia się

diametralnie – poleskie mokradła przeobraziły się w stanowiący zagrożenie Poleski Państwowy Rezerwat Radiacyjno-Ekologiczny (rozsiewający się obecnie na około 217 tys. hektarów). Z roku na rok las na Wschodzie tracił swój wspólnotowy charakter, stając się źródłem lukratywnych biznesów reżimu i polem eksploatacji. Białoruskie drewno okazało się walutą dyktatora, który – mimo nałożonych w wyniku wojny w Ukrainie sankcji – eksportuje je na Zachód.

Dzisiaj las na granicy polsko-białoruskiej ma twarz uchodźcy. I cichej śmierci.

Tylko kontury

Na pierwszej stronie okładki „Ludzi lasu” zostało zamieszczone zdjęcie pochodzące z lat 30. ubiegłego wieku, wykonane na Polesiu. Przedstawia kobietę ubraną w czarną sukienkę w białe grochy, lekko uśmiechniętą, marszczącą czoło, z nogami założonymi jedna na drugą, obok niej leży pusty, wypłcony koszyczek. Sfotografowana przez Jakuba Chomętowskiego kobieta siedzi pod okazałym drzewem, którego pień rozdzieliła się, a jedna

z jego części wygląda niczym wygięta w łuk ręka, która chce czegoś dotknąć. Na czwartej stronie okładki to zdjęcie pojawia się ponownie, postać kobiety jednak wycięto, pozostał po niej tylko zielony kontur. Bo białoruski las przemienia się z wolna w przestrzeń pustą. Pozbawiona kreatywności siły, wypełniona w coraz większym stopniu nieobecnością, jawi się jako miejsce niebezpieczne, niedające schronienia i wrogie.

Propozycja stworzenia nowej białoruskiej wspólnoty, z jaką wychodzą twórczynie archiwum VEHA, stanowi odpowiedź na ten postępujący proces destrukcji lasu, a więc i społeczności ludzkiej, która z bycia wśród drzew czerpała życiodajną energię i niezależność. Zakorzeniona w przeszłości, która zachowała się z dala od oczu władzy, w rodzinnych archiwach fotograficznych.

© URSZULA PIECZEK, MACIEJ TOPOLSKI

Людзі Лесу / **PEOPLE OF THE FOREST**

Wydawca Petit sk. Lublin na zlecenie archiwum VEHA,

Lublin 2022

REKLAMA

1,5%

CZERWONE NOSKI
KŁOWN W SZPITALU

Wspieramy dzieci
w trakcie leczenia w szpitalu.
Łagodzimy stres, lęk i przynosimy uśmiech.

KRS: 0000428469

Przekaz
1,5 %

www.czerwononoski.pl

Czarny kwadrat

ANITA PIOTROWSKA

Aronofsky epatuje niepełnosprawnością swego bohatera, ale tak naprawdę chodzi mu o akt przebóstwienia. To zabieg, który jedynie aktorstwo wielkiego formatu mogło uratować przed nadużyciem. I ratuje.

NA JEDNYM Z PLAKATÓW DO „WIELORYBA” twarz Brendana Frasera, czyli aktora grającego tytułową rolę, zatraciła kontury i rozlewa się na cały kadr. Inny poster przedstawia złotą rybkę uwięzioną w zbyt ciasnym naczyniu. Który z tych obrazów mówi nam o filmie całą prawdę? Bo z pewnością patronuje mu litera „e”, ta od emocji. Ile w nich empatii, ile zaś eksploatacji – tu widownia i krytyka są skrajnie podzielone, co bywa częste w przypadku filmów Darrena Aronofsky’ego, genialnego specjalisty od manipulacji i nadmiaru. Ale też od wyciągania ze swoich aktorów maksimum możliwości.

Zamknięty w czterech ścianach monstrialnie otyły mężczyzna zajmuje tu nie tylko prawie całą przestrzeń, lecz i sto procent czasu ekranowego. Adaptując sztukę Samuela D. Huntera, wiedział Aronofsky, jak ją „ufilmować”. Cieleśność bohatera, rozumiana jako uwięzienie we własnym cielesnym, poprzez zbliżenia kamery Matthew Libatique’a staje się dla widza testem wrażliwości. Albo estetyczno-etycznym szantazem, bo trudno przyznać się przed sobą do podglądactwa i tym bardziej do wstrętu,

jaki wzbudza przykuty do kanapy, sapiący, mlaszczący, spocony mężczyzna w średnim wieku. Jednakże film i aktor robią wszystko, by najpierw przyłapać nas na tak brzydkich odczuciach, a następnie, by na przekór nim rozbudzić współczucie wobec Charliego.

Bo to my mamy się wstydzić, a nie bohater, kiedy prowadząc kursy kreatywnego pisania online, za każdym razem wyłącza kamerkę i chowa się za czarnym kwadratem. Żyjemy wszak w kulturze, gdzie otyłość, bez względu na jej przyczyny, po cichu wyszydza się i piętnuje, czego nie jest w stanie zmienić żadna moda na ciałopozytywność. Tymczasem chorobliwa nadwaga Charliego stanowi dlań śmiertelne zagrożenie. Okazuje się, że pochłaniając tony śmieciowego jedzenia bohater próbuje „zajadać” rozpacz po śmierci ukochanego. I mimo poważnej niewydolności serca odmawia pójścia do szpitala. Nie posiada bowiem ubezpieczenia zdrowotnego, a oszczędności zamierza przeznaczyć na zupełnie inny cel. Charlie postanawia złożyć siebie samego w ofierze.

Pomijając anonimowego dostawcę pizzy, przed którym bohater także się ukrywa, na małej scenie mieszkania Charliego zjawiają się co chwila ważne dlań postacie: oddana opiekunka (Hong Chau), dawno niewidziana córka (Sadie Sink) i młody mormoński domokrążca (Ty Simpkins). Podczas gdy ta pierwsza zapewnia choremu bezpośrednią pomoc, a ostatni uosabia złudę pomocy duchowej

czy raczej obłudę życia religijnego, nastoletnia Ellie spełnia rolę budzicielki sumienia. Porzucenie jej przed laty również zyskuje w „Wielorybie” wymiar ofiarny. Owa tęsknota za czymś większym niż zdegradowana doczesność znajduje wyraz już w tytule, który nawiązuje tyleż do budzącej niesmak „góry tłuszczu”, co do „Moby Dicka” i wielu jego biblijnych konotacji. Zresztą scenariusz Huntera nieustannie krąży wokół powieści Hermana Melville’a – i nie tylko dlatego, że Charlie był kiedyś, w lepszych czasach, wykładowcą literatury.

Gdy więc Aronofsky epatuje fizycznością i niepełnosprawnością swego bohatera, w owym ostentacyjnym sponiewieraniu raz jeszcze chodzi mu o akt przebóstwienia. Cóż za ryzykowny zabieg, który jedynie aktorstwo wielkiego formatu mogło uratować przed nadużyciem. I ratuje. Nie chodzi jednak o to, że Fraser, słyszący ongiś ze sportowej sylwetki, „po hollywoodzku” poświęca się dla tej roli, dzwigając na sobie specjalny silikonowy kostium. Ten akurat aspekt bywa piętnowany jako mimowolna karykatura otyłości. Krytykujący ignorują nawet fakt, iż aktor sam się z nią kiedyś zmagał, podobnie jak i z depresją. Najważniejsze, że ciało przed kamerą, mimo sztucznego naddatku, nie kłamie, i że twarz, mimo pokładów wewnętrznego bólu, stara się unikać nadekspresji, co najwyżej zastygając w przeprasającym uśmiechu. Trudniej natomiast wybaczyć chorobliwą nadmiarowość w sposobie przedstawiania,

MATERIAŁY PRASOWE A24 FILMS



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl



WIELORYB

(„The Whale”)

– reż. Darren Aronofsky.

Prod. USA 2022. Dystryb.

Monolith Films.

W kinach od 17 lutego.

Darren Aronofsky (ur. 1969) to jeden z bardziej wyrazistych twórców amerykańskich. Zadebiutował niskobudżetowym filmem „Pi” (1998), nagrodzonym za reżyserię na festiwalu Sundance. Kolejne tytuły: „Requiem dla snu”, „Zapaśnik”, „Czarny łabędź” czy „Mother!” też przyniosły mu nagrody, lecz wywoływały kontrowersje ze względu na skłonność reżysera do ekscesu, zarówno w treści, jak i formie.

Powycię: Brendan Fraser

która na deskach sceny, wzięta w ramy teatralnej umowności, zapewne by tak nie raziła. Zwłaszcza że reżyser zachowuje ową teatralność – kameralny klimat, podział na „akty” i przypisanie określonej funkcji do każdej z drugoplanowych postaci. Lecz skłębienie rozmaitych form męczeństwa związanych z nadwagą, nieheteronormatywnością i skrzywdzeniem przez Kościół zdaje się rozsądzać ciasny filmowy kadr mocniej nawet niż fizyczność bohatera, nie mówiąc o finałowej apoteozie. Za mało tutaj miejsca na tak wysokie tony.

Dlatego nie dziwi fakt, iż nominacje do Oscarów dostali jedynie aktorzy (Fraser, Chau) i ekipa charakteryzatorska. Bez tego trudniej byłoby uwierzyć w opowieść o straceńczym byciu ku śmierci i ukrytej za tym mesjańskiej postawie. Objadanie się przez bohatera potraktowano w „Wielorybie” dość instrumentalnie. Otyłość, jedna z chorób naszych czasów, często wyrosła z zaburzeń odżywiania o podłożu psychicznym, u Aronofsky’ego staje się synonimem poczucia winy, kary za stare grzechy, symbolem totalnego upadku bohatera, z którego podnieść może go wyłącznie nadludzkie samopoświęcenie. Dzięki niemu pozostali bohaterowie również doświadczają „odkupienia” i przeszłość każdemu z nich zostaje wybaczona. Cena za przywrócenie porządku musi być bowiem ostateczna. Dzięki temu i my możemy przez chwilę poczuć się lepiej: wszak zdążyliśmy zobaczyć w „wielorybie” człowieka, w dodatku cierpiącego za i dla innych.

Prawdziwy humanizm tego filmu ujawnia się w czymś zgoła odmiennym, daleko od literalnie wyrażonej transcendencji. Przede wszystkim w świetnie zainscenizowanym poczuciu ograniczenia: (samo)izolacji, zamknięcia, unieruchomienia, osamotnienia, całkowitego zdania się na zewnętrzną pomoc. I nie trzeba pandemii, żeby zrozumieć takie doświadczenie; wcześniej czy później może być udziałem każdego z nas. I choć „Wieloryb” to grubo szyty film o ostatniej szansie na symboliczne wyjście z dożywotniej kwarantanny lub o nadawaniu sensu marnemu życiu, sugeruje też, jak niewiele trzeba, by w takiego „wieloryba” się przemienić. Wystarczy ostry zakręt i spalanie za sobą wszystkich mostów. Bardziej niż metafizyczne oczyszczenia i pocieszenia działa więc w tym filmie to, co do końca nie zostało pokazane i powiedziane. Co nie zamienia ekranu w pokazowe akwarium, wypełnione gargantuicznym, bezbronny i obcym ciałem. ©

Lektor: Żywa obecność



■ Jerzy Jedlicki

HISTORIA A ŚWIAT WARTOŚCI. WYBÓR ESEJÓW

Wstęp Maciej Janowski.

Biblioteka „Więzi”,

Warszawa 2022, ss. 416.

BYŁ UOSOBNIENIEM ZDYSTANSOWANEJ MĄDROŚCI ORAZ inteligentnego etosu, umysłem otwartym i niezależnym. Pracę naukową łączył z zaangażowaniem w sprawy publiczne – wcześniej pozbył się złudzeń co do komunizmu, w latach 70. włączył się w działalność opozycyjną i prowadził nieoficjalne domowe seminarium, w wolnej Polsce należał do założycieli stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita. Świetny historyk idei i życia społecznego, był też świetnym pisarzem.

„Mistrzostwo historycznego eseju – pisze teraz Maciej Janowski, uczeń Jedlickiego i współautor z nim oraz Magdaleną Micińską trzatomowych „Dziejów inteligencji polskiej do roku 1918” – polega na tym, aby znaleźć miarę między szczegółem a ogółem; panować nad faktami w ten sposób, aby fakty nie były chaosem niczym nie uzasadnionym, ale argumentami niezbędnymi do przeprowadzenia rozumowania. Dopiero wtedy, kiedy zarysowana jest już jakaś konstrukcja faktograficzna, można przedstawiać czytelnikowi alternatywy, zapraszać go do wspólnego zastanowienia się nad problemami. Takiego eseju był Jedlicki mistrzem”.

Jerzy Jedlicki (1930–2018) opublikował tylko kilka książek, wszystkie jednak ważne. Zwłaszcza ta najważniejsza, „Jakie cywilizacji Polacy potrzebują” (1988), opowiadająca o XIX-wiecznych debatach wokół nowoczesności, warta jest dzisiaj ponownej lektury...

Wybór eseju obecnie wydany obejmuje teksty pisane na przestrzeni kilkudziesięciu lat, od refleksji po lekturze klasycznej pracy Stanisława Ossowskiego „O osobliwościach nauk społecznych” (1963) i bardzo wtedy głośnych „Rodowodów niepokornych” Bohdana Cywińskiego (1972) po publikowane w pierwszej dekadzie tego stulecia na łamach „Gazety Wyborczej” artykuły „Inteligencja sama się wymyśla”, „Przedwczesny pogrzeb inteligencji” i „Bezradność” (o poznawczym przełomie w kwestii poznania relacji polsko-żydowskich). Są „Oblicza natywizmu” (1978, drukowane w oparciu o maszynopis z archiwum) – rzecz o Ameryce, po Trumpie brzmiąca dziwnie świeżo. „Dziedzictwo i odpowiedzialność zbiorowa” (1987), z polemiczną głosem Stefana Amsterdamskiego i dopisanym kilka lat później autorskim komentarzem, oraz „O pamięci zbiorowej” (1997) – także, muszę powtórzyć, aktualne. I jeszcze portrety – Witolda Kuły, Jana Józefa Lipskiego, Andrzeja Walickiego, Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczki i Tadeusza Mazowieckiego. Ta książka żyje. ©©

Maciej Stuhr

czyta baśnie w „Tygodniku”



**Chcesz otrzymać wydanie płytowe?
Spiesz się! Zamówienia przyjmujemy
tylko do czwartku 16 lutego!**

„Słuchowisko Daleko i Blisko” powstało dzięki współpracy wielu osób – oto pozostali Twórcy:
Adaptacja: Katarzyna Jackowska-Enemu
Akordeon: Paweł Baranek (Motion Trio)
Muzyka i dźwięk: Michał Gorczyca, Jacek Harędziński
Tłumaczenia: Iwona Boruszkowska
Oprawa graficzna: Marta Podolska
Produkcja: Karolina Bisping-Adamik



PARTNER WYDANIA: **fine.ngo**

„Słuchowisko Daleko i Blisko. Baśnie i Legendy Ukraińskie” jest płytowym wydaniem bajek, baśni i opowieści ukraińskich, czytanych przez Macieja Stuhra. Zabierz swoich Bliskich w podróż dźwiękową pełną niesamowitych historii.

Płytę otrzymają wszyscy Prenumeratorki wydania drukowanego „Tygodnika Powszechnego” wraz z wydaniem nr 9/23 z 22 lutego w ramach współpracy z Fundacją Fine.ngo i Unicef.

Nie prenumerujesz? Spiesz się!
Zamów dowolną prenumeratę naszego pisma do 16 lutego, byśmy zdążyli przygotować wysyłkę płyty.

Jest już po czasie? Prosimy o kontakt z Mateuszem Chmielowskim chmielowski@TygodnikPowszechny.pl – spróbujemy dosłać egzemplarz płyty z zasobów archiwalnych.

Wydanie płytowe dostępne tylko z prenumeratą wydania drukowanego „Tygodnika Powszechnego”.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY
SALES i **Imanago**
marketing automation



fine.ngo

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Margaret Atwood
Thomas Bernhard
Jorge Luis Borges
Andrea Camilleri
Martín Caparrós
Emmanuel Carrère
Lars Saabye Christensen

T.S. Eliot
Oriana Fallaci
Niall Ferguson
Richard Flanagan
William Golding
Georgi Gospodinow
Yuval Noah Harari

Marlon James
Karl Ove Knausgård
Doris Lessing
Jonathan Littel

Maja Lunde
Claudio Magris
Cormac McCarthy

Alice Munro
Orhan Pamuk
Wiktor Pielewin

Sylvia Plath
Thomas Pynchon
Marieke Lucas Rijneveld

Philip Roth
Kristina Sabaliauskaitė

Elif Shafak
Isaac Bashevis Singer
Virginia Woolf

Stanisław Barańczak
Władysław Bartoszewski
Zygmunt Bauman

Jan Błoński

Andrzej Bobkowski
Jacek Dukaj

Julia Fiedorczuk
Michał Głowiński

Julia Hartwig

Józef Hen

Maciej Hen

Józefa Hennelowa
Zbigniew Herbert
Gustaw Herling-Grudziński

Maria Janion

Ignacy Karpowicz

Hanna Krall

Stanisław Lem

Ewa Lipska

Henryk Markiewicz
Dorota Masłowska

Czesław Miłosz

Sławomir Mrożek
JERZY PILCH

Marian Pilot

Halina Poświatowska
Tadeusz Różewicz

Jerzy Sosnowski

Jan Józef Szczepański
Wisława Szymborska

Olga Tokarczuk

Szczepan Twardoch
Jan Twardowski

Karol Wojtyła

Adam Zagajewski

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 08/2023



**Wydawnictwo
Literackie**
od 1953

i inni



Siedziba Wydawnictwa Literackiego w Krakowie

P. KRZĄN / MATERIAŁY PRASOWE

70 lat Wydawnictwa Literackiego

1953-1963

Wyborem wierszy Adama Asnyka inauguruje działalność Wydawnictwo Literackie. I choć to nie liryka będzie głównym profilem wydawcy, kilkorgu potem pozostanie WL wiernie przez kolejne dekady. Publikują tu m.in.: Jalu Kurek, Anna Świrszczyńska, Ludwik Jerzy Kern, Jerzy Ficowski, Jerzy Harasymowicz. Literackie ma też oczywiście swoich prozaików: Brunona Schulza, Kornela Filipowicza, Jana Józefa Szczepańskiego. W roku 1954 po raz pierwszy wydana zostaje satyra na zwolenników postępu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – tekst, który dziś zyskuje na aktualności, uderzając w zwolenników teorii spiskowych czy ruchy antyszczipionkowe.

1963-1973

To dekada należąca do historycznej powieści Karola Bunscha rozbudowującego cykl o dynastii Piastów. Prosty język, wartka akcja i mocno zarysowane charakterystyki postaci zbliżają jego książki do modelu współczesnej angielskiej literatury historyczno-przygodowej. Obok kla-

syków – Stanisława Wyspiańskiego czy Zofii Nałkowskiej – wydawani są współcześni awangardziści, w tym Stanisław Czycz, jeden z najbardziej oryginalnych, ale też najgłębiej zapomnianych polskich pisarzy. W roku 1967 ukazuje się jego „Ajol”, rok później „Nim zajdzie księżyc”.

1973-1983

Tłuste lata dla literatury iberoamerykańskiej, którą zaczytuje się pół Polski. Z rogu obfitości tłumaczeń wysypuje się proza Julio Cortáзара, Carlosa Feuntesa, Gabriela Garcíi Márqueza, Maria Vargasa Llosy, Ernesta Sábato. W roku 1974 ukazuje się słynna publikacja „Świat nie przedstawiony” Adama Zagajewskiego i Juliana Kornhausera, a w roku 1975 ma premierę „Organizm zbiorowy”, tomik Ryszarda Krynickiego, nowofalowego poety. W roku ogłoszenia stanu wojennego ukazują się „Lektury nadobowiązkowe” Wisławy Szymborskiej – felietony lekkie, a przenikliwe, dowcipne, choć poważne – dziś do kupienia na Allegro z dedykacją noblistki za 2815, 30 zł. Zaczynają się ukazywać nowe tłumaczenia Szekspira Macieja Słomczyńskiego.

1983-1993

Renesans twórczości carycy polskiego romansu Marii Rodziewiczówny: wznowiony w roku 1984 „Wrzos” ma nakład 500 tysięcy egzemplarzy, dodruk: 300 tysięcy. Rok później za dwutomowymi „Wierszami” Czesława Miłosza ustawiają się kolejki do księgarni Wydawnictwa Literackiego przy ulicy Długiej 1. Odbywa się też imponujący pochód Witolda Gombrowicza – jego dzieła w asetycznych czarno-białych okładkach z inicjałami autora sukcesywnie zasilają polskie biblioteczki.

1993-2003

Wydanie dzieł zebranych Stanisława Lema w 33 tomach – od 1998 r. ukazały się m.in. „Eden”, „Fiasko”, „Powrót z gwiazd”, „Solaris”, „Katar”, „Szpital Przemienienia”. W roku 2000 Tomasz Fiałkowski, dziennikarz „Tygodnika Powszechnego” (słynny Lektor), przeprowadza z autorem „Cyberiady” rozmowy, które złożą się na książkę „Świat na krawędzi” (kilka wznowień). To też szczytowy pisarski moment Jerzego Pilcha, w roku 1999 uhonorowanego Paszportem

„Polityki” za „Bezpowrotnie utraconą leworeczność” (felietony drukowane na łamach „Tygodnika Powszechnego”), a dwa lata później nagrodzonego Nike za powieść „Pod Mocnym Aniołem”. Prywatyzacja WL-u. Oficynę przejmują spółka założona przez pracowników i inwestora strategicznego – Verę Michalski-Hoffmann.

2003-2013

Przed wszystkim Orhan Pamuk, noblista roku 2010. Akademia Szwedzka uzasadnia werdykt: „pisarz poszukujący duszy swojego rodzinnego miasta, odkrywający przy tym uniwersum wielokulturowości”. W Wydawnictwie Literackim ukazują się jego powieści: „Śnieg”, „Nazywam się Czerwień”, „Biały zamek”, „Dom ciszy”, „Muzeum niewinności”. Argentyńskie tango w prezenzie dla obchodzącego 80. urodziny Mrożka tańczą na Rynku Głównym krakowianie i turyści. Ukazuje się też pierwszy tom dzienników pisarza. A potem noblistka roku 2013: Kanaadyjka Alice Munro. Mistrzyni krótkich form, badaczka kobiecego losu, której książki, w tym „Drogi życie” i „Taniec szczęśliwych cieni”, ukazują się w znakomitych tłumaczeniach Agnieszki Kuc.

2013-2023

Olga Tokarczuk z Noblem w roku 2019 – sam Empik w ciągu zaledwie 10 godzin po ogłoszeniu werdyktu sprzeda 12 tysięcy jej książek. Pięć lat wcześniej ukazują się 900-stronicowe „Księgi Jakubowe”, a w roku 2022 „Empuzjon” – feministyczna wariacja wokół wybranych wątków „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna. Szczepan Twardoch, piewca i strażnik śląskości, szturmem zdobywa czytelników. Jego książki – „Morfina”, „Drach”, „Król”, „Królestwo”, „Chołód” – pojawiają się bez twórczych pauz. Dorota Masłowska daje popis chłodnej, precyzyjnej, przewrotnej felietonowej frazy w pierwszej i drugiej części „Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu”. W sierpniu minie 10 lat od śmierci Mrożka.

© Opracowała
KATARZYNA KUBISIOWSKA



LUKASZ GIZA / MATERIAŁY PRASOWE

Olga Tokarczuk

JAKO NASTOLATKA szybko zwróciłam uwagę, że obok autorów istnieją także wydawcy – dość tajemniczy czynnik procesu powstawania książki. Bo niby czym oni mieliby się zajmować? Przecież autorka czy autor piszą tekst, który idzie do drukarni i potem do księgarni. Gdzie tu miejsce na wydawcę? Rozumiałam wydawnictwo raczej jako coś w rodzaju gniazda, które przysparza autorki i autorów, żeby ich pocieszać, gdy książki słabo się sprzedają.

Zwróciłam uwagę na WL, kiedy czytałam Lema. A potem, kiedy czytałam to, co Lem poleca. Seria „Stanisław Lem poleca” pokazała mi, że wydawnictwo to jest swego rodzaju idea i koncept, który stoi za tym, żeby mogła się ziszczyć (upapierować) literatura.

Naprawdę marzyłam o tym, żeby moje ewentualne i jeszcze-nie-napisane książki ukazywały się w WL. Firmowy znaczek zdobył grzbiety wielu książek w moim rodzinnym domu i najczęściej były to książki dobre. Poza tym WL wydawało mi się wydawnictwem ekskluzywnym, statecznym, uspokajającym nerwy i – w dobrym znaczeniu tego słowa – mieszczańskim. Jak źródła powieści.

Po wydaniu przez moje własne wydawnictwo Ruta „Gry na wielu bębenkach” zostałam zaproszona na spotkanie w Krakowie z Małgorzatą Nycz, ówczesną redaktorką naczelną WL. Była zima, miałyśmy ciężkie długie płaszcze i umówiliśmy się w Alchemii. Usiadłyśmy w kącie i zaczęłyśmy rozmawiać. Pachniało gazem z gazowego piecyka, którymi ogrzewało się kiedyś lokale. Wydało mi się, że będzie dobrze. Zgodziłam się zaraz na początek, żeby już nie psuć sobie przyjemności rozmowy biznesami.

Jestem w Wydawnictwie Literackim już prawie ćwierć wieku. ©



ALBERT ZAWADA / MATERIAŁY PRASOWE

Jacek Dukaj

TRAFIŁEM do Wydawnictwa Literackiego za namową i rekomendacją Doroty Terakowskiej, którą poznałem na usenecie.

W zamierzonych czasach przedface bookowych i przedtwitterowych istniał międzynarodowy system grup dyskusyjnych, w hierarchiach językowych i tematycznych, a Dorota udzielała się mocno m.in. na grupie pl.rec.fantastyka.sf-f. Trudne to dziś do wyobrażenia, ale zażarte spory literackie i polityczne toczyły się wówczas w formie długich postów z wielokrotnymi cytowaniami, nierzadko przypominających minieseję (dostęp do internetu mieli studenci, pracownicy naukowcy i amatorzy-fascynaci, którzy sami postawili sobie modem). Dorota była tam jedną z najstarszych dyskusantek i jedną z najczęściej prowokujących spory.

Po paru takich zderzeniach usenetowych poprosiła mnie o teksty – posłałam jej bodajże „Serce Mroku”. Wtedy zaczęła mnie namawiać, żebym zgłosił się do Wydawnictwa Literackiego. Zdaje się, że równolegle przekonywała do mnie Małgosię Nyczową. Przyniosłem wydawnictwu parę rzeczy, które miałem wtenczas na warsztacie, m.in. „Extensę”, którą wybrali do publikacji w pierwszej kolejności chyba dlatego, że była najkrótsza, toteż okazałaby się najmniej kosztowną porażką.

Reszta jest historią. ©



ZUZA KRAJEWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Ignacy Karpowicz

MÓJ PIERWSZY KONTAKT z Wydawnictwem Literackim jako potencjalnym wydawcą przydarzył się w Krakowie. Mieszkiałem wtedy w Willi Decjusza. Pomysł był wspaniały: pod jednym dachem zgromadzić piszących i tłumaczących. I zadziałał, bo do dziś utrzymuję kontakt z kilkoma osobami, na przykład moją tłumaczką na białoruski, Maryjką Martysiewicz. Świetnie tłumaczy, natomiast podczas mówienia czasem mieszają się jej słowa i kot Schrödingera staje się kotem Schrödera.

W czasie trzymiesięcznego stypendium zorganizowano m.in. wyjazd na Targi Książki we Lwowie. Mieliśmy zaplanowane poważne spotkania z wydawcami. Nasz Szwajcar (prawdziwy) z malutkim chartem (chudzina) dokumentował aparatem przekraczanie granicy, co nie spodobało się ukraińskiemu służbom granicznym. Zażądały wydania aparatu, Szwajcar odmówił. Powstał problem natury dyplomatycznej.

Akurat kończyłem pierwszy wariant „Sońki” i zacząłem pisać „Gesty”, które w pewnym sensie stanowiły odprysk „Sońki”. Nie rozumiałem bohaterów. Reżyser teatralny Grzegorz Zwyczajnie mi się wymykał. Postanowiłem zatem skupić się tylko na nim. I to był początek tej historii. Wystąpiłem kilkanaście stron, spodobały się i podpisaliśmy umowę.

A po „Gestach” przyszły „Balladyny i romanse”, „ości”, „Sońka”, „Miłość” oraz „Cicho, cichutko”. I tak trwamy od 2007 roku już szesnaście lat. To mój najdłuższy związek! ©



RADOSŁAW KĄZMIERCZAK / MATERIAŁY PRASOWE

Dominika Słowik

REDAGOWANIE to relacja międzyludzka. Nie umiem znaleźć właściwego rzeczownika, który by tę relację precyzyjnie nazwał, wydaje mi się, że taki jeszcze nie istnieje.

To połączenie zawodowe, ale zarazem więź, która bywa głęboką przyjaźnią, zawsze jednak w kontekście literatury i z tekstem w tle.

Wspaniała redaktorka nie tylko uważnie czyta, ale również uważnie słucha. Jest gotowa na ryzyko. Stoi po stronie książki i twórczyni, ale potrafi przekazać konstruktywną krytykę, czasem bolesną. Wie, kiedy trzeba się uprzeć i kiedy należy ustąpić.

Najlepsze z najlepszych redaktorek rozumieją, że praca na tekście może dotyczyć autora w zupełnie nieoczekiwany sposób i czasem dobrze jest poświęcić trochę książki, ale oszczędzić człowieka, bo człowiek, koniec końców, jest ważniejszy niż literatura.

Wspaniała redaktorka jest doulą książek. Dzięki niej książki nie tylko są lepsze, ale często w ogóle są, i my, autorki, też jesteśmy. ©



Globus i kompas

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wydawnictwo Literackie łączy doświadczenie przeszłości z tym, co nowoczesne. Najważniejsza była i będzie tu przede wszystkim literatura piękna.



Wszyscy pamiętamy kolejki. Redaktor „Tygodnika” i przyjaciel Stanisława Lema, Tomasz Fiałkowski, po nowe wydania dzieł Williama Szekspira w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego. Barbara Zin z Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, którą pytam o historię siedziby Wydawnictwa Literackiego, po książki dla dzieci. Biegało się do księgarni na rogu Długiej i Basztowej, mając pewność, że można tam dostać coś dobrego – przyznają rozmówcy pamiętający lata 80. Wspomnieniem młodszych jest kolejka po autograf Olgi Tokarczuk formująca się w dniu, w którym pisarka odwiedziła Kraków po raz pierwszy po otrzymaniu Nagrody Nobla, i sięgająca daleko za plac Matejki.

Dom pod Globusem jest dla historii Krakowa szczególnie – to jedna z pierwszych secesyjnych kamienic w mieście. Wcześniej był w tym miejscu jeden z bardziej znanych zajazdów, tzw. Łysoń, ale to już zupełnie inna historia – w sam raz na powieść Macieja Hena. Budynek powstał zaraz na początku XX w. wedle projektu Franciszka Mączyńskiego i Tadeusza Stryjeńskiego – słynnych architektów kształconych w Zurychu i Paryżu, wnoszących do Krakowa wiedeński fason i styl. Za płaskorzeźby zdobiące portal, które oglądamy podczas spaceru z architektką, odpowiadał rektor i profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych Konstanty Laszczka. Z kolei za restaurację elewa-



MICHAŁ LEPECKI / MATERIAŁY PRASOWE

Zespół Wydawnictwa Literackiego w Sali Mehofferowskiej

cji wykonaną prawie sto lat temu – malarz i grafik, symbol Młodej Polski, Józef Mehoffer. Co tu kryć, same modne nazwiska.

– W projekcie Domu pod Globusem nie chodziło tylko o modę – podkreśla Barbara Zin: – Secesja była synonimem nowoczesności, a ponieważ budynek w pierwszych dekadach swojego istnienia należał do Izby Przemysłowo-Handlowej, wybrany styl miał podkreślać, że krakowska instytucja jest na czasie. Zarówno budynek, jak i jego wnętrza nawiązują do idei postępu i rozwoju.

O tych właśnie wartościach rozmawiam z prezeską zarządu Wydawnictwa Literackiego Anną Zarembą-Michalską:

– Fakt, że Wydawnictwo Literackie świętuje dziś siedemdziesiąte urodziny oraz dwudziestolecie prywatyzacji, to zasługa zarówno świetnej ekipy naszych pracowników, jak i zaufania, którym obdarzyli ten zespół inwestorzy. Janowi i Verze Michalskim zależało na tym, by kontynuować wartości, które przez dziesięciolecia kształtowały naszą oficynę. Największym wyzwaniem było ich zaadaptowanie do nowych wymagań rynku, bo w ciągu ostatnich lat świat bardzo przyspieszył.

– Duch tego miejsca to szacunek do tradycji – dodaje Dariusz Kurdziel, członek zarządu i dyrektor ds. finansowych.

– Kierunki wyznaczone przez naszych poprzedników są aktualne – przyznaje też redaktor naczelna WL-u Jolanta Korkuć. – Łączymy doświadczenia przeszłości z tym, co nowoczesne. Dlatego główną częścią naszej oferty była i będzie przede wszystkim literatura piękna.

Tylko w tym roku Wydawnictwo Literackie podaruje czytelnikom i czytelnikom nowe książki wybitnego amerykańskiego prozaika Cormaca McCarthy'ego, tureckiego noblisty Orhana Pamuka i pochodzącego z Argentyny pisarza Martín Caparrósa. W najbliższych miesiącach ukażą się także nowe książki Jacka Dehnela, Doroty Masłowskiej, Ignacego Karłowicza, Anny Cieplak, Katarzyny Grocholi oraz biograficzne Anny Kamińskiej i Angeliki Kuźniak. Oczywiście WL nie zapomina, że czasem chcemy sięgnąć po coś leższego, co przyniesie rozrywkę i odpoczynek. Nie zapomina też o literaturze pięknej dla dzieci i młodzieży.

– Zależy nam na tym, by dawać głos autorom opowiadającym o świecie w bardzo różny sposób – mówi Korkuć. – Różno-

rodność jest dla nas ważna, wskazuje kierunki rozwoju. Dobrze widać to w szerokiej ofercie literatury faktu w WL, w tym biografiach i książkach historycznych.

Kompasem krakowskiej oficyny i jej wartością nadrzędną – jak powtarzają wszyscy moi rozmówcy oraz autorzy, których książki powstają pod Globusem – jest poziom edytorski publikacji. WL chce być modny, ale zawsze stawia na jakość i styl.

– Wydawnictwo Literackie tworzyli wybitni edytorzy – mówi Anna Zaremba-Michalska. – My tę tradycję, mimo tempa, w jakim dziś wydawane są książki, staramy się podtrzymywać.

Książki, które rzadziej pojawiają się na listach bestsellerów, stanowią o kontynuacji ważnych dla oficyny wartości. Wydawnictwo Literackie – poza tym, że wydaje autorki i autorów, którzy otrzymują największe nagrody literackie w kraju i na świecie (zob. zamieszczone obok kalendarium) – specjalizuje się także w seriach krytycznoliterackich. To pozycje w zasadzie niewydawane przez innych wydawców komercyjnych.

– Mamy świetną edycję dzieł Herlinga-Grudzińskiego, a w tym roku pojawi się również krytyczna edycja utworów Witolda Gombrowicza, a także korespondencja Sławomira Mrożka z Józefem Czapskim – zapowiada Anna Zaremba-Michalska.

Gdy rozmawiamy o planach na przyszłość, wciąż powraca potrzeba zwracania się ku historii. Okazuje się, że można to zaobserwować też w obecnych trendach czytelniczych. Dlaczego?

– Czytelnicy wyczuwają wiatr zmian i chcą sobie uporządkować rzeczywistość, sprawdzając, czy historia się aby nie powtarza – odpowiada Zaremba-Michalska.

Jakie czasy nadchodzą? Dowiemy się wkrótce. Autorki i autorzy od lat publikujący książki w WL-u będą rozmawiać o tym, co najważniejsze – wczoraj, dziś i jutro. „Mamy czas” – pod takim hasłem Wydawnictwo Literackie zorganizuje cykl jubileuszowych debat. W pierwszej dyskusji zatytułowanej „Głód teraźniejszości”, która odbędzie się 16 marca w siedzibie WL-u, wezmą udział: Martín Caparrós, Dorota Masłowska i Marcin Napiórkowski. Poprowadzi ją Katarzyna Kasia. Tematy kolejnych rozmów to „Przyszłość przeszłości”, „Chwila w wieczności” i „Koniec początku”.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 8/2023

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJEKT GRAFICZNY: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
PROJEKT OKŁADKI: Studio DoLasu

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNER DODATKU



Partnerzy
Jubileuszu
Wydawnictwa
Literackiego



OLGA

Drenda: Żezuncja



ŻENADA TO SKOMPLIKOWANE, ALE TEŻ FASCYNUJĄCE uczucie. Z pewnością nieuniknione: trafnie ujęła to w swoim przemówieniu do studentów Taylor Swift, gdy odbierała tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Nowojorskiego. „Życie w zgodzie z poczuciem żenady”, zachęcała młodzież, przypominając, że ciarki wstydu to nieodłączny towarzysz spoglądania wstecz („*Learn to live alongside cringe*”, jak dosłownie powiedziała artystka, to dzisiaj już skrzydlate słowa). W zażenowaniu czasem skrywa się więcej niż zwyczajny wstyd czy zakłopotanie, np. odrobina radości czy ulgi, że albo tym razem nie padło na nas i że to coś innego lub ktoś inny jest źródłem żenady, albo że to już za nami i że szczęśliwie udało nam się wykaraskać z tego niefortunnego położenia. Czasami również można znaleźć w nim osobliwą przyjemność, z czego użytek czyni branża filmowa – tzw. *cringe comedy*, gdzie bohaterowie angażują się w czyny poniżej poziomu lub mają ostantacyjne wady (i tym chętniej ich wtedy oglądamy), to chyba najpopularniejsza odmiana komedii w nowym tysiącleciu.

Jako osoba podatna na zażenowanie, zwłaszcza wobec własnych przeszłych czynów i nawyków, z zainteresowaniem przeczytałam prognozę dotyczącą naszych przyszłych powodów do żenady na łamach „New York Timesa”. Futurologię uważam za ciekawe przedsięwzięcie wtedy, gdy jest w nim mniej wróżbiarstwa, a więcej wpływa na wierzch różnych prawd o bieżącym stanie nas samych. To zestawienie zatytułowano zachęcająco „Future Cringe” (słowa „krindz” używa się również zamiennie z „żenadą” w języku polskim, gdzie zastąpiło zasłużone powiedzonko „żal.pl”), a swoimi przewidywaniami podzielili się publicyści, naukowcy, artyści czy przedsiębiorcy.

Solpol i pastelowe kolory – dla niektórych żenada, a jednak go szkoda.



OLGA DRENDA

Część z ich propozycji krążyła gdzieś wokół bezpiecznego zbioru „obciachów”, obejmującego zazwyczaj kulturę popularną i modę. Takie rachunki sumienia wobec gustów przeżywalismy już nieraz, to przywracając do łask, to wyklinając spodnie dzwony czy marchewki. Tym razem typowano crocсы i odzież górską na nizinach – mało kontrowersyjne typy. Ciekawiej zaczynało się, gdy refleksja nad żenadą przyszości obejmowała kwestie z zakresu szeroko pojętej etyki. Wypowiadający się na ogół przyznawali się do grzechu: mówili, że sami praktykują z przyjemnością, ale mają nadzieję, że za jakiś czas prawo czy okoliczności utrudnią im jedzenie mięsa, nieograniczone zakupy czy poruszanie się pojazdem spalinowym.

Przekonanie o nadchodzącej konieczności życia w umiarkowaniu wypływało z ankiety raczej uniwersalnie. Było w tym coś w rodzaju gestu dobrowolnego poddania się karze w nadziei uzyskania rozgrzeszenia i z ciekawością śledziłam głosy, w których pobrzmiwała zapewne szczerza bezradność i pewien żal, że najwidoczniej życie nie będzie mogło toczyć się już znanym torem: sam z własnej woli nie odłożę tej parówki, musicie mi jej najpierw zabronić, albo właśnie nie zakazać dosłownie, lecz objąć społecznym odium, uczynić wstrętną. Tylko widmo żenady i utraty twarzy byłoby w stanie skłonić ich do zmiany stylu życia. Wobec nich poczułam prawdziwe współczucie w głębi mojego zasadniczo (no, nie na sto procent...) wegetariańskiego serduszka.

Najciekawsze być może głosy napłynęły ze strony analityków nowych technologii: otóż za żenujące może wkrótce uchodzić szafowanie swoją twarzą na niezliczonych *selfie*. Żenujące, w znaczeniu: jak można zachowywać się tak nieodpowiedzialnie. W obliczu (nomen omen) technologii bazujących na rozpoznawaniu twarzy świecenie głową może się wkrótce okazać równie nierozsądne jak ujawnianie kodu logowania do banku. Przez chwilę ucieszyłam się, że moja własna twarz ma dość dynamiczny charakter i przy odrobinie starań mogą się upodobnić do Asizo z komiksu o Tytusie, co utrudni zbyt łatwą identyfikację. Oczywiście po błysku żenady, gdyż jestem winna plakutowania swoich mediów społecznościowych własną facjatą.

Najbardziej zaskakujące, choć może nader optymistyczne, wydały mi się prognozy, zgodnie z którymi będziemy odczuwać ciarki wstydu na wspomnienie chwil, gdy okazaliśmy za mało gotowości do wybaczenia bliźniemu. Towarzyszący tej diagnozie pomysł, by wybaczenie promować w postaci kampanii reklamowej jako modny produkt, uspokoił mnie jednak – jesteśmy wciąż w tym samym internecie.

W tymże, w którym jednakowoż pewne rzeczy, niestety, nigdy nie stają się wystarczająco żenujące, by jakiś śmiałek nie próbował na nowo wcielać ich w życie. Cudowne pseudoterapie, naciąganie i oszustwa, wszytkowiedzący guru od życia, szukanie rozgłosu przez niemądre, a kontrowersyjne opinie i czyny – to wszystko powinno zostać dawno obudowane warownym murem z wstydu i żenady, a jednak uparcie, od wielu lat trwa i znajduje pozabawionych skrupułów praktyków.

PAWEŁ

Bravo: Karnawał wenecki



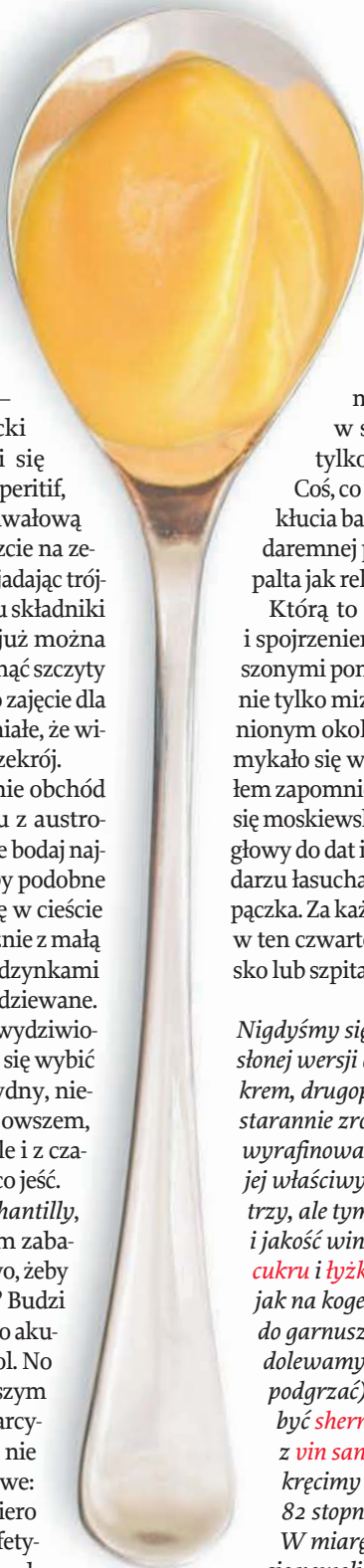
STO TYSIĘCY LUDZI, A ZA TYDZIEŃ przyjedzie jeszcze więcej, zmywam się stąd na razie! – rzucił na odchodnym wenecki znajomy, którego udało mi się w ostatniej chwili złapać na aperitif,

zanim pognał na dworzec slalomem przez karnawałową cizbę. Zostałem jeszcze chwilę przy stoliku, nareszcie na zewnątrz (sezon ogródkowy uważam za otwarty), dodając trójkątne kanapki kryjące w pulchnym wybrzuszeniu składniki z tysiąca i jednej nocy. Owe *tramezzini* znaleźć już można mniej więcej wszędzie, ale tylko tutaj umieją osiągnąć szczyty sztuki kanapkarskiej (niesłusznie pomiatanej jako zajęcie dla rodziców szkolnej dziatwy) i zrobić je tak napeczęniałe, że widziane od strony rozcięcia mają prawie okrągły przekrój.

Nie mogłem przesadzać z ilością, bo czekał mnie obchód po cukierniach. Na ogół nędzne w porównaniu z austro-węgierskimi, w szczycie karnawału wydają z siebie bodaj najciekawszy w ogóle swój utwór: takie pączusie, niby podobne do naszych, a jednak przez jakąś subtelną różnicę w cieście znacznie lepsze. Mniejsze, mniej foremne, przeważnie z małą dziurką w środku, gdy są w wersji klasycznej z rodzynkami i orzeszkami piniowymi, albo bez dziurki, gdy nadziewane. Nadzienia do *frittelle* stosuje się zaś trzy, nie licząc wydziwionych kombinacji w lokalach, które nie są w stanie się wybić jakością i renomą. Mały wybór, ale za to bezwstydnym, niedietetycznym. Pocztówka smakowa z czasów, gdy, owszem, powszechnie głodowano albo lękano się głodu, ale i z czasów nieskażonej strachem rozkoszy, gdy już było co jeść.

A zatem bita śmietana pod elegancką nazwą *chantilly*, krem cukierniczy, ale ponad wszystko wybieram *zabaione*: podpiszę każdy weksel i oddam pierworództwo, żeby je wylizać. Wiecie, po czym poznać, że porządne? Budzi obawę, że nie siądziecie za kierownicą (w Wenecji to akurat abstrakcyjny problem), tak bardzo czuć alkohol. No i nie jest wcale takie słodkie, wyraźnie i na pierwszym planie czuć smak marsali lub innego podobnego arcywytrawnego wzmacnianego wina. Zdecydowanie nie dla mniejszych łasuszków, no i jest to sprawiedliwe: ci, którym *sweet spot* uaktywnił się w mózgu dopiero po fazie dojrzewania, powinni mieć swoje dorosłe fetysze, wspinać się na szczyty nie w dziecięcych bucikach.

To nie był mój świadomy wybór, żeby zajechać tu akurat w karnawałowy weekend, tak przypadkiem wyszło, znajomy doradzał, żebym przemyślał, czy chcę dać się zadeptać. Miejsowych ogarnia panika i niechęć, oni już najedli się w życiu dość pączków i naogladali wszelakich przebierańców. A ja jednak znalazłem w tym ukontentowanie, choć musiałem dreptać gęsiego koszmarnie zapchanymi zaułkami. Plac świętego Marka omijam zwykle jako *ground zero* turystycznej



bomby (podobnie jak od paru już lat krawkowski Rynek), a tym razem było coś wspaniałego w znalezieniu się wśród setek ludzi ekshibicjonistycznie pokrywanych za przebraniami. Ot, takie tu mają grupy rekonstrukcyjne – krynoliny, tiule, hafty i peruki zamiast panterki i saperki. Skłonność włoskiej kultury w każdej warstwie do teatralizacji, do ekstremalnej dbałości o pustą w środku formę, do działania na pokaz, osiągnęła nowe wyżyny, od kiedy w stronę przebierańców gapie kierują nie tylko rozbawione spojrzenia, ale i smartfony. Coś, co pełnić miało funkcję momentalnego przekłucia bańki trudnej codzienności, zostaje poddane daremnej próbie utrwalenia i schowane do kieszeni palta jak relikwia lekkości.

Którą to lekkość chłonałem każdym wdechem i spojrzeniem, aż stała się nieznośna, jak to z przenoszonymi ponad miarę dobrymi momentami bywa. Ale nie tylko mizantropia pchała mnie ku bardziej wyludnionym okolicom miasta. W mojej biednej głowie zamykało się właśnie okienko czasowe, w którym umiałem zapomnieć, że w poprzedni tłusty czwartek zaczęła się moskiewska wojna i ruszył za ścianą gwałt. Nie mam głowy do dat i rocznic, ale przez ten szczególny w kalendarzu łasucha dzień ta jedna powraca z każdym kęsem pączka. Za każdą minutę spędzoną w kolejce do cukierni w ten czwartek wpłaćcie złotówkę na ukraińskie wojsko lub szpital.

© P

Nigdyśmy się tu nie zajmowali *zabaione* (z wyjątkiem słonejszej wersji do szparagów), jakby to był jakiś banalny krem, drugoplanowy składnik deserów. Tymczasem starannie zrobiony staje się samodzielnym wyrafinowanym deserem. Procedura jest prosta, ale jej właściwy finisz wymaga wyczucia, składniki trzy, ale tym bardziej trzeba dbać o świeżość żółtek i jakość wina. Proporcje: **na każde żółtko jedna łyżka cukru i łyżka wina**. Ukreścamy żółtka z cukrem, jak na kogel mogel. Wstawiamy miskę z żółtkami do garnuszka z gorącą wodą na małym gazie, dolewamy bardzo pomału **wino** (można je leciutko podgrzać) – czyli najlepiej **marsalę**, ale może też być **sherry**, są także fani wersji nieco słodszej z **vin santo** lub innym podobnym. Cały czas kręcimy trzepaczką, czekając, aż woda osiągnie 82 stopnie, co może nam zająć prawie 10 minut. W miarę podgrzewania krem przestanie się powoli pnieć, zacznie gęstnieć, zyskiwać aksamitną fakturę. Jeśli nie mamy termometru, musimy uważać, bo w pewnym momencie zacznie się ścinać i wszystko na marne. Zanim nabyłem wprawy w ocenie stanu zaawansowania, wyszła mi parę razy słodka jajecznicza. We Włoszech jada się to w pucharkach na ciepło z **biszkopcikiem**, jeśli chcemy zjeść potem na zimno, to warto szybko schłodzić w zmrożonej misce osadzonej w naczyniu z lodem, intensywnie mieszając – nie powstanie wtedy kozuch.

CZŁOWIEK U SIEBIE

Przekonał już świat, że czasami warto być odrzuconym.
Czy przekona jeszcze, że czasami warto nigdzie się nie ruszać?

MICHAŁ OKOŃSKI

TAKICH ZWIERZĄT NIE MA, A PRZYNAJMNIEJ NIE MA ICH w świecie zawodowego futbolu. Żadnych ekstrawaganczych fryzur i tatuaży. Żadnych skandali obyczajowych, bijatyk w nocnych klubach, samochodowych ucieczek przed policją po narkotykach czy alkoholu. Znany z zaangażowania w działalność społeczną, wspiera zwłaszcza instytucje zajmujące się zdrowiem psychicznym młodych ludzi. Żonaty z dziewczyną, którą poznał jeszcze w podstawówce. Nawet klubu w gorszących okolicznościach nie zmienił, ba: od dziecka gra w jednym i tym samym.

A przy tym wszystkim – to naprawdę świetny piłkarz. Król strzelców mundialu w Rosji. Kapitan reprezentacji Anglii i najskuteczniejszy strzelec w jej historii. Zdobywca dwustu bramek w Premier League – tylko dwóch zawodników w historii tych rozgrywek osiągnęło lepszy wynik, ale ponieważ zakończyli już kariery, a on ma dopiero 29 lat, wygląda na to, że pobije i ten rekord. Inny właśnie ustanowił: podczas ubiegłotygodniowego meczu z Manchesterem City zdobył swojego 267. gola dla Tottenhamu, bijąc półwieczny rekord, należący do mistrza świata z 1966 r., Jimmy'ego Greavesa. Oto Harry Kane: kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, a jeśli ta historia nadal się będzie tak toczyć – tytuł szlachecki za zasługi dla ojczyzny i osiągnięcia w świecie sportu otrzyma w niedalekiej perspektywie.

Złośliwi kibice innych drużyn powiedzą pewnie, że ów tytuł szlachecki dostanie na otarcie łez, bo jeśli nie odejdzie z Tottenhamu, to nie wywalczy przecież ani mistrzostwa kraju, ani nie wygra Ligi Mistrzów. Klub, w którym występuje, choć także dzięki niemu przestał być w końcu angielskim średniakiem, to wciąż nie może rywalizować z najlepszymi – w życiorysie Kane'a jest, owszem, mnóstwo osiągnięć indywidualnych, ale ani jednego medalu czy pucharu za sukces z drużyną. A ponieważ przy każdej okazji powtarza, że ma ochotę na „więcej”, to w zasadzie od chwili, gdy zaczął strzelać jak na zawołanie, media przy mierzają go do czołowych klubów Europy.

Ale on jakoś z Tottenhamu nie odchodzi – i nie jest to pierwsza rzecz, którą robi na przekór ułożonym z góry scenariuszom.

Idźmy dalej

Kiedy przed pięcioma laty Harry Kane zdobył setnego gola w Premier League, opowiedział swoją historię w tekście pod

znamiennym tytułem „Od zera do stu”, opublikowanym na portalu Players Tribune. Zaczynała się tak: miał osiem lat, siedł z ojcem przez park w położonej na północnych krańcach Londynu dzielnicy Chingford. Pan Patrick Kane ni stąd, ni zowąd oznajmił, że ma mu coś ważnego do przekazania. Była to wiadomość, że szkołka Arsenalu, w której wówczas trenował, poprosiła, żeby już więcej nie przychodził.

Harry nie pamięta, jak się wówczas poczuł – i nie pamięta, czy dotarło do niego prawdziwe znaczenie tej informacji: oto zajmujący się szkoleniem młodzieży pracownicy czołowego angielskiego klubu uznali, że z tego chłopaka nie da się zrobić dobrego piłkarza. Pamięta za to postawę taty: to, że go nie skrytykował, tak samo zresztą, jak nie skrytykował tych, którzy podjęli decyzję w sprawie jego przyszłości. To, iż nie dał mu do zrozumienia, że się do niczego nie nadaje, nie okazał wściekłości i rozczarowania. Po prostu objął ośmiolatka ramieniem i powiedział, że najważniejsze, by dalej robił swoje. Że będą dalej trenować – i że znajdą mu inny klub.

„Wielu ojców, zwłaszcza takich, którym bardzo zależy na tym, żeby ich dziecko zostało zawodowym piłkarzem, zareagowałoby zupełnie inaczej – komentował po latach Harry Kane. – Ale mój tata, niezależnie od tego, co się działo – nigdy nie nakładał na mnie żadnej presji. Był zawsze pozytywnie nastawiony. Jego klasyczne zdanie, powtarzane w każdej sytuacji, brzmiało: »No cóż, po prostu idźmy dalej«”.

Dwa lata później chłopak trafił do akademii Tottenhamu, któremu zresztą kibicowała cała jego rodzina. Po upływie kilkunastu miesięcy niepewności i sprawdzianów w innych klubach rozumiał już, co oznaczało tamto odrzucenie przez Arsenal. Mówi, że zawsze kiedy szykuje się do meczu z tą drużyną, ma je w pamięci – i że być może była to najlepsza rzecz, jaka mu się przydarzyła. Zostawiając jednak na boku frazę, która musiała spodobać się kibicowskiej bazie (Arsenal i Tottenham grają w jednej dzielnicy, rywalizacja między nimi jest wyjątkowo zacięta) – z pewnością kluczowa była tamta reakcja ojca.

Poza bańką

W pamięci Kane'a zostało więcej momentów zawahania i niepewności. W tekście opublikowanym, gdy miał już – przypomnijmy – sto goli w Premier League, wspominał także takie dni, w których myślał, że nie zdobędzie ani jednego. Miał wówczas ➔



ADRIAN DENNIS / AFP / EAST NEWS

Harry Kane został właśnie najlepszym strzelcem w dziejach swojego klubu: w meczu z Manchesterem City zdobył 267. gola dla Tottenhamu. Londyn, 5 lutego 2023 r.



MARC ATKINS / GETTY IMAGES

Harry Kane z rodziną po meczu z Evertonem, Londyn, 12 maja 2019 r.

→ dziewiętnaście lat – niejednego jego rówieśnik był już po debiucie w reprezentacji, za niejednego płacono fortunę – a kolejni trenerzy Tottenhamu wciąż nie widzieli w nim materiału na gwiazdę i wysyłali na wypożyczenia do niższych lig. Teoretycznie łatwiej w nich było o szansę gry, ale nawet tam nie zawsze mieścił się w wyjściowej jedenastce i łapał kontuzje: naprawdę, nic nie wskazywało, że jego marzenia o grze w angielskiej ekstraklasie staną się rzeczywistością.

Chociaż tyle, że poznawał prawdziwe życie, przyglądając się ludziom, dla których wizja spadku z drugiej do trzeciej ligi oznaczała groźbę radykalnego ograniczenia i tak niewielkich na tym poziomie zarobków, czy wręcz bezrobocia: „Zacząłem rozumieć, że są ludzie, którzy nie grają w piłkę dla sportu, ale żeby wyżywić rodzinę. Zacząłem rozumieć, jakie to wszystko jest kruche”. Uważa, że to wtedy przestał być dzieckiem. I że to wtedy zaczął lepiej grać.

Podobny scenariusz poznało wielu podobnych mu młodzieńców z czołowych klubów Anglii: okres przygotowawczy spędzony z pierwszym zespołem i szansa gry w spotkaniach towarzyskich, zwłaszcza kiedy największe gwiazdy nie wróciły jeszcze z wakacji, później daremne nadzieje na to, że nadarzy się kolejna okazja, a w zimowym okienku transferowym – wypożyczenie do jednej z niższych lig. Tam zaś szok i twarde lądowanie („W Yeovil nie mamy Ritza” – mówił dawnemu koledze Kane’a z Tottenhamu, Androsowi Townsendowi, szkoleniowiec lokalnej drużyny, prowadząc go do nędznego hoteliku i upewniając się, że na wyposażeniu pokoju ma garnek do gotowania makaronu), adaptacja do ostrzejszego stylu gry, kontuzje. Nie wszyscy potrafili sobie w tych warunkach poradzić.

W przypadku Kane’a najpierw było Leyton Orient (od stycznia do maja 2011), później Millwall (od stycznia do maja 2012), w kolejnym sezonie Norwich (gdzie złamał kość śródstopia) oraz Leicester. Każdy z tych klubów zachował we wdzięcznej pamięci – a ten pierwszy, występujący na co dzień trzy szczeble niżej ligowej drabinki, dziś wręcz sponsoruje, odpłacając umieszczane na jego koszulkach reklamy informujące o potrzebie zadbania o zdrowie psychiczne dzieci i dorosłych, a w okresie tuż po pandemii – dziękujące pracownikom brytyjskiej służby zdrowia za zaangażowanie w walkę z covidem.

José Mourinho obiecywał, że zrobi z niego gwiazdę na miarę Messiego i Ronaldo, ale Harry Kane chyba zbyt mocno chodzi po ziemi, by nabrać się na podobne gadki.
„On jest jednym z nas”
 – śpiewają o nim kibice.

Amerykańskie marzenie

Była, owszem, chwila, podczas której wszystko zawisło na włosku: podczas wypożyczenia do Leicester, gdzie rzadko dostawał szansę gry. Z dala od domu i bliskich, przestał wierzyć w siebie. Powiedział ojcu, że chciałby opuścić. „Pracuj dalej, rób dalej swoje – usłyszał. – Przestań się tak szarpać, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze”. Postanowił raz jeszcze uwierzyć tacie, a parę tygodni później zobaczył film o jednej z legend futbolu amerykańskiego, Tomie Bradym.

Zanim Brady został jednym z najlepszych rozgrywających w dziejach tego sportu, wszyscy w niego wątpili. Na liście zawodników wybieranych w 2000 r. przez drużyny amerykańskiej ligi zawodowej w tzw. drafcie był 199. – znalazł pracodawcę dopiero podczas szóstego naboru. Wcześniej, gdy załapał się do drużyny uniwersyteckiej, trenerzy w kółko zastanawiali się, kim go zastąpić. W obejrzanym przez Kane’a filmie znalazły się zdjęcia, zrobione w chwili gdy Brady był ważony i mierzony przez poszukiwaczy talentów: widać na nich ciało zwykłego chłopaka, który – jak się zdaje – nigdy nie był w siłowni. „Wyglądał po prostu jak ja – wspominał Harry. – Ludzie zawsze mieli jakieś przekonania na mój temat. »No cóż, wiecie, on nie wygląda jak prawdziwy napastnik«...”

„Robić swoje” musiał wyjątkowo długo. Pierwszy raz na ławce rezerwowych Tottenhamu znalazł się wprawdzie w październiku 2009, debiutował – w meczu Ligi Europy – w sierpniu 2011, ale na to, by Tim Sherwood, nadzorujący jego rozwój w młodzieżówce, zaczął na niego stawiać już będąc tymczasowym trenerem Tottenhamu, musiał czekać jeszcze dwa i pół roku – wcześniej przekonał jedynie poprzedniego szkoleniowca, André Villas-Boasa, by nie wysyłał go na kolejne wypożyczenie i pozwolił udowodnić na treningach, że zasługuje na szansę. „Wiem, że co piątek przed meczem będzie mi pan mówił, że są lepsi, ale udowodnię panu, że pan się myli – miał powiedzieć zdziwionemu Portugalczykowi. – Nie chcę już nigdzie odchodzić”. Poza wszystkim: Tottenham nie był dla niego jedynie miejscem pracy – naprawdę kibicował temu klubowi.

U następnego trenera, Mauricio Pochettino – za którego kadencji drużyna zaczęła wreszcie bić się z najlepszymi – również zaczynał jako rezerwowy. Argentyńczyk ostatecznie przeko-

nał się do niego po wygranej z Aston Villą w listopadzie 2014 r., kiedy to strzelił Kane zwycięskiego gola w ostatniej minucie (był to zresztą gol bardzo szczęśliwy, bo Anglik wykonywał rzut wolny i trafił w mur, a piłka po rykoszecie zmyliła bramkarza i wpadła do siatki). Pochettino, który dokonywał wtedy w Tottenhamie rewolucji, zawsze podkreślał, że to dzięki tamtej bramce władze klubu uwierzyły, że wie, co robi – wcześniej drużyna wygrywała sporadycznie.

W życiu kibiców Tottenhamu i w karierze Kane'a zaczynał się najlepszy czas: napastnik, o którego miejscu w klubowej hierarchii świadczyła też zmiana numeru na koszulce (najpierw 37, później 18, a ostatecznie – 10) zaczął kolekcjonować tytuły króla strzelców angielskiej ekstraklasy.

Gwiazda wielu sezonów

Ale nawet kiedy jego miejsce w składzie Tottenhamu było już niepodważalne, niektórzy wciąż mieli wątpliwości. Na filmach z jego pierwszych sezonów w Premier League widać, że ma kłopoty z przyjęciem piłki i nie potrafi ustać na nogach w starciu z obrońcami. Owszem, strzela bramki, jednak rzadko są to trafienia zachwycające futbolowych estetów. Z pewnością jego dzisiejsza technika nie jest efektem naturalnego talentu, a wielu lat ciężkiej pracy.

Po świetnych występach w rozgrywkach 2015/16 pytano, czy będzie umiał powtórzyć strzeleckie osiągnięcia kolejny raz (to wtedy mówiło się o „one season wonder”, gwiazdzie jednego sezonu). Otóż powtórzył. Rok później zastanawiano się, czy będzie potrafił pokazać się w Lidze Mistrzów. Otóż potrafił. Dwa lata później chciano wiedzieć, czy da radę zagrać dobry mecz na mundialu. Otóż dał, ba, został królem strzelców turnieju. Trzy lata później wrócono, że rozwój jego kariery udaremnią nawracające kontuzje kostek. Otóż ostatni poważny uraz leczył w pierwszych miesiącach 2020 r.; od tamtej pory, odpukać, jego przerwy w grze nie są dłuższe niż tydzień. W międzyczasie znalazł specjalistę od przygotowania fizycznego i zatrudnił kucharza – dziś już nikt by nie powiedział, że nie wygląda jak prawdziwy napastnik.

Z 267 goli dla Tottenhamu 165 zdobył prawą nogą, 51 lewą, 49 głową, dwukrotnie piłka odbiła się od innych części jego ciała. 11 procent to trafienia zza pola karnego, w meczu z Juventusem Wojciecha Szczęsnego zaskoczył kiedyś uderzeniem z połowy boiska. Ale kolejne 62 bramki dla Tottenhamu padły z jego podań: nie tylko strzela gole, ale – jak Tom Brady w futbolu amerykańskim – asystuje kolegom. Cofa się do drugiej linii i stamtąd rozpoczyna akcje drużyny długim, precyzyjnym zagranieniem.

Normalna wielkość

Do niezwyklej pracowitości i zdolności uczenia się, do konsekwencji i uporu, z jakimi pokonał początkowe przeciwności, wypada więc dodać inteligencję i odporność psychiczną. Gdy zmarnuje jedną, drugą czy trzecią okazję w meczu, nie traci równowagi i próbuje kolejny raz.

Błyskawicznie pozbierał się po niewykorzystanym karnym w meczu z Francją na ostatnim mundialu. W bramce rywali stał wówczas jego kolega z Tottenhamu, Hugo Lloris. Obaj znają się od lat, a w tym meczu był to już drugi karny dla Anglii. Za pierwszym razem Kane okazał się lepszy, przy kolejnym podejściu spudłował. Wielu obserwatorów miało później poczucie, że za tym drugim razem powinien strzelać ktoś inny, ale on – jako kapitan drużyny – nie chciał uchylić się od odpowiedzialności.

Niepowodzenie bynajmniej go nie załamało – akurat kiedy piszę ten tekst, w ramach działań założonej przez siebie fundacji i z okazji Tygodnia Zdrowia Psychicznego spotyka się z uczniami lokalnych szkół, opowiadając o sile pozytywnego myślenia, wiary w siebie i wsparcia, jakie mogą dać ci bliscy. O tym, że możesz zająć daleko, nawet jeśli kiedyś ktoś uznał, że nic z ciebie nie będzie. A dorosłym przypomina, że powinni interesować się tym, co jest ważne dla ich dzieci – nie oceniając ich hobby negatywnie, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydaje się błahe.

Pracujący przez kilkanaście miesięcy z Tottenhamem trener-celebryta José Mourinho obiecywał mu wprawdzie, że zrobi z niego gwiazdę na miarę Messiego i Ronaldo, ale Harry Kane chyba zbyt mocno chodzi po ziemi, by nabrać się na podobne gadki. „On jest jednym z nas” – śpiewają o nim kibice, nawiązując do faktu, że jest klubowym wychowankiem i urodził się w północnym Londynie, a kolejni szkoleniowcy nie mogą się nachwalić jego skromności i zrównoważenia. Pochettino w tym kontekście podkreślał zbawienny wpływ żony – z Kate mają troje dzieci i rodzinność Kane'a również jest powodem, dla którego ta kariera toczy się tak wzorowo. Jaki tam Ronaldo – najlepszy strzelec Tottenhamu nie ma w sobie nic z celebryty.

Z wyglądu, fryzury i, co tu kryć, oszczędnego sposobu wypowiedziania się przypomina bardziej bohatera filmu epoki kina niemego. Analizując niegdyś fenomen tej postaci, historyk futbolu Jonathan Wilson zestawiał jego wizerunek z pilotami RAF z czarno-białych kronik filmowych – przyznam, że od tamtej pory widzę go w roli jednego z tych dzielnych pilotów dwupłatowca, którzy nigdy nie wrócili z wyprawy przeciwko Czerwonemu Baronowi.

Zostań z nami

Z perspektywy tzw. neutralnego obserwatora najważniejsze pytanie dotyczące najbliższych lat życia Harry'ego Kane'a brzmi, czy może osiągnąć „więcej” u siebie, w Tottenhamie? Dla tego klubu zrobił przecież wystarczająco wiele, by móc odejść do jakiegos Manchesteru United czy Realu Madryt z podniesionym czołem – a może nawet z uzasadnionym poczuciem, że nie ma się co łudzić marzeniami o mistrzostwach czy pucharach zdobytych w dotychczasowych barwach. Pytany o to w ostatnich dniach, mówi jednak, że Tottenham ma się wciąż o co bić – i że jest otwarty na rozmowy o nowym kontrakcie z klubem, w którym spędził całe życie. Kibice angielskiej piłki wiedzą oczywiście, że nie zależy to tylko od niego: że klub musi mu dać argumenty za pozostaniem, przedłużając również umowę z Antonio Contem i wspierając włoskiego trenera na rynku transferowym, by dystans do czołówki angielskich klubów nie był aż tak przytłaczający.

Ale jest jeszcze coś, o czym napisać pewnie najtrudniej. Przy całej opowieści Harry'ego Kane'a o tym, ile można osiągnąć dzięki pragnieniu ciągłego samodoskonalenia (i przy całej ostrożności, z jaką kolportowanie podobnych historii mogą przyjmować ci, którzy na ciągłe samodoskonalenie nie znajdują siły), istnieje kryterium oceniania czyjejs wielkości nie tylko po liczbie tytułów i medali. Może najważniejsza lekcja, której może udzielić ten znakomity sportowiec, polegać będzie na tym, że zrobi coś w dzisiejszym świecie naprawdę niespotykanego: przez całe życie reprezentować będzie barwy jednego klubu.

© © MICHAŁ OKOŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Uwaga, balon!



PRZEGLĄDŃWYSZY NASZE PRZEPASTNE ARCHIWA, stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że nigdy, odkąd tak chyżo opisujemy świat, nie napisaliśmy ani słowa o balonie. Żadnym. Dziwne, bo temat jest bardzo wdzięczny. Balon, bądź

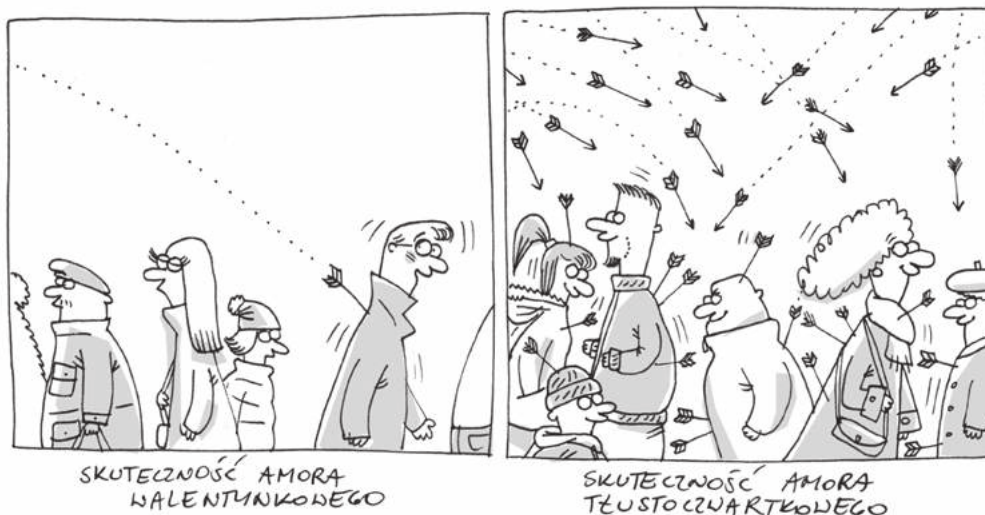
jako figura paraboliczna, bądź po prostu przedmiot, jest obiektem szalenie atrakcyjnym. Z tą opinią zgodzi się każde malutkie dziecko. Oczywiście rewizja w archiwum naszej twórczości nie odbyła się sobie a muzom czy, jak kto woli, *pro arte*. Nie. Na takie zabawy nie mamy czasu. Chyba że nad imperium leci ogromny balon, własność innego imperium, i jest to ponoć balon, uwaga: meteorologiczny.

A więc nie mamy w zanadru żadnych starych opinii o balonach, ale na temat meteorologii owszem. Meteorologia, a jest to nasza oryginalna opinia – jest nowym rodzajem religii, zasadniczymi bowiem elementami jej postrzegania są ufność i wiara. Rzecz jasna dziś, jak tu ponuro siedzimy, meteorologia nas nie interesuje, bo jest zima, jest smog, a naród wykonując polecenia Gospodarza, owego Kustosza Polskich Kompleksów, jak jeden mąż pali, czym się da, tworząc nad naszym pięknym krajem malownicze, kwaśne, czarne chmury ożywiające rozmowy o staropolskich tradycjach technik grzewczych. Dziś nas po prostu interesuje ów chiński balon, który amerykańskie wojsko zestrzeliło w zeszłym tygodniu.

Balon, zanim wpadł do oceanu, leciał i leciał. Z Chin do Ameryki, nad morzami, jeziorami, górami, lasami i silosami wypchnionymi rakietami dalekiego zasięgu, leciał nad miastami i wsiami, nad podmiotami prawa karnego, handlowego i cywilnego. Powoli i dostojnie. Pewnie niedługo dowiemy się tego i owego, czymże ów ekstra balon się zajmował. A może się nie dowiemy. Mówiąc jednak szczerze, balon ten nie jest naszym polskim kłopotem. Nie jest zmarciem Polek i Polaków – by użyć tu klasycznej zbitki, zastępującej od jakiegoś czasu słowo „ludzie”. Nie jest, albowiem my, Polki i Polacy, mamy inne balony przykuwające naszą uwagę. Są to na przykład balony próbne. Tak się mówi, gdy partia władzy próbuje ustanowić jakieś prawo-nieprawo i za pomocą swoich ludzi w mediach czyni tzw. przeciek. Balon próbny, identycznie jak ów chiński, ma wywołać reakcję i Kustosz wraz z kolegami sobie tę reakcję w wilii przy ul. Nowogrodzkiej analizują. To jasne.

Poza balonami próbnymi nader często, częściej niż kiedykolwiek, odczuwamy, że władza robi nas w balona. Nas to pół biedy. Mieszkamy w Polsce od urodzenia, więc wiemy, że to najlepsze miejsce pod słońcem, by do robienia nas w balona się przyzwyczaić i z tym stanem bezstresowo oswoić. Zaiste, jest jednak niepotykane w branży fabrykowania balonów pojęcie globalnie, by robić w balona własny, ukochany elektorat. To jest jednak wyższa szkoła jazdy, jeśli chodzi o – *pardon* – dmuchanie. Jeżeli ktoś czuje się teraz niedoinformowany, nie wie, co mamy na myśli, niech sobie poczyta o akcji ludzi władzy dla ludzi władzy, akcji zwanej w mediach Willa Plus. Tłumaczenie własnym wyborcom sensu i słuszności tych zabiegów powinno znaleźć się w znanej powszechnie księdze rekordów, jeżeli, rzecz jasna, owa księga zajmuje się rekordami w robieniu w balona. Na koniec polećmy każdej Polce i każdemu Polakowi – a wypada polecić tę czynność już teraz, wiele miesięcy przed wyborami – by zaczęli codziennie dmuchać w balonik. Rano i wieczorem. Im częściej, tym lepiej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



1,5%

**Przekaż
wsparcie
na**prawdę****

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Przekaż 1,5% podatku

Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.

KRS 0000 125 605

FILM ŁUKASZA WOSIA

NOWI JUSZ

OD 24 LUTEGO



W FILMIE UDZIAŁ WYBRALI: WOJCIECH BARAN, JULIAN STOLARCZYK, JANUSZ CHWAST, RYSZARD KURECKI, MAKSYMILIAN NAWARA, KRZYSZTOF PĄKYS, WOJCIECH URBANOWSKI,
SZYMON LESZCZYŃSKI, ADRIAN PROKOP, EUGENIUSZ LEJK, MARCIN REMFELD, WOJCIECH KORS, PIOTR TASAK, PAWEŁ KOWCZ, BEATA MARCINIAK, ANDRZEJ MARCINIAK, ŁUKASZ JANIK
SCENARIUSZ I REŻYSERIA: ŁUKASZ WÓŚ ZDJEĆCIA: ŁUKASZ WÓŚ, JACEK TARASUK MONTAŻ: KAMIL NIEWIŃSKI, MATEUSZ WOGTYŃSKI, ŁUKASZ WÓŚ GŁÓWNY: ŁUKASZ WÓŚ, JAN SMOCZYŃSKI, KATARZYNA BIAŁAS
PRODUKENTKA: ANNA GAWLIŁA PRODUKCJA: KIJORA FILM SP. Z O.O. FILM WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ



NOWICJUSZ.DOMINIKANIE.PL